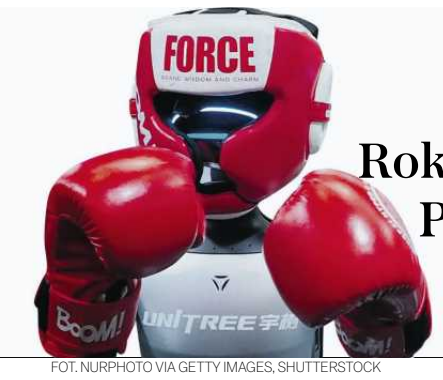

Wydarzenia 2025

Rok na zdjęciach. Patrzcie, co się działo ▸4

MAGAZYN KSIĄŻKI

Dlaczego elity bratają się z ludem

WYSOKIE OBCASY

50 Śmiałych „Wysokich Obcasów”. Oto kobiety roku

FOT. NURPHOTO VIA GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

VANESSA ALEKSANDER

Moje pokolenie tkwi w micie

▸20

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 52>

Szef TVP Podobać się Polakom, nie politykom ▸10

Co motyl i kaczuszka mają **do prognozy pogody** ▸14

Ballerina Cappuccina masakruje mózgi ▸28

Biznes – to on Kim był bogacz wszech czasów? ▸34

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 27 grudnia 2025 – 1 stycznia 2026 | Redaktor prowadzący **Andrzej Kulasek** | Cena gazety **11,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 299.11096, 1 Nakład 80 tys. + **317 tys. prenumerat cyfrowych**

eprasa.pl d1e4f06fae

Komu przeszkadzają bożonarodzeniowe piosenki

Staruszek zamiast pastora Browna

Zmasakrowana wersja „Winter Wonderland", do wysłuchania której mnie zmuszono, to tylko wierzchołek góry lodowej.

Snyder

Dzięki uprzejmości czasopisma idei „Project Syndicate", dla którego piszą najciekawsi intelektualiści, autorytety i osoby publiczne zachodniego świata, witamy profesora Snydera jako regularnego felietonistę na naszych łamach. Zapraszamy do comiesięcznej lektury w weekendowym „Magazynie Wyborczej".

Niedawno odwiedziłem kawiarnię, by trochę tam popracować, a doświadczyłem tam prawdziwej walki o Boże Narodzenie.

Już od progu uderzyło mnie, że nikt nie rozmawiał, choć nastawiałem się na znajomy szum rozmów. Usiadłem, otworzyłem laptopa i próbowałem się skupić, ale coś mi przeszkadzało. Muzyka wydawała się dziwaczna. Podniosłem głowę, zacząłem nasłuchiwać i poczułem niepokój.

Staruszek zamiast pastora Browna

To, co początkowo wydawało się listą zimowych klasyków i kolęd, okazało się czymś zupełnie innym. Melodie mniej więcej się zgadzały – rozpoznawałem „Cichą noc", „The First Noël" czy „Winter Wonderland". Ale ten wokal... dobiegający zewsząd łagodny, nijaki baryton.

Co gorsza, w tekstach były błędy. I to nie pojedyncze pomyłki, a cała ich seria. Odniesienia do narodzin Chrystusa zostały usunięte i zastąpione metafizyczną paplaniną, ale nie tylko one. W miłosnej piosence „Winter Wonderland" powinniśmy usłyszeć taki uroczy wers o spacerującej parze:

„Na łące ulepimy bałwana / I będziemy udawać, że to pastor Brown" [ang. *In the meadow we can build a snowman / Then pretend that he is Parson Brown – red.*]

Ale piosenka, którą usłyszałem w kawiarni, miała zniekształcony tekst:

„Na łące znajdziemy bałwana / I będziemy udawać, że to miły starszy pan" [ang. *In the meadow we can find a snowman / Then pretend that he is a nice old guy – red.*]

Potem następowało coś bezsensownego o przetańczeniu całej nocy, gdzie ów „starszy pan" nieudolnie rymował się z kolejnym wersem i słowem „wysoko" [w oryginale „old guy" – „high" – red.]. A przecież ten utwór brzmi tak:

„Na łące ulepimy bałwana / I będziemy udawać, że to pastor Brown / On zapyta: „Czy jesteście małżeństwem?", a my odpowiemy: „Nie, mój drogi, ale możesz to sprawić, kiedy będziesz w mieście" [ang. *In the meadow we can build a snowman / Then pretend that he is Parson Brown / He'll say, „Are you married?" We'll say, „No man, / But you can do the job when you're in town"*].

Te cztery wersy mają ogromne znaczenie. Młoda para opowiada sobie historię o wspólnym doświadczeniu. W tej opowieści pastor Brown jest konkretną osobą, o którego cechach fizycznych można wnioskować kiedy patrzy się na bałwana. Ale młodzi odnoszą się do pastora nie tylko z humorem, ale i szacunkiem.

• **Mężczyzna w stroju Grincha – stwora, który nienawidził Bożego Narodzenia – na ulicach Kapsztadu** FOT. REUTERS/ESA ALEXANDER

Kto naprawdę jest obcy?

Ci kochankowie chcą wziąć ślub, ale na razie omijają zasady i okazują sobie miłość publicznie, zanim dostosują się do konwenansów. A znaczenie zawarte w tych wersach stopniowo dociera do słuchacza, opada na niego niczym śnieg sypiący w słońcu.

Czekałem na to doznanie, ale ów pusty zwrot „miły staruszek" zgrzytał mi w głowie. A może i w duszy.

Po raz pierwszy usłyszałem „Winter Wonderland" około 40 lat po śmierci autora tekstu, Richarda Bernharda Smitha, który zmarł w 1935 roku. Od tego czasu minęło kolejne 50 lat. Ten utwór to dzieło młodego człowieka, zainspirowanego śniegiem otulającym park, który bez wątpienia wiedział coś o miłości. Smith zmarł na gruźlicę niedługo po napisaniu piosenki [miał 33 lata – red.], pozostała po nim jako żartobliwe poczucie, jak by to było, gdybyśmy byli razem, przekazywane słuchaczowi przez wokalistę.

Sztuka żyje, dopóki nie zostanie zabita. W tym przypadku śmierć „Winter Wonderland" – i ogólnie muzyce świątecznej – zadała seria algorytmów, które pochlebnie nazywamy sztuczną inteligencją. Domyślam się, że ktoś, gdzieś, nakazał modelowi AI wygenerować zimowe i bożonarodzeniowe piosenki, które unikałyby „kontrowersyjnych" tematów, jak miłość boska i ludzka, w efekcie czego dostaliśmy jakąś papkę. Świętość zmieniła się w kicz.

Żadna maszyna nie jest w stanie pojąć tej emocji. A ci, którzy głoszą nieuchronność dominacji maszyn, nie chcą, byśmy o tym pamiętali. Robią wszystko, byśmy zwrócili się przeciwko sobie

Wielu amerykańskich konserwatystów uznało, że Boże Narodzenie zostało w jakiś sposób zbezczeszczone przez obcokrajowców, zwłaszcza niechrześcijan. Ale kim są prawdziwi obcy w tej bożonarodzeniowej opowieści? Istoty niebędące ludźmi.

Ktoś na tym zarabia

Zmasakrowana wersja „Winter Wonderland", do wysłuchania której mnie zmuszono, to tylko wierzchołek góry lodowej. Atak algorytmów, zaprojektowanych w celu zagarnięcia naszej uwagi osłabił wiele podstawowych aspektów człowieczeństwa: muzykę i rytuały świąteczne, ale także nauczanie, dzielenie się pokarmem i zwykłą rozmowę.

Oczywiście, kilka osób zarabia na tym ogromne pieniądze. W kilku dość znaczących przypadkach ci, którzy czerpią zyski z machiny niszczącej kulturę, to ci sami, którzy obwiniają obcokrajowców za odebranie nam Bożego Narodzenia i zburzenie naszej cywilizacji.

Tymczasem ludzie, którzy faktycznie śpiewają piosenki, mają trudności ze znalezieniem słuchaczy.

„Winter Wonderland" to delikatny kawałek z subtelnym przesłaniem o związku, który wymaga cierpliwości i doświadczenia, a także odrobiny poczucia humoru. Odniesienia do świąt są pośrednie i żartobliwe: wyimaginowany pastor z łagodniejącą przyganą, wędrująca para, która nie ma ślubu.

Boże Narodzenie niesie przesłanie miłości: „Urodziła pierworodnego syna, opatuliła go i położyła w żłobie, ponieważ nie było dla nich miejsca w gospodzie". Żadna maszyna nie jest w stanie pojąć tej emocji – a ci, którzy głoszą nieuchronność dominacji maszyn, nie chcą, byśmy o tym pamiętali. Robią wszystko, abyśmy zwrócili się przeciwko sobie, podczas gdy ich algorytmy profanują fundamentalną część naszego człowieczeństwa, jedna piosenka po drugiej. ●

Timothy Snyder

Copyright: Project Syndicate 2025, www.project-syndicate.org

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Timothy Snyder

• ur. 1969 r., historyk, wieloletni profesor Yale, publicysta, pierwszy profesor historii współczesnej Europy na Munk School of Global Affairs and Public Policy w Toronto, pracuje też w Instytucie Nauk o Człowieku w Wiedniu.

• Autor głośnych książek: „Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem", „Czarna ziemia. Holokaust jako ostrzeżenie", „O tyranii. Dwadzieścia lekcji z dwudziestego wieku", „Droga do niewolności. Rosja. Europa. Ameryka", „Amerykańska choroba. Szpitalne zapiski o wolności" (dostępne w dobrych księgarniach i w formie e-booków lub audiobooków na Publio.pl). Człowiek Roku „Wyborczej" 2016.

1 RP

eprasa.pl d1e4f06fae

Kocie sprawy
Miau, dzień dobry!

Tureccy naukowcy przeanalizowali zachowanie 31 kotów w ich naturalnym środowisku. Koci opiekunowie zostali wyposażeni w kamery zamontowane na klatce piersiowej, które rejestrowały pierwsze 100 sekund interakcji zaraz po powrocie do domu. Analiza objęła aż 22 różne miary behawioralne, od mruczenia i miauczenia, przez ocieranie się, po przyjmowanie specyficznej postawy ciała.

Dwie grupy kocich zachowań zwykle występowały razem. Zachowania społeczne (afiliacyjne), z których najpowszechniejszym wizualnym sygnałem przyjaznego nastawienia był pionowo uniesiony ogon, oraz zachowania zastępcze, m.in. ziewanie, otrząsanie się, drapanie się.

Wokalizacje nie były ściśle powiązane z żadną z tych grup, co może sugerować, że to czynność, którą koty wykonują niezależnie. Wokalizacje niekoniecznie muszą mieć więc związek z chęcią uzyskania pożywienia czy tęsknotą za właścicielem.

Co ciekawe, płeć opiekuna była jedynym czynnikiem, który istotnie wpływał na częstotliwość wokalizacji kotów. Odnotowano 4,3 wokalizacji w reakcji na właścicieli mężczyzn, w porównaniu do 1,8 wokalizacji w przypadku kobiet. Dlaczego? Naukowcy wskazują, że może chodzić np. o zwrócenie uwagi. Kobiety zazwyczaj częściej mówią do kotów i lepiej interpretują kocie sygnały. Możliwe też, że mężczyźni wymagają od kotów bardziej wyraźnych sygnałów, aby zauważyć ich potrzeby. Wreszcie – badanie przeprowadzono w Turcji, gdzie tradycyjne role płciowe mogą wpływać na to, jak mężczyźni okazują emocje. Ograniczenie przez nich ekspresji może skłaniać koty do częstszych wokalizacji, by wywołać reakcję.

Badania opublikowano na łamach „Ethology". ● **Kasper Kalinowski**

FOT. PIOTR SKÓRNICKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

FOT. PHILIPPEAGHION.COM

W Europie, także w USA, mamy zagrożenie populizmem. Grozi nam, że w ciągu najbliższych dwóch lat dojdzie do władzy w Niemczech, Wielkiej Brytanii, Francji. A to te trzy kraje mają być filarami odbudowy Europy

PHILIPPE AGHION
laureat Nagrody Nobla z ekonomii 2025, w wywiadzie w ramach partnerstwa medialnego EMOVE Hub
Więcej na Wyborcza.biz

Kod dostępu do Wyborcza.pl

1 RP

Liczba tygodnia

58

LAT
budowali Czesi autostradę D1, najdłuższą w kraju (370 km), która prowadzi od Pragi aż do polskiej granicy i łączy się z autostradą A1

REKLAMA
Kraj/34410229

Powitaj wiosnę na Majorce – wyspie pełnej słońca, atrakcji i relaksu. W cenie: komfortowy hotel, dwa posiłki dziennie oraz fantastyczne wycieczki, które pozwolą odkryć wszystkie uroki tej magicznej wyspy.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. Przylot na Majorkę i przejazd do Paguery. **Dz. 2** Spacer po Paguerze. Odkrywanie uroków miasteczka i okolic. **Dz. 3** Czas wolny – relaks lub odkrywanie Majorki. **Dz. 4** Półdniowa wycieczka do Palma de Mallorca z postojem przy zamku Bellver. **Dz. 5–7** Czas wolny na relaks i samodzielne odkrywanie wyspy. **Dz. 8** Wycieczka fakultatywna do Valldemossy i ogrodów Jardines de Alfabia. **Dz. 9** Dzień na odpoczynek lub odkrywanie wyspy na własną rękę. **Dz. 10** Wizyta w miasteczku Sant Elm i na targu w Andratx. **Dz. 11** Czas wolny na relaks. **Dz. 12** Sóller i Puerto de Sóller – wycieczka .fakultatywna zabytkowym pociągiem i tramwajem. **Dz. 13** Podróż powrotna do Warszawy.

13 dni | Wylot z Warszawy 22/03 2026 | od 5.998,–

Albatros Travel otrzymał tytuł najlepszego organizatora wycieczek objazdowych w Danii

Opera w Weronie

Dwa wieczory z klasyką muzyki operowej spędzone w amfiteatrze w Weronie, połączone z wycieczkami do Brescii, Borghetto i nad jezioro Como.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Mediolanu. Jezioro Como oraz czas wolny. Nocleg w okolicach Werony. **Dz. 2** Wizyta w winiarni (dodatkowo płatna). Werona – zwiedzanie i czas wolny. Wieczór z operą. **Dz. 3** Renesansowa Mantua, średniowieczne miasto Borghetto oraz opera. **Dz. 4** Krótka wizyta w Brescii. Powrót z Mediolanu do Warszawy.

4 dni | Wyloty z Warszawy:

La Boheme i Nabucco | 16/07 2026 | od 4.998,–

Nabucco i La Traviata | 27/08 2026 | od 4.698,–

Aida i Turandot | 09/09 2026 | od 4.998,–

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8 p.
Kod reklamy: GW39

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

eprasa.pl d1e4f06fae

WYDARZENIA 2025

Nawrocki

• Warszawa, 27 sierpnia

Pierwsza, po zaprzysiężeniu Karola Nawrockiego na stanowisko Prezydenta RP, Rada Gabinetowa w Pałacu Prezydenckim. Premier Donald Tusk oraz prezydent Nawrocki w towarzystwie szefa Kancelarii Prezydenta Zbigniewa Boguckiego i kelnerów

Imigranci

• USA, 19 listopada

USA walczą z imigrantami. W barze fast food w Charlotte w Karolinie Północnej, funkcjonariusz Straży Granicznej obezwładnia mężczyznę, który próbował uciec. Agenci federalni w ramach operacji „Charlotte's Web" sprawdzają, kto leganie przebywa w USA. Za brak papierów grozi deportacja

FOT. RYAN MURPHY/GETTY IMAGES

Lodowiec

• Szwajcaria, 10 czerwca

Lodowiec Rhone w pobliżu Goms w kantonie Valais pokryto specjalnymi warstwami izolacji, która ma chronić lód od słońca. Eksperci twierdzą, że szwajcarskie lodowce topnieją w alarmującym tempie z powodu coraz mniejszych opadów śniegu zimą i coraz wyższych temperatur latem

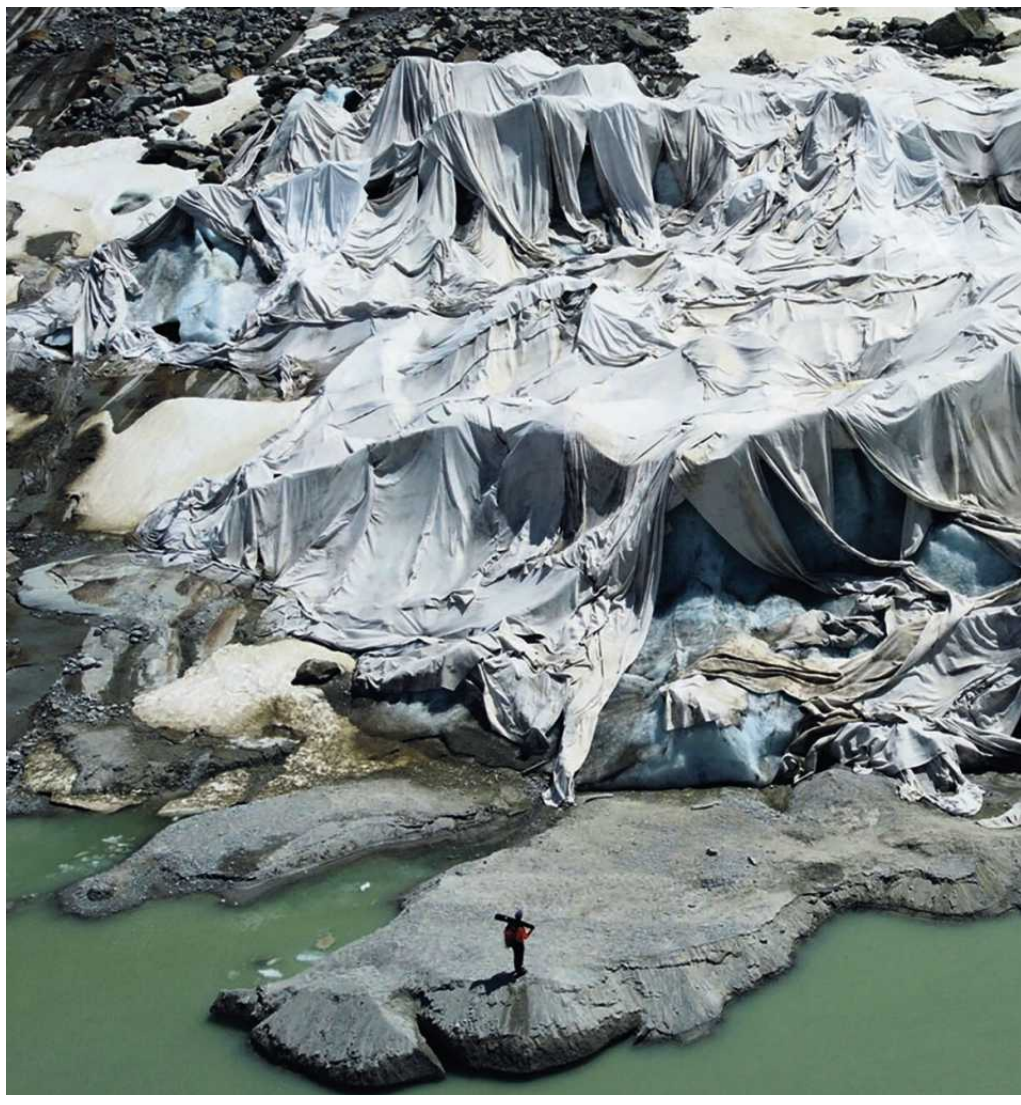

eprasa.pl d1e4f06fae

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL,

FOT. ABDALHKEM ABU RIASH/ANADOLU/GETTY IMAGES

Gaza

• Strefa Gazy, 29 września

Dramatyczna sytuacja w obozach dla palestyńskich uchodźców w Gazie z powodu wprowadzonej przez Izreal blokady dostaw żywności i leków. Na zdjęciu 10-letni Navz Muhammed Nasr z matką. Z powodu niedożywienia chłopiec schudł ponad 8 kg

Papież

• Rzym, 8 maja

Kilka minut po godzinie 19. na balkonie bazyliki św. Piotra pojawił się nowy papież. Amerykański kardynał Robert Prevost – papież Leon XIV

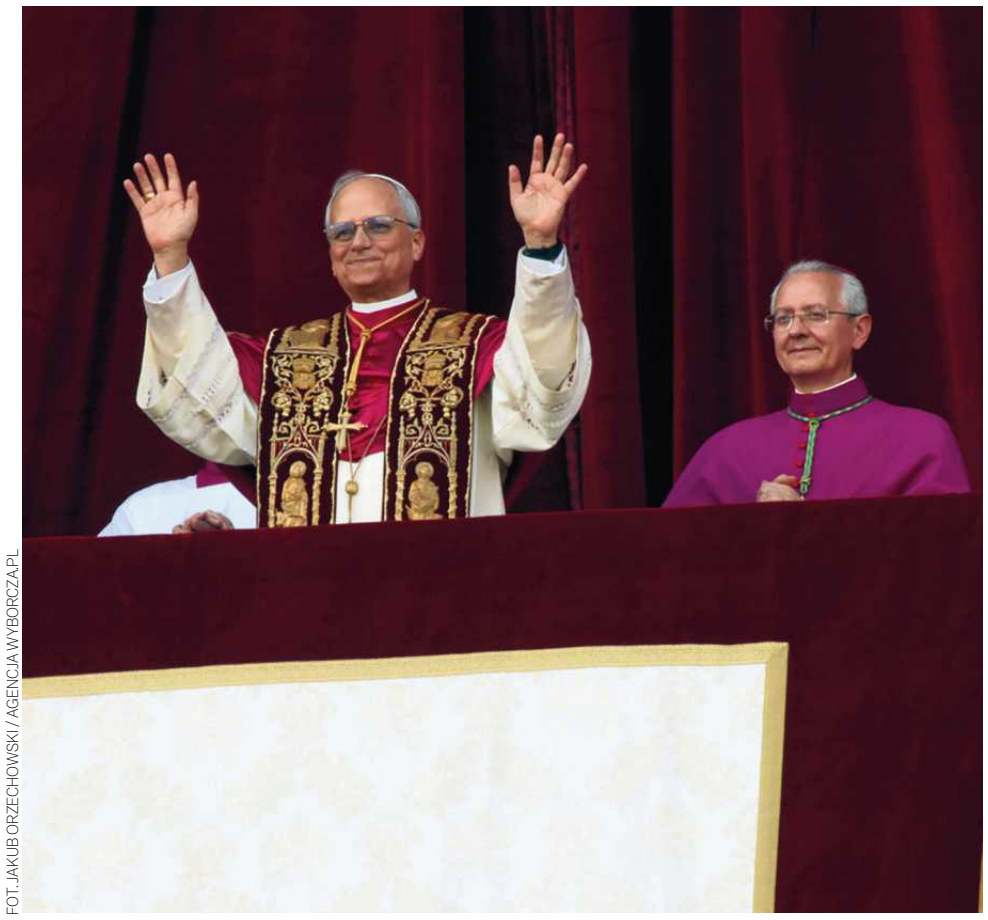

FOT. JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Sławosz

• Łódź, 7 Llipca

Astronauta Sławosz Uznański-Wiśniewski w czasie połączenia z Międzynarodowej Stacji Kosmicznej prowadzi lekcję fizyki dla dzieci. Przeprowadził trzy eksperymenty wymyślone przez uczniów w konkursie „Prosty eksperyment – kosmiczne odkrycie", który Polska Agencja Kosmiczna zorganizowała w 2024 roku.

FOT. MATTHIAS SCHRADER/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

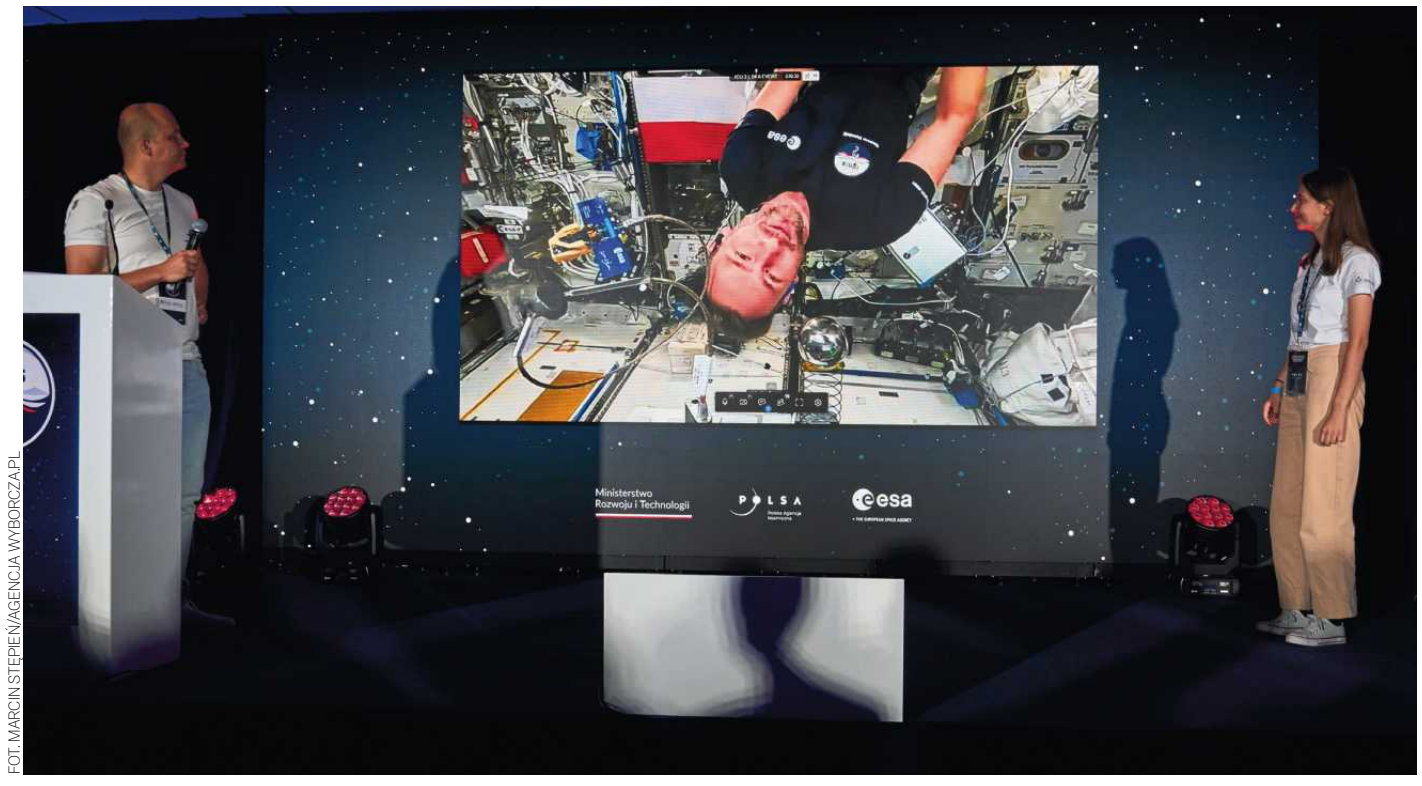

FOT. MARCIN STEPIEŃ/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl d1e4f06fae

FOT. CNSPHOTO VIA REUTERS

Roboty

• Chiny, 8 sierpnia

Pokaz walki robotów humanoidalnych na stoisku Unitree Robotics podczas World Robot Conference w Pekinie

Więźniowie

• Salwador, 27 stycznia

Megawięzienie. Centrum Odosobnienia Terroryzmu (CECOT) w Tecoluca w Salwadorze, gdzie przetrzymywani są gwałciciele, mordercy i setki członków gangów ulicznych. CECOT to największe więzienie w Ameryce Łacińskiej - może pomieścić 40 tys. osób i zapełnia się błyskawicznie. To symbol wojny, którą z gangami od dwóch lat prowadzi rząd prezydent Nayiba Bukele.

eprasa.pl d1e4f06fae

FOT. JOSH EDELSON/AFP

Pożar

• USA, Kalifornia, 7 stycznia

Największe pożary w Los Angeles wybuchły 7 stycznia. Wtedy ogień pojawił się w pobliżu szlaku turystycznego z widokiem na luksusową dzielnicę Pacific Palisades i ocean. Zginęło 12 osób, a ponad 6 tys. domów zostało zniszczonych. Na zdjęciu: płonący dom w Eaton w hrabstwie Los Angeles w Kalifornii

Ukraina

• Ukraina, 8 marca

Mykhaiło (25 l.) i Vladislava (19 l.) byli w związku od kilku lat. Mykhailo był oficerem rozpoznania powietrznego i obsługiwał drony. Już wcześniej planował się oświadczyć się, zaprosił przyjaciół, przygotował niespodziankę, ale został poważnie ranny, kiedy najechałniu na minę. Para postanowiła nie odkładać tego dłużej i w asyście członków rodziny pobrali się w na oddziale szpitalnym we Lwowie

FOT. KOSTIANTYN LIBEROV/LIBKOS/GETTY IMAGES

FOT. MARVIN RECINOS/AFP

FOT. SAUL LOEB/AFP

FOT. MARCO BERTORELLO /AFP

Trump -Zełenski

• Waszyngton , 28 lutego

Prezydent USA Donald Trump i prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski w trakcie słynnej, emocjonalnej wymiany zdań w Gabinecie Owalnym. Zełenski, próbował przekonać Amerykanina do ostrzejszego kursu wobec poczynań Władimira Putina, ale spotkał się z reprymendą ze strony Trumpa i wiceprezydenta J.D. Vance'a

Kolarze

• Francja, 13 lipca

Kibice podczas 9. etapu 112. edycji Tour de France, odcinek między Chinon a Chateauroux. Po raz czwarty wyścig wygrał Tadej Pogačar (UAE Team Emirates-XRG) umacniając pozycję na szczycie światowego kolarstwa

eprasa.pl d1e4f06fae

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Nike

Warszawa, 6 października

Nagrodę Literacką Nike zdobyła Eliza Kącka za esej „Wczoraj byłaś zła na zielono", w którym opisuje codzienne życie matki wychowującej neuroatypowe dziecko. Kącka zdobyła za tę ksiażkę także Nagrodę Czytelników. Gala Nike odbyła się już po raz 29. w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego

Moda

• Włochy, 26 lutego

Pokaz ubrań marki Diesel z kolekcji na jesień i zimę 2025/26 podczas Tygodnia Mody w Mediolanie

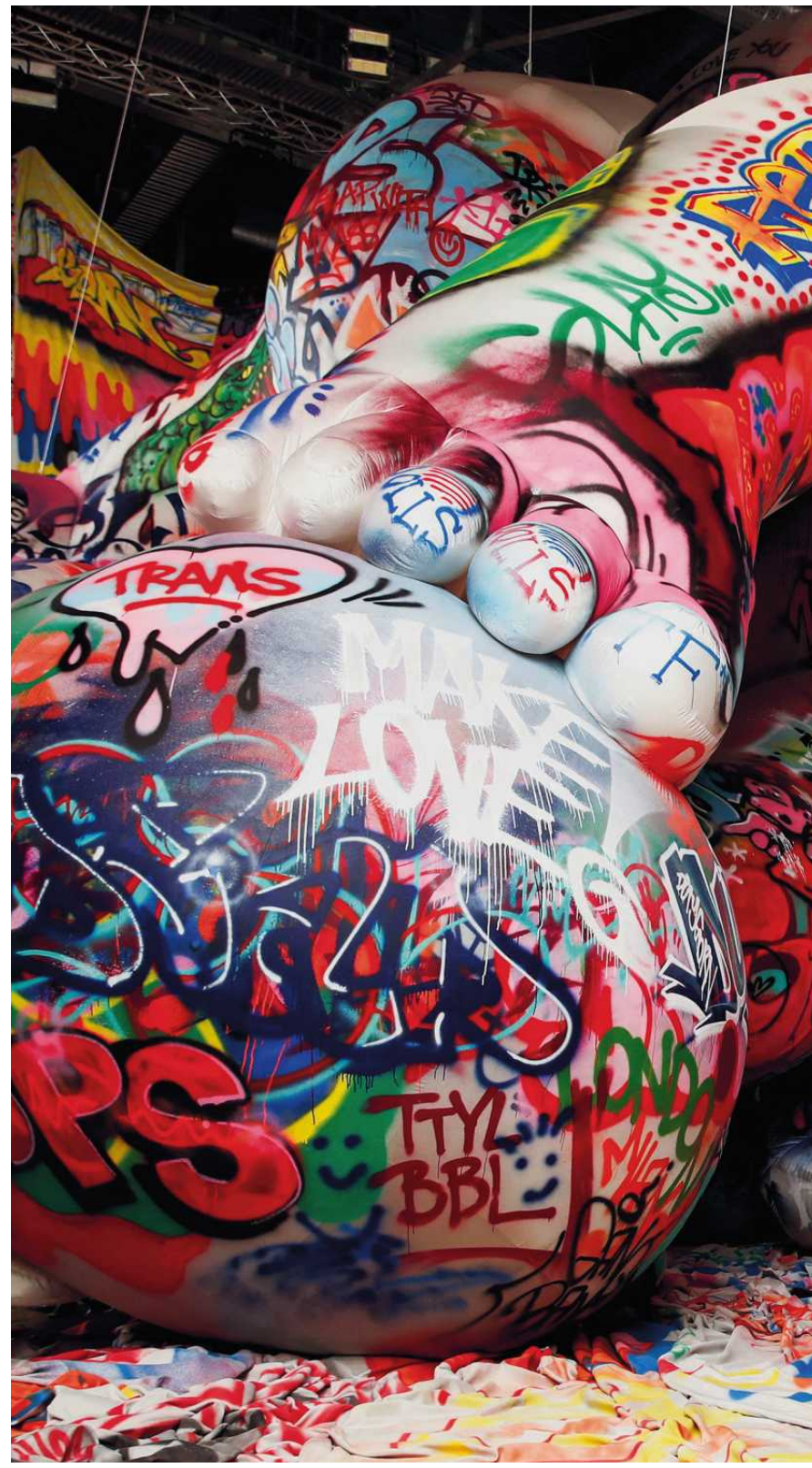

FOT. EMILIO MORENATTI/AP

Izrael

• Izrael, 13 października

Tysiące ludzi na Placu Zakładników w Tel Awiwie cieszyło się, gdy ogłoszono, że uwolniono i przekazano izraelskiej armii pierwszych siedmiu (z dwudziestu) zakładników, których Hamas uprowadził podczas ataku na Izrael 7 października 2023 r.

FOT. ROBERT KOWALEWSKI/ AGENCJA WYBORCZA.PL

Chopin

• Warszawa, 21 października

Ogłoszenie wyników XIX Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. F. Chopina. Zwycieżcą został Eric Lu z USA.

Pogrzeb

• Puźniki (Ukraina), 6 września

Pogrzeb ekshumowanych szczątków ok. 42 osób, ofiar ukraińskiego mordu na Polakach. W lutym 1945 r. sotnia UPA napadła na wieś Puźniki. Blisko 100 osób zginęło, zabudowania spalono

eprasa.pl d1e4f06fae

FOT. ALESSANDRO GAROFALO / REUTERS / FORUM

FOT. STRINGER/AFP

Mamut

• Rosja, 27 marca

Sekcja zwłok mamuta o pseudonimie „Yana" na Uniwersytecie w Jakucku. Szkielet wykopano latem ub.r. w pobliżu stacji badawczej Batagaika w Jakucji, waży 180 kg, ma 120 cm wysokości i 200 cm długości. „Wiek geologiczny" Yany, czyli okres, w którym żyła to „ponad 130 000 lat"

Ozzy

• Anglia, 23 lipca

Eliza Finn-O'Shea z Birmingham przyszła pożegnać Ozzy'ego Osbourne'a. Frontman zespołu Black Sabbath zmarł 22 lipca w wieku 76 lat. Dwa tygodnie wcześniej ostatni raz wystąpił na żywo na koncercie „Back to the Beginning" w jego rodzinnym mieście Birmingham

Drony

• Polska, 10 września

W nocy z 9 na 10 września nad Polskę wtargnęły rosyjskie drony. Część została zestrzelona, a Polska uruchomiła artykuł 4. Traktatu Północnoatlantyckiego i wzmocniono wschodnią flankę NATO. Na zdjęciu: w Wohyniu żołnierze pakują na ciężarówkę rosyjskiego drona

FOT. LEON NEAL/GETTY IMAGES

PATRYK OGORZAŁEK/AGENCJA WYBORCZA.PL

FOT. JAKUB ORZECHOWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl d1e4f06fae

KRAJ

TVP PRZESTAŁA BYĆ *obciachowa*

Przez ostatnie dwa lata na Woronicza trafiło 2 mld zł mniej. W dwa lata 2 mld – mówi dyrektor generalny TVP Tomasz Sygut.

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

1 RP

eprasa.pl d1e4f06fae

Z **TOMASZEM SYGUTEM,** DYREKTOREM GENERALNYM TVP ROZMAWIA **AGNIESZKA KUBLIK**

Czy TVP już wie, jaki będzie miała budżet w 2026 roku?
– Przygotowaliśmy rozsądny plan finansowy i wiemy, jakie środki są niezbędne. Przed nami ciekawy rok, mamy wiele pomysłów, a przede wszystkim dwa duże wydarzenia – zimowe igrzyska olimpijskie oraz mistrzostwa świata w piłce nożnej. Te dwie imprezy będą miały wpływ na nasz przyszłoroczny budżet. Jeśli zachowamy finansową dyscyplinę, będziemy potrzebowali 2 mld 200 mln zł. Ile będzie, nie wiadomo.

Ale wiadomo, ile będzie z abonamentu, bo ten nadal jest, choć miało go nie być...

– Abonament to niewielka część potrzeb TVP, nieco ponad 300 mln zł. W dodatku to, czy trafi do telewizji, nie jest tak oczywiste. Do dziś nie otrzymaliśmy zaległego abonamentu za 2024 rok – to aż 175 mln zł. Te środki Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji bezprawnie zatrzymała. Orzecznictwo sądów w tej sprawie jest dla Rady miażdżące.

Blokada abonamentu to był pomysł Macieja Świrskiego, szefa KRRiT blisko związanego z PiS. Dziś jest zawieszony i ma stanąć przed Trybunałem Stanu.
– Od początku było jasne, że jest to narzędzie politycznej walki z TVP i jej legalnymi władzami. Kosztem spółki i widzów. Po zmianie przewodniczącego wystąpiliśmy do Rady o wycofanie środków z depozytów i przekazanie ich spółce. Niestety, nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi, a KRRiT kontynuuje postępowania sądowe i przedłuża je maksymalnie, składając od wszystkich orzeczeń sądów środki odwoławcze, wiedząc, że jest na przegranej pozycji. Mam jednak nadzieję, że w przyszłym roku tak jak w bieżącym abonament będzie wypłacany zgodnie z harmonogramem.

Są jeszcze reklamy. To pewne pieniądze, ponad 1 mld zł rocznie.
– W 2024 roku pozyskaliśmy z rynku blisko 1 mld 200 mln zł – to najwyższe przychody reklamowe TVP od dekady. W tym roku też jest dobrze. Zakładam, że w 2026 roku biuro reklamy będzie równie skuteczne. Nie mamy jednak wpływu na to, jak ostatecznie zachowa się rynek.

Teoretycznie TVP ma 1,5 mld pewnego przychodu.
– Teoretycznie. Żeby pozyskać miliard z rynku reklamowego, musimy wyprodukować kontent. W dodatku atrakcyjny, bo konkurencja – przy takiej ekspansji platform streamingowych – jest ogromna. Jesteśmy też zobligowani do realizowania Karty Powinności.

Karta powstała za PiS, to dzieło ministra kultury Piotra Glińskiego i ówczesnej KRRiT.
– Minister Gliński i przewodniczący Świrski wyliczyli, że środki niezbędne TVP do jej realizacji w 2024 roku powinny wynosić blisko 3 mld zł. Nie dostaliśmy tych pieniędzy, bo prezydent Duda na złość rządowi zawetował ustawę okołobudżetową. Ale Karta Powinności obowiązuje nadal. Za to na jej realizację otrzymaliśmy w ramach dotacji z MKiDN niespełna miliard 680 mln zł i zaledwie 70 mln zł z abonamentu. W dodatku musieliśmy spłacać obligacje zaciągnięte przez poprzedników. Więc jak słyszę ten spin powtarzany przez polityków PiS o 3 mld na TVP zamiast na onkologię, to szlag mnie trafia. To zresztą podwójne kłamstwo, bo wydatki na onkologię są rekordowe.

Jeśli za punkt odniesienia przyjmiemy poziom finansowania TVP z 2023 roku, ostatniego roku rządów PiS – kiedy TVP otrzymała prawie 2 mld 700 mln zł, to rachunek jest bardzo prosty – przez dwa lata dostaliśmy 1 mld 600 mln mniej. Jeśli do tego dodamy 200 mln spłaconych obligacji plus o ponad 200 mln mniejsze wpływy ze spółek skarbu państwa, to przez ostatnie dwa lata na Woronicza trafiło 2 mld zł mniej. W dwa lata 2 mld...

TVP żyje teraz z rządowych dotacji, o których wie, że będą, ale nie wie, kiedy i w jakiej wysokości.
– W tym roku wystąpiliśmy do MKiDN o 1 mld 950 mln złotych. Problemem był brak harmonogramu i wysokość poszczególnych transz. Kryzys nastąpił przed wakacjami, kiedy nasze zaległości przekroczyły 600 mln, a na karku mieliśmy widmo potężnych odsetek. Jesienią otrzymaliśmy solidny zastrzyk gotówki i zaczęliśmy spłacać zobowiązania.

Ile środków z dotacji otrzymaliście w tym roku?
– 1 mld 550 mln zł. O 400 mln mniej od tego, co założyliśmy w planie finansowym. Mimo tych problemów udało nam się utrzymać wszystkie kluczowe produkcje, przedłużyć duże kontrakty, jak chociażby ten na rozgrywki piłkarskiej Ligi Mistrzów, nabyliśmy prawa do historycznych mistrzostw Europy w piłce nożnej kobiet, zrealizowaliśmy wiele spektakularnych koncertów, blisko 40 premier teatralnych, staliśmy się partnerami najgłośniejszych w Polsce wydarzeń, jak chociażby Open'er, wyprodukowaliśmy kilka nowych seriali, w tym znakomicie przyjętą „Czarną śmierć", nowy sezon „Rodzinki", „Profilerkę" czy codzienny serial „Zaraz wracam".

W 2024 roku ścięliśmy koszty o prawie 600 mln. Doszliśmy jednak do ściany. Bez zmiany Karty Powinności – która nakłada na nas obowiązek utrzymania wszystkich kanałów, kilka godzin codziennych, premierowych produkcji w oddziałach regionalnych, a także bardzo konkretne zobowiązania programowe – proces restrukturyzacji tej firmy będzie utrudniony.

Krajowa Rada nie zgodziła się na to, by ją zmienić, abyście mogli ciąć koszty.
– Wystąpiliśmy o połączenie oraz likwidację kilku kanałów. Szacujemy, że ten zabieg – bez w zasadzie żadnego uszczerbku dla widzów – dałby około 100 mln zł oszczędności. Niestety, projekt nie został przez KRRiT zaakceptowany z powodu „braku stałego finansowania" TVP. Paradoks tej sytuacji polega na tym, że nie możemy realizować nowej, tańszej Karty, a musimy realizować Kartę, której koszt ta sama rada określiła na poziomie prawie 3 mld zł. Ale... Jeśli będziemy mieli ustaloną wysokość dotacji oraz harmonogram jej przekazywania – poradzimy sobie.

Nie można ustalić tego z ministrami?
– Jestem pewien, że można. I robimy to. Nie możemy podejmować decyzji programowych w oderwaniu od finansowania, a już na pewno bez finansowania. Zwłaszcza że w telewizji planuje się nawet z kilkunastomiesięcznym wyprzedzeniem. Zdaję sobie sprawę, że państwo ma pilniejsze potrzeby od telewizji, ale bez wsparcia publiczne media nie przetrwają.

Kiedy we wrześniu 2024 Polskę zalała powódź i kiedy w tym roku na Polskę spadły ruskie drony, oglądalność TVP Info wystrzeliła w kosmos. Bo ludzie szukali rzetelnych informacji

Telewizja publiczna musi aż tyle kosztować?
– Nie musi. Gdybyśmy żyli w idealnym świecie, a klimat polityczny sprzyjałby zmianom ustawowym, TVP można byłoby gruntownie przebudować. Moim zdaniem państwo powinno finansować maksymalnie kilka kanałów misyjnych – TVP 1, TVP 2, TVP Info, TVP Sport, TVP Kulturę, Historię i ABC. Do tego kanały dla zagranicy, dotowane tak jak obecnie z budżetu MSZ. Pozostałe kanały powinny się utrzymywać same, tak jak utrzymują się dzisiaj TVP Seriale, TVP Rozrywka czy kanał TVP HD. Telewizja przenosi się do streamingu. To dlatego inwestujemy w TVP VOD, która notuje historyczne wyniki, czy uruchamiamy kolejne kanały fast. W sumie mamy już 4, za chwilę dojdzie kolejnych 7. Osobną kwestią pozostaje przyszłość i kształt ośrodków regionalnych. To wszystko powinno zacząć się od dialogu z KRRiT.

W której trzy z czterech głosów mają: Agnieszka Glapiak, szefowa „Wiadomości" za Jacka Kurskiego, Marzena Paczuska i Hanna Karp, teolożka oraz publicystka związana z prasą radiomaryjną i pisowską. Wszystkie nie kryją, że reprezentują interesy poprzedniej władzy.
– Nie jest to sytuacja komfortowa...

A do tego TVP cały czas jest w stanie likwidacji, w który postawił ją rząd koalicji 15 października. Jednocześnie każąc jej odbudować wiarygodność i poziom.
– Na początku mieliśmy problemy ze zdolnością kredytową i mierzyliśmy się z nieufnością kontrahentów. Zwłaszcza zagranicznych. W tej chwili ten problem nie istnieje.

Czy gdyby teraz rozpisany został konkurs na prezesa TVP, pan by wystartował?
– Przez te dwa lata poznałem tą firmę od podszewki. Wiem, co zostało zrobione i co jeszcze zrobić trzeba. Stanąłbym z otwartą przyłbicą, pod warunkiem, że TVP miałaby zapewnione stabilne finansowanie.

Ale po co w ogóle jest telewizja publiczna? Mogę wziąć do ręki telefon i mam tam telewizję.
– I zobaczy pani w tej „telewizji" za darmo, bez reklam 40 premierowych spektakli telewizji? Kilkaset godzin transmisji Konkursu Chopinowskiego? Wszystkie najważniejsze transmisje sportowe? Zobaczy pani koncert Bryana Adamsa i Stinga, który będzie gwiazdą naszego sylwestra? Albo na jednej scenie Kubę Badacha, Gregory'ego Portera, Chrisa Bottiego, Sanah i Henryka Miśkiewicza? Fenomenalny koncert na 75 lat Jacka Cygana czy wspomnienie wybitnego twórcy Wojciecha Trzcińskiego? Koncert KSU i największych gwiazd hip-hopu?

Nie zobaczy pani. A do tego dochodzi produkcja dokumentów, programów kulturalnych, oferty dla dzieci. To także warstwa informacyjna. Odbudowa TVP Info to jedno z naszych największych wyzwań. To spędza mi sen z powiek. Bardzo bym chciał, żeby ta antena rosła szybciej, niż rośnie – rok do roku to w tej chwili 20 procent. Mam nadzieję, że lada moment przekroczymy 2 procent udziałów w rynku. Wiem, że za TAI odpowiadają ludzie, którzy w 2015 roku razem ze mną stali za sukcesem TVP Info, najchętniej wówczas oglądanego kanału informacyjnego w Polsce. Ta antena ma ogromny potencjał. Kiedy we wrześniu 2024 Polskę zalała powódź i kiedy w tym roku na Polskę spadły ruskie drony, oglądalność TVP Info wystrzeliła w kosmos. Dlaczego? Bo ludzie szukali rzetelnych informacji.

Rzeczywiście, 14-15 września 2025, kiedy nadleciały rosyjskie drony, TVP Info odnotowała wzrost o ponad 84 procent w porównaniu z weekendem tydzień wcześniej.
– Bo my informujemy, a nie dezinformujemy jak niektóre stacje. W sytuacji, kiedy wojna toczy się za naszą granicą, a w kraju atakuje obca dezinformacja, to jest fundamentalnie istotne.

Nie utrzymaliście tej oglądalności. Jak można przytrzymać tych, którzy weszli na waszą antenę w kryzysowych momentach?
– Obawiam się, że utrzymanie widowni na średnim poziomie 4 procent szybko nie będzie możliwe. Rynek się zmienił, rośnie streaming i oglądanie telewizji live w internecie, a przede wszystkim wielu widzów odeszło do Republiki. Część bezpowrotnie. Proszę pamiętać, że my ten kanał postawiliśmy niemal od początku – po przerwie w nadawaniu wynikającej z nielegalnej okupacji placu Powstańców przez poprzednie kierownictwo TAI – z nowymi twarzami, studio i siedzibą. Na pewno jednak TVP Info ma rezerwy i ciężko pracujemy, aby ten efekt w końcu przyszedł. Nowy szef anteny otrzymał konkretne zadanie.

Od końca 2023 roku TVP Info straciło aż 60 procent widzów.
– Wiele pasm udało nam się odbudować. Od 17 i „Teleexpressu", przez „Teleexpress Extra" – z oglądalnością na poziomie 700-800 tys., po „Panoramę" i „Wykrywacz kłamstw" nie mamy sobie równych na rynku kanałów informacyjnych. Dobre wyniki ma też „Pytanie dnia" i nasza wieczorna publicystyka – „Bez retuszu" Marka Czyża, „Bez trybu" Justyny Dobrosz-Oracz, „Trójkąt polityczny" Oli Pawlickiej i Renaty Grochal oraz „Niebezpieczne związki" Doroty Wysockiej-Schnepf i Grzegorza Nawrockiego. Swoją stałą widownię mają też „Kwiatki polskie".

Sukcesywnie pracujemy nad zmianą kilkugodzinnego pasma porankowego. Świetnie przyjęła się i rozwija nasza akcja „Polska na tak". Ostatnio zgłosiło się do niej prawie 400 szkół i placówek oświatowych. Wszystkie te miejsca nasza kamera odwiedzi. Aktywizujemy seniorów, wyjdziemy jeszcze bliżej do naszych widzów mieszkających w małych miastach i miasteczkach.

Co TVP Info może zaproponować widzowi Republiki, który tam na co dzień słyszy, że „Polska została sprzedana Niemcom przez proniemieckiego premiera, ale PiS przyjdzie z odsieczą".
– To pytanie natury socjologiczno-psychologicznej. Jestem przekonany, że widzowie tej stacji sięgają po pilota nie z pobudek informacyjnych, ale ideologicznych. Chcą się utwierdzić w swoich przekonaniach. A – mówiąc metaforycznie – trudno przekonać kogoś do zmia-

eprasa.pl d1e4f06fae

ny wyznania. W dodatku chodzi też o środki wyrazu – szczucie, nagonka, kreowanie atmosfery strachu, wskazywanie winnych „twoich problemów" zawsze będzie w przekazie atrakcyjniejsze od zwykłej informacji. A przecież przyszliśmy do TVP, aby z tym obrzydliwym zjawiskiem, niszczącym nas jako społeczeństwo, skończyć. I to się udało! Dziwię się, że krytycy obecnej TVP tego nie dostrzegają. Odświeżcie sobie pamięć. Włączcie jedno przypadkowe wydanie „Wiadomości". Wkurza mnie to, bo hejt mieszkał na Woronicza i placu Powstańców 8 lat. Skończyliśmy z tym i tego nam nikt nie odbierze.

Nie chcę być butny, ale wielu naszych krytyków do dzisiaj stałoby przed wejściem na Woronicza, narzekając na lejący się z ekranu szlam... A wracając do pani pytania – co możemy robić? Mówić prawdę. Prostować kłamstwa i manipulacje, walczyć z dezinformacją, pokazywać świat takim, jakim jest. To orka na ugorze, bo czy wyborca konkretnej partii zaakceptuje fakt, że najwięcej polskiej ziemi sprzedano za rządów PiS i to właśnie Niemcom?

Widz Republiki uzna to za kłamstwo mające ukryć prawdę. Na tym polega problem z bańkami informacyjnymi – każdy zostaje tam, gdzie znajduje potwierdzenie swoich intuicji i poglądów.
– Tak, dlatego trzeba przyciągać widzów dobrym serialem, rozrywką czy sportem. Pierwszy historyczny mecz na mistrzostwach Europy w piłce nożnej kobiet pomiędzy Polską a Niemcami oglądało ponad 2 mln widzów. Wśród nich na pewno byli widzowie Republiki. Być może dla wielu z nich było to pierwsze zetknięcie z TVP po zmianach. Zobaczyli normalną telewizję, w której nikt na nikogo nie szczuje, a dziennikarze mówią po polsku...

A jak się miewa „19.30"?
– Ugruntowała swoją widownie na poziomie 1,5-1,6 mln widzów. Jest drugim po „Faktach" najlepiej oglądanym programem informacyjnym w kraju. Uważam, że jest porządnym dziennikiem, godnym mediów publicznych.

W czasie kampanii prezydenckiej zdaliście egzamin telewizji dotowanej przez rząd, ale niezależnej od rządu?
– Strzelali do nas niemal wszyscy. Dostało się nam za debaty. Niesłusznie.

Bo chcieliście zrobić tę jeden na jeden, Trzaskowski – Nawrocki.
– Wyobraża pani sobie, że publiczny nadawca nie pokazuje debaty dwóch kluczowych kandydatów? Przecież wszyscy, którzy krytykują nas za Końskie, pierwsi rzuciliby się nam do gardła. I słusznie!

TVP Info sprzyjało Trzaskowskiemu.
– Rafał Trzaskowski miał największą ekspozycję. Różnica w czasie wynikała też z tego, że Karol Nawrocki nie przyjął żadnego z kilku kierowanych do niego przez TVP zaproszeń. To musiało przełożyć się na statystyki.

To niejedyny powód. Wszystkie spotkania Trzaskowskiego były transmitowane, Nawrockiego nie. I chodzi nie tylko o statystyki, ale też ton – TVP sprzyjała Trzaskowskiemu, Nawrockiego krytykowała.
– TVP mówiła prawdę. Niesprzyjaniem nazwiemy obiektywne informowanie widzów o przejętej kawalerce, kibolskich ustawkach czy specyficznej pracy w Grand Hotelu? Tak, to były informacje dla pana Nawrockiego niekorzystne. Ale wynikały z jego przeszłości, a nie przechyłu TVP.

Dlaczego debaty w TVP prowadził Jacek Prusinowski, czyli dziennikarz „Super Expressu"?
– Bo wybór był prosty – albo zgodzimy się na ustępstwa, albo żadnej debaty nie będzie! Debaty, do zorganizowania której byliśmy prawnie zobowiązani. Nie ma pani pojęcia, jakie piekło przechodziliśmy ze sztabami. Zwłaszcza ze sztabem Karola Nawrockiego. Każda sytuacja była pretekstem do rozkręcenia awantury. O prowadzących, o bloki tematyczne, o zasady, a nawet kwestie losowania kolejności wystąpień. Poziom kłamstwa i manipulacji został przekroczony, kiedy oskarżono mnie o ustawienie losowania, które było korzystne dla Rafała Trzaskowskiego. A przecież mnie tam w ogóle nie było! Losowali sami sztabowcy. A co do Jacka Prusinowskiego – był warunkiem jednego ze sztabów...

...sztabu „kandydata obywatelskiego".
– Wolałem zgodzić się na Prusinowskiego, którego znam, niż na pracownika Republiki, której udział próbował wymusić sztab. Nie wyobrażałem sobie, że debatę będzie współprowadził ktoś z ekipy, która przez 8 lat niszczyła media publiczne.

Prusinowski nie reagował podczas debaty w „Super Expressie" na antysemickie słowa Brauna, a teraz trafił do kanału Krzysztofa Stanowskiego... Dlatego nie powinien był prowadzić debaty w TVP.
– To do debaty by w ogóle nie doszło.

Sztaby mają taką moc, by stawiać TVP warunki? Co się stało, że politycy teraz są tacy bezczelni?
– Polska kultura polityczna to temat na długą rozmowę... TVP stała się w czasie kampanii jednym z celów sztabu PiS i jego nieformalnych pomagierów. To wszystko było precyzyjnie zaplanowane, w tym wyreżyserowany ze szczegółami i nieuczciwy atak na Dorotę Wysocką. Wszystkie granice zostały przekroczone. Na szczęście dzisiaj mnóstwo ludzi wie, kto, dla kogo i za co swoją pracę wykonał.

Nie ma pani pojęcia, jakie piekło przechodziliśmy ze sztabami. Zwłaszcza ze sztabem Karola Nawrockiego

Dlaczego nie pokazaliście prezydenta Nawrockiego na meczu Polska – Holandia? Prezydenta Trzaskowskiego na ważnym meczu reprezentacji TVP też by nie pokazała?
– Sport to jeden z ostatnich obszarów, który nas łączy, a nie dzieli. I nie interesuje mnie, czy na trybunach siedzi polityk tej czy innej opcji. Szef TVP Sport wie, że ma maksymalnie chronić sport od polityki.

Czyli był zakaz?
– Żadnego zakazu nie było. To było wydarzenie sportowe, a nie polityczne. O czym my w ogóle rozmawiamy? Operator powinien kierować kamerę na boisko i na zawodników.

Nieprawda, widownia też jest ważna, bo ubarwia transmisję. Zawsze się ją pokazuje, a VIP-ów przede wszystkim.
– Tak, ta widownia szczególnie ubarwiła nam mecz, rzucając race na boisko i narażając Polskę na mecz barażowy przy pustym stadionie.

To jaka jest dzisiaj TVP?
– Przyszliśmy do telewizji, której wiarygodność sprowadzono na poziom nieznany w historii. Woronicza szerokim łukiem omijały dziesiątki najwybitniejszych polskich twórców. Nawet samochody rozklejono z telewizyjnego brandu, bo ludzie bali się społecznej reakcji i wstydzili się tutaj pracować.

Dzisiaj twórcy wrócili na Woronicza. Wiem, jak trudno wielu z nich było przekonać do powrotu i do tego, że warto z nami współpracować. TVP przestała być obciachowa. Dla mnie symbolicznym dowodem na to był powrót do TVP kultowego Open'era – największego i najgłośniejszego festiwalu muzycznego w naszej części Europy, oraz hip-hopu do Opola. Ci ludzie by nam nie zaufali, gdyby wyczuli nawet najmniejszy fałsz. Wrócili wybitni aktorzy, reżyserzy, a jak popatrzymy na wykonawców naszego tegorocznego sylwestra, to wiemy, że pod brandem TVP chcą występować najlepsi polscy artyści. Symbolem tej zmiany jest wspomniany przeze mnie Bryan Adams, a przede wszystkim Sting, który z poprzednią TVP nie chciał mieć nic wspólnego.

Sukcesem była też tegoroczna Eurowizja i otwarcie się na muzyczny rynek oraz fanów tego festiwalu. W tym roku po raz pierwszy zrobimy otwarty koncert preselekcyjny.

Wśród 10 najchętniej oglądanych seriali w Polsce 9 to nasze produkcje, m.in. premierowe „Gra z cieniem", „Krew z krwi", „Profilerka", „Drelich" i „Czarna śmierć", o której już mówiliśmy. Przygotowujemy się do produkcji serialowej na kanwie scenariuszy napisanych przez życie – afer Funduszu Sprawiedliwości i Pegasusa.

Sukcesem jest Teatr Telewizji.
– Reanimowaliśmy go i oglądanie poniedziałkowych spektakli stało się wręcz modne. Mimo kłopotów budżetowych mamy 40 premier rocznie, z czego 20 to spektakle zrobione od początku do końca przez nas. Listopadowy „Embodying Pasolini", w którym wystąpiła Tilda Swinton, oglądało 300 tys. widzów. Kiedy ta genialna aktorka dowiedziała się, jak ogromną widownię gromadzi Teatr Telewizji, była w totalnym szoku. „Dbajcie o to, bo to wasze dobro narodowe" – powiedziała.

Razem z Polskim Radiem przejechaliśmy całą Polskę w ramach akcji Lato z Radiem i Telewizją Polską. W wielu miasteczkach przez cały dzień przewinęło się ponad 100 tys. ludzi, a najliczniej oglądany koncert na trasie zgromadził w Lublinie prawie 50 tys. widzów. Milion widzów śledziło każdy koncert przed telewizorem. Przyszły sezon wakacyjny mamy cały wyprzedany. Jest mniej wakacyjnych weekendów niż chętnych samorządów, które chciałyby nas zaprosić.

Nasze programy i dziennikarze po wielu latach przerwy znów są nominowani do nagrody Grand Press. W tym roku mamy 4 nominacje.

To, z czego jestem najbardziej dumny, to proces transformacji linearnej TVP do streamingu. Platforma TVP VOD jest naszym ogromnym sukcesem. Dwa lata temu podjąłem decyzję o zainwestowaniu w streaming. Ta strategia dzięki ciężkiej pracy całego zespołu VOD przynosi dzisiaj efekty. W każdej statystyce jesteśmy na drugim miejscu za Netflixem. W listopadzie mieliśmy 2,4 mln użytkowników i ponad 40 mln odsłon. Aplikacja mobilna TVP VOD utrzymuje pierwszą pozycję w średnim czasie oglądania na użytkownika. Telewizja linearna wchodzi w proces, który wiele lat temu rozpoczął się na rynku prasowym. Młodszy widz nie chce, aby telewizja i jej ramówka układały mu życie – ogląda, co chce i kiedy chce. Od nas ma więc TVP VOD i ogromną bibliotekę znakomitych tytułów. Nowych, premierowych i archiwalnych.

A czemu ta aplikacja zawiesza się w kluczowych momentach? Czemu dźwięk nie nadąża za obrazem?
– Gdyby tak było, to nie mielibyśmy 40 mln odsłon, tylko 40 tys. Platforma TVP VOD jest jedną z najnowocześniejszych platform streamingowych pod względem technologicznych na rynku, ma m.in. catch-up (umożliwia oglądanie do 7 dni po emisji), timeshift (przewijanie), startover (rozpoczęcie od początku). Przy tak ogromnej liczbie materiałów przetwarzanych i publikowanych każdego dnia na platformie TVP VOD oraz urządzeń mogą wystąpić sporadyczne nieprawidłowości z odtwarzaniem czy dźwiękiem. Wszystkie zgłaszane problemy techniczne szczegółowo analizujemy i natychmiast rozwiązujemy.

Do TVP wróciły również Fryderyki, Paszporty „Polityki", Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, Literacka Nagroda „Nike"...
– A także Orły, Festiwal Piosenki Aktorskiej, festiwal Malta, Nagroda PAP im. Ryszarda Kapuścińskiego, Olśnienia, a przede wszystkim Gala Mistrzów Sportu. Powrót tego ostatniego wydarzenia, na 100-lecie plebiscytu, postawiłem sobie za punkt honoru. Chciałem w ten sposób oddać hołd dwóm wielkim legendom TVP: Włodzimierzowi Szaranowiczowi i Dariuszowi Szpakowskiemu. Zdaję sobie sprawę, że wspomniane wydarzenia nie mają masowego charakteru i nie zgromadzą milionów widzów przed telewizorami. Ale wiem, że ich domem jest telewizja publiczna, a naszą misją troska o kulturę. Bez niej wpadniemy w przepaść...

Opowiem anegdotę. Wracam z Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni, otwieram Facebooka i widzę wpis Zbigniewa Hołdysa: „Dwie telewizje, dwa światy". Bo wtedy my transmitowaliśmy Gdynię, a na Polsacie emitowano „Roztańczony Narodowy". Nie trzeba być wybitnym znawcą rynku telewizyjnego, by wiedzieć, że koncert disco polo obejrzy się lepiej od Gali Filmów Fabularnych. Ale my jesteśmy od Gdyni. To nasza powinność. Tak postępuje publiczny nadawca z klasą. TVP nie może zawsze i za każdą cenę brać udziału w wyścigu popularności. My musimy być kompasem. Zwłaszcza w tak niestabilnych czasach kierunek jest ważniejszy niż aplauz.

Z szaf nadal wypadają trupy Kurskiego?
– Te, które wypadły, wylądowały w prokuraturze. Z zawiadomień spółki prowadzone są postępowania karne dotyczące m.in. sublicencji sportowych dla Polsatu oraz niejasnej współpracy ze spółką, której TVP, w czasie, gdy prezesem był Jacek Kurski, zlecała organizację różnych imprez, w tym koncertów, na kwotę przekraczającą 50 mln zł.

Prowadzone są też postępowania dotyczące fikcyjnego zatrudniania pracowników, którym przez długi czas bezpodstawnie wypłacane były wynagrodzenia, a także śledztwa w sprawach zlecania zewnętrznej firmie usług dziennikarskich, które w części nigdy nie zostały wykonane. W tej ostatniej sprawie może być mowa o szkodzie przekraczającej nawet 5 mln zł. Jednym z właścicieli zewnętrznej firmy był człowiek pracujący w... dziale finansów TAI.

Toczą się również postępowania wszczynane na podstawie zawiadomień NIK-u bądź innych podmiotów, które dotyczą umów cywilnoprawnych zawieranych przez byłą dyrekcję TAI i TVP 3 czy nieuzasadnionego wydatkowania ogromnych środków na niefunkcjonujący portal internetowy (SwipeTo). Według mojej wiedzy prowadzone jest też śledztwo w sprawie zlecania przez Biełsat na ogromną skalę po zawyżonych cenach usług informatycznych poza wszelkimi procedurami obowiązującymi w spółce. Postępowania prowadzone są przez różne prokuratury w całym kraju. TVP ma tam status pokrzywdzonej, ale nasza rola na tym etapie jest już ograniczona, decyzje o dalszych czynnościach należą do prokuratorów.

Rząd was utrzymuje. Wykorzystuje to, wtrąca się?
– Nigdy. Minister Marta Cienkowska bardzo często podkreśla autonomiczność mediów publicznych. Bezpośrednio zaś nadzoruje nas minister Maciej Wróbel, który pracował w TVP kilkanaście lat. Zna tę firmę doskonale. I wszystkie emocje, które wywołuje. To ułatwia dialog. Nikt nie oczekuje od nas, żebyśmy podobali się politykom. Mamy się podobać Polakom. Ale tu też istotna uwaga: nadawca publiczny nie może być głośniejszy od innych. Musi być mądrzejszy. To jest moja ambicja. ●

1 RP

eprasa.pl d1e4f06fae

Brauna karykatura sacrum

Można nienawidzić Kościoła – często z uzasadnionych powodów – ale nie wolno ignorować faktu, że ludzie potrzebują sacrum.

Marcin Matczak

Grzegorz Braun jest znakiem, którego progresywna Polska ciągle nie rozumie. Bo szok i niedowierzanie to reakcje wynikające raczej z bezsilności, taka publicystyczna forma rozkładania rąk. Przecież to niemożliwe, żeby w nowoczesnej Polsce na trzecie miejsce rankingu partii wskoczył facet, który wzywa do batożenia gejów i przywrócenia mszy po łacinie.

Pisałem w roku 2023, że ludzie, którym nie podobała się kościółkowość Hołowni będą musieli sobie poradzić ze „Szczęść Boże" Brauna i właśnie to się dzieje. Polska 2050 upada, Konfederacja Korony Polskiej triumfuje. A progresywna Polska ciągle drapie się w głowę i powtarza „jak to możliwe?".

Skąd siła Brauna?

Święta to niby niedobry czas, żeby pisać o polityce. Ale może to jedyny moment, kiedy można porozmawiać o znaczeniu religii dla polityki – bo to jest temat, bez którego zrozumienia nie da się zrozumieć Brauna. Dlatego znowu ryzykując hejt zamkniętych głów, które ciągle pozują na otwarte, piszę: pseudoreligijnym populistom rośnie z powodu tego, co robią antyreligijne polskie elity. Te, które przez lata obśmiewały szacunek dla tradycji, dla wiary, dla konserwatywnych wartości a teraz dziwią się, że ktoś sprzedał ich brutalną – i brunatną – imitację.

Siła Brauna wyrasta z poczucia zagubienia w chaosie norm i wartości, z erozji tradycyjnych autorytetów i relacji społecznych. Wiele osób czuje duchową pustkę i dezorientację. Dlatego w miejsce realnych więzi i wzorców wkraczają polityczni szarlatani.

Braun kusi wizją prostego porządku. Hasła jak „Kościół, szkoła, strzelnica" obiecują świat, w którym Bóg i tradycja wracają na należne miejsce, młodzież dostaje jasne reguły, a naród siłę do obrony wartości. Absurd? Dla wielu brzmi jak odpowiedź na chaos.

Braun kreuje się na strażnika odwiecznego ładu – potępia „zboczenia" i „herezje" współczesności, wskazuje winnych degrengolady (liberałów, „dewiantów", obcych). Podaje proste recepty: „Wystarczy wrócić do tradycji", świadomie archaizuje przekaz: odwołuje się do dawnej etykiety („Drodzy Rodacy"), cytuje łacińskie maksymy, przywołuje historyczne symbole. W liturgicznej powadze jego wystąpień – w kwiecistych zdaniach, barokowych metaforach – wielu odnajduje echo dawnego świata.

Szczególnie młodzi mężczyźni widzą w Braunie figurę ojca, którego im brakuje. Dla nich jest on ratownikiem wyciągającym z topieli relatywizmu.

Bardzo niebezpiecznym aspektem fenomenu Brauna jest to, że oferuje on symulakrum religii – rytuał bez ducha, krzyż bez Ewangelii. Serwuje karykaturę katolicyzmu, pozbawioną jego moralnej treści, za to pełną jadu: antysemityzmu, spiskowych teorii, szczucia na uchodźców i Ukraińców – wszystkiego, co stoi w sprzeczności z etyką chrześcijańską opartą na miłości bliźniego.

Oświeceni i zaściankowi

Można powiedzieć, że Braun stworzył parodię Kościoła: polityczną sektę, gdzie tradycyjne dewocjonalia służą legitymizacji zupełnie niechrześcijańskich postaw – nienawiści, przemocy, zemsty. Wiele osób, którym brakuje dziś poczucia świętości w życiu publicznym, daje się nabrać na tę fasadę.

Progresywna strona tego nie widzi, bo nie rozumie atrakcyjności pozornego ładu. Nie rozumie, że chaos normatywny nie jest abstrakcją, ale dla wielu doświadczeniem codziennym. I nie rozumie, że kiedy ona atakuje religię, Braun wyrasta na jej obrońcę.

Żarty z latającego potwora spaghetti jako wizji Boga powtarzane do znudzenia stają się manifestem wyższości: my oświeceni vs. wy zaściankowi. Emocjonalna struktura tej pogardy zaczęła przypominać inne uprzedzenia, które niby zwalczamy.

W liberalno-lewicowej narracji Kościół i wiara często przedstawiane są wyłącznie jako siedlisko zła: opresji, zacofania, przemocy. Owszem, Kościół sam dostarczył powodów do krytyki – skandale pedofilskie, polityczne uwikłania, hipokryzja. Jednak przeszliśmy dalej: do wojny totalnej z religią.

W mediach liberalnych regularnie pojawiały się głosy, że wszelkie przywileje Kościoła – od katechezy w szkole po kwestie podatkowe – należy zlikwidować. Formułowano pomysły traktowania spowiedzi jak praktyki przestępczej czy ściągania krzyży. Dla ludzi wspierających Brauna to nie była już walka o standardy państwa świeckiego, ale wojna kulturowa. A wojny kulturowe produkują przywódców plemiennych.

Cena za wojnę z religią

Gdy opowieść o winach instytucji zamienia się w tezę o „amoralności" religii w ogóle, emocją przestaje być sprawiedliwość, a zaczyna być zajadłość. Widać ją niestety u byłych duchownych, którzy stali się gwiazdami świeckiej krytyki. To już nie jest krytyka nadużyć, lecz narracja totalna: religia jako źródło zła, projekt do unieważnienia.

Delegitymizacja religii w sferze publicznej pozostawiła próżnię duchową. Ale potrzeba wspólnotowego przeżycia sacrum nie zniknęła – przeniosła się na margines, gdzie czekał Braun ze swoją atrapą sacrum. Teraz rośnie, bo korzysta na symetrii destrukcji. On gra na zniszczenie Unii, liberalnych wartości, różnorodności, zaś drugą stronę z kolei ukazuje jako grającą na zniszczenie Kościoła, tradycji i sacrum jako takiego. Jedni chcą świata oczyszczonego z postępu, drudzy – świata oczyszczonego z religii. To jest wizja Kononowicza w wersji kulturowej: ludzie myślą, że jeśli nie będzie takich polityków jak Braun, nie będzie niczego.

Rosnące poparcie dla Brauna to cena za wojnę z religią. Wykopaliśmy rów, który miał oddzielić Polskę od zabobonu, a z tego rowu wyszedł demon dużo groźniejszy niż rysowany grubą kreską katotaliban. Bo Braun nie jest anomalią, ale reakcją na stworzony przez progresywne elity świat.

Można nienawidzić Kościoła – często z uzasadnionych powodów – ale nie wolno ignorować faktu, że ludzie potrzebują sacrum. A jeśli nie otrzymają go w dojrzałej formie, sięgną po jego karykaturę. ●

• śródtytuły od Redakcji

Brzuch Jennifer Lopez

„Była ukochana Antka Królikowskiego dziś spotyka się ze znanym muzykiem. Widać taką elektryczność!". Autorzy tego nagłówka dokonali niemożliwego: zobaczyli prąd.

Michał Rusinek

Pod koniec roku odpocznijmy od polityki i przyjrzyjmy się temu, co choćby w ostatnim miesiącu mówiły do nas plotkarskie portale, a ściślej — same tylko tytuły czy nagłówki zamieszczanych w nich artykułów. Czytanie bowiem całych artykułów wymagałoby takich cech charakteru, jakich nam brak.

Widać, że życie celebrytów i celebrytek obfituje w dramaty: „Dramat Małgorzaty Rozenek na Malediwach. »Utyłam na tym wyjeździe z 10 kilo«„. Rozważaliśmy kiedyś wakacje na Malediwach, ale nie było nas stać. Teraz doszedł nam dodatkowy argument: polska kuchnia jest mniej tucząca od malediwskiej. „Jennifer Lopez wciąga brzuch na widok paparazzi"; widocznie nie była na Malediwach. Przypomina mi się profesor Jerzy Bralczyk, który na widok paparazzich (bo oni się też deklinują) mawia: „Wciągnąłbym brzuch, gdybym miał gdzie". Niech Jennifer Lopez się cieszy, że ma.

Kolejny nagłówek brzmi dramatycznie wyłącznie ze względu na brak w polszczyźnie przymiotnika oznaczającego osobę, która nie nałożyła makijażu; „nieumalowana" brzmiałoby widocznie niedostatecznie profesjonalnie: „Pozbawiona makijażu Aleksandra Żebrowska tankuje jeepa za 345,99 gawędząc przez telefon". Nie wiemy i nie chcemy wiedzieć, kto ją pozbawił makijażu oraz w jakich okolicznościach, chcielibyśmy się natomiast dowiedzieć, gdzie można kupić terenowy samochód za takie pieniądze. Dramatycznie przedstawia się także następująca relacja: „Była ukochana Antka Królikowskiego dziś spotyka się ze znanym muzykiem. »Widać taką elektryczność!«„. Rozumiem, że chodzi o napięcie erotyczne, które zwykle określane jest za pomocą metafor chemicznych (chemia) lub fizycznych (iskrzenie). „Elektryczność" to w tym przypadku metafora, by tak rzec, niezużyta. Jeśli to jednak nie jest metafora, to autorzy tego nagłówka dokonali niemożliwego: zobaczyli prąd.

A wracając do kwestii erotycznych: „Maryla Rodowicz wspomina burzliwy romans z Danielem Olbrychskim. »Jakie to było podniecające. Pachniał koniem i potem«„. Czyli to, co nas podnieca, to się nie tylko nazywa kasa — by zacytować tekst Andrzeja Korzyńskiego śpiewany niegdyś przez panią Rodowicz. Poza tym kusi nas, by zadać sztubackie pytanie, czy pan Olbrychski pachniał koniem także przedtem, ale się powstrzymamy przed jego postawieniem. Byłaby to z naszej strony interpretacyjna wpadka, swoją drogą słowo dość często pojawiające się w nagłówkach, bo gwarantuje klikalność. Wpadki zwykle są dramatyczne, ale ta wydaje się już najdramatyczniejsza: „Wpadka TVP Info. Pomylili Stinga z Cezarym Pazurą".

Dramatyzmu nagłówkom dodaje fakt, że celebrytki torebek nie noszą, ale się w nie uzbrajają: „Lily Collins uzbrojona w czerwoną torebkę Fendi mknie na nagranie w sukience z prześwitami". Można mieć wątpliwości, czy to sukienka gwiazdy ma prześwity, czy też prześwity będą z nią coś nagrywać, ale każdy przecież może wpaść w pułapkę ambfibologii. W torebkę można się natomiast również wyposażyć: „Wyposażona w torebkę za 200 tys. złotych Joanna Przetakiewicz wozi się po mieście bentleyem za 2 miliony". Jak widać, autorzy plotkarskich tytułów może i miewają kłopoty z logiką, ale nie mają kłopotów z szacowaniem wartości dóbr materialnych.

Celebryci samotni zawsze wyglądają dramatycznie: „Samotna Katarzyna Zillmann szwenda się po markecie wieczorową porą". Człowiek samotny nie może po prostu chodzić. Może za to maszerować, ale to się zwykle źle kończy: „Zakapturzona Kinga Rusin maszeruje samotnie po Warszawie i przechodzi w niedozwolonym miejscu". Widocznie jej życiu brakowało dramatyzmu i postanowiła poigrać z losem.

Celebrytom nie może się po prostu zmienić twarz, w sposób bardziej lub mniej naturalny. Tak więc na przykład: „Doda wspomina, jak przez 20 lat ewoluowało jej lico". A więc skoro była to ewolucja, rzeczone zmiany musiały mieć charakter naturalny. My możemy co najwyżej popełniać błędy, ale celebryci wszystko: „Echa głośnego wywiadu Janji Lesar o jej relacji z Zillmann: »Popełniła PR-owy majstersztyk«„. To chyba dobrze, prawda?

„Anna Wendzikowska o kontakcie z eks, który odszedł 3 tygodnie po porodzie córki: »Staramy się trzymać relację techniczną«„. Jak widać, nie unikniemy i tutaj polityki. Przymiotnik „techniczny" należy przecież do języka „dobrej zmiany": mieliśmy mieć „rząd techniczny", była „techniczna konieczność", „techniczne zboże", „techniczne zmiany".

„Techniczny" był zwykle synonimem czegoś nieistotnego, nieprawdziwego, a posługiwanie się nim miało uśpić naszą czujność. Jeśli więc nasz partner lub partnerka powiedzą, że mają ze swoimi byłymi relacje wyłącznie techniczne, to chyba możemy spać spokojnie.

Bohaterkami plotkarskich portali bywają także żony polityków, na przykład sama pierwsza dama: „Marta Nawrocka odsłania nogi w białej kreacji i walczy z hejtem". Słusznie. Do walki zawsze trzeba być odpowiednio ubranym (ubraną). Kolor biały nie jest może praktyczny, ale symbolicznie od razu wskazuje na tego (tę), kto (która) wygra, lub przynajmniej wygrać powinien (powinna).

W ostatnim miesiącu najczęściej pojawiającym się nazwiskiem w nagłówkach plotkarskich portali było nazwisko Marianny Schreiber. Jest to była żona polityka Prawa i Sprawiedliwości, która miała zarówno ambicje polityczne (założyła własną partię), jak i celebryckie (freak fighty, „Królowe przetrwania" itp.). Chętnie dzieli się publicznie swoim dość dynamicznym i dramatycznym życiem prywatnym. Spodobała nam się na przykład poetycka wieloznaczność (rzadka figura zwana sylepsą lub zeugmą prostą) w nagłówku: „Marianna Schreiber rozwodzi się na temat rozstania z Piotrem Korczarowskim". Współczujemy, rozumiemy, że było źle, ale wszystko się chyba jednak dobrze skończyło, skoro: „Piotr Korczarowski oddał Mariannie Schreiber sery, które zabrał z jej lodówki po rozstaniu". „Uwaga! Marianna Schreiber znowu jest zakochana. Nadążacie?". Nie, ale i nie mamy takich ambicji.

Czas na podsumowanie: „Julia Walczak podsumowuje kończący się rok. »Byłam smutna«„. Nam też się zdarzało, ale w chwilach dojmującej melancholii mogliśmy poprawić sobie humor zaglądając do nagłówków plotkarskich portali. Co polecamy także pani Julii. ●

eprasa.pl d1e4f06fae

MOTYL MIESZA W POGODZIE

Dlaczego prognozy pogody nie przewidują przyszłości?
Jak to możliwe, że jedne prognozują deszcz, a inne śnieg albo wręcz słońce?

FOT. MAGDA PATER / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Synoptyk: Jak sobie poradzimy, kiedy któregoś roku wróci prawdziwa zima? (na zdj. zaśnieżona ulica Koszalina, 21.11.2024 r.)**

Tomasz Ulanowski

Ileby zobaczyć, jak działa słynny efekt motyla, wrzucaliśmy do oceanu żółte gumowe kaczuszki – opowiadała mi niemal dekadę temu dr Emily Shuckburgh, matematyczka, oceanografka i klimatolożka, z którą spotkałem się w kafeterii Brytyjskiej Służby Antarktycznej w Cambridge. To była któraś z kolei wyprawa morska do Antarktyki początkującej wówczas badaczki. I na Oceanie Południowym dr Shuckburgh zrozumiała, że jest częścią równania opisującego chaos dynamiki płynów.

– Marynarze na naszym statku pukali się w czoła. – Śmiała się Brytyjka, gestykulując i kreśląc w powietrzu dzikie figury geometryczne. – A nasze kaczuszki były sondami. Wyposażyliśmy je w nadajniki GPS i dzięki temu mogliśmy zobaczyć, dokąd popłyną i czy to będzie tam, dokąd sądziliśmy, że popłyną.

Shuckburgh i jej towarzysze wyrzucili sondy jednocześnie. Wodowały niemal w tym samym miejscu. Niemal. Dlatego po pół roku jedna z żółtych kaczuszek dopłynęła do Afryki, druga pływała koło Falklandów, a trzecia była jeszcze gdzie indziej – i to o tysiące kilometrów gdzie indziej.

Nie był to zresztą najsłynniejszy eksperyment z żółtymi kaczuszkami. Najgłośniejszy jest chyba ten, który sam się zrealizował. W 1992 roku przez kontenerowiec płynący z Hongkongu do USA przelała się fala, która zmyła z pokładu do Pacyfiku kilkanaście kontenerów. W jednym z nich chińscy producenci upakowali blisko 29 tysięcy plastikowych zabawek, w tym żółte kaczuszki.

Kontener się otworzył, a zabawki rozpłynęły się po świecie.

Potem znajdowano je na wybrzeżach Hawajów, Australii i Ameryki Południowej. Część z nich podryfowała na północ, przepłynęła Cieśninę Beringa, pokonała Ocean Arktyczny i przedostała się na Atlantyk. Wylądowały na Grenlandii, Islandii, w Kanadzie i USA. Niektóre złapał Golfsztrom i poniósł z powrotem na północ. W 2017 roku polscy naukowcy znaleźli jedną z nich na arktycznej Ziemi Księcia Karola.

Znowu: chińskie zabawki wypłynęły w swą dziką podróż niemal w jednym miejscu. „Niemal” robi jednak wielką różnicę.

Prognozy pogody, czyli dynamika płynów

Przelewaniem się wody w oceanie i prądami morskimi zajmuje się dziedzina fizyki zwana dynamiką płynów. Ta sama, która próbuje opisać... wichry wiejące w atmosferze. Dlaczego? Bo z punktu widzenia fizyki gaz – a takim jest powietrze wypełniające atmosferę (im wyżej, tym go mniej) – jest płynem. Mniej gęstym od cieczy, ale jednak płynem.

Pięknie pokazują to wypełnione cieczą globusy stojące w ośrodkach naukowych zajmujących się badaniem atmosfery. Można nimi zakręcić i zobaczyć, jak ruch obrotowy Ziemi oddziałuje na pokrywające naszą planetę oceany oraz atmosferę. Pod wpływem siły Coriolisa płyn zaczyna się zwijać w węże i wężyki, wirować i obiegać glob prądami – morskimi lub powietrznymi (ruch atmosfery nazywamy wiatrem).

W atmosferze swoje trzy grosze dokładają różnice w nasłonecznieniu, które wpływają na ciśnienie atmosferyczne. Tam, gdzie jest ono wyższe od tego normalnego, występującego na poziomie morza (jeśli lubicie liczby: wynoszącego 1013 hPa), powstają wyże atmosferyczne. A tam, gdzie niższe, tworzą się niże.

Jedne i drugie dobrze widać na zdjęciach satelitarnych. Te pierwsze zwykle tworzą ośrodki pięknej, słonecznej pogody, a wokół drugich wirują chmury, wieje wiatr i pada. Jedne i drugie, ale szczególnie te drugie, lubią też wędrować po świecie, porywając ze sobą wszelkie żółte kaczuszki.

Same chmury są zresztą kolejnym silnikiem napędzającym ruch atmosfery. To silnik... parowy. Chmura składa się z aerozolu, maleńkich kropli wody o średnicy 10 mikrometrów (jednej czwartej grubości włosa ludzkiego), które przychodzą na świat w następujący sposób: pod wpływem promieni słonecznych powierzchnia Ziemi się nagrzewa, a zawarta w niej woda zmienia się w parę wodną i unosi się w powietrze. Kiedy para dociera na pewną wysokość – zwaną poziomem kondensacji – schładza się na tyle, że ponownie się skrapla. Zazwyczaj na jądrach kondensacji, czyli różnych zanieczyszczeniach unoszących się w powietrzu, czyli soli morskiej, pyle, siarczkach dimetylu wydzielanych przez fitoplankton (maleńkie rośliny i bakterie żyjące w zbiornikach wodnych).

Podczas kondensacji skraplająca się para wodna oddaje energię (ciepło utajone), które jeszcze na powierzchni Ziemi pobrała, by przemienić się z cieczy w gaz.

Podobnie wygląda zresztą mechanizm chłodzenia sprezentowany nam przez ewolucję. Kiedy się przegrzewamy, pocimy się, a potem oddajemy rozgrzaną wodę (parę wodną) atmosferze i dzięki temu nasze ciało się schładza.

Maszyna parowa pracująca w chmurach – napędzana ciepłem przemiany fazowej: z cieczy w gaz i z powrotem – napędza ruchy atmosfery. Jest źródłem energii kinetycznej, która wpływa nie tylko na globalną cyrkulację powietrza, ale również na zjawiska lokalne: wiatr, burze, zmiany pogody.

Proste?

Jeśli tak, to weź i zapisz to w równaniach różniczkowych, na których opierają się modele numeryczne odpowiadające obecnie za prognozowanie pogody.

1 RP

eprasa.pl d1e4f06fae

Efekt motyla, czyli teoria chaosu

– Efekt motyla jest główną przyczyną niepewności wszystkich prognoz pogody – tłumaczy prof. Mirosław Miętus, meteorologii i klimatolog z Instytutu Geografii Uniwersytetu Gdańskiego, w latach 2021-24 sprawujący funkcję wicedyrektora Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej w Warszawie.

Efekt motyla to pojęcie, którego popularyzację przypisuje się Edwardowi Lorenzowi, matematykowi, meteorologowi i profesorowi Massachusetts Institute of Technology (MIT). W 1961 roku Lorenz pracował nad komputerowym modelem pogody i, testując jego działanie, lekko zróżnicował dane wejściowe. W efekcie model wypluł dwa różne rozwiązania – prognozy pogody coraz mocniej różniące się wraz z upływem czasu. Był to wyraźny dowód na to, że pogodą rządzi teoria chaosu. To, czy pada, czy świeci słońce, zależy od zmiennych tak drobnych jak metaforyczne machnięcie skrzydeł motyla. Kiedy stawiamy prognozę pogody, próbujemy więc przewidzieć zachowanie układu chaotycznego, wypełnianego przez praktycznie nieskończoną ilość zmiennych.

Co to za zmienne czy też dane wejściowe, którymi zasila się modele numeryczne opracowujące prognozy pogody w specjalistycznych superkomputerach?

To dane dotyczące temperatury na różnych wysokościach, ciśnienia atmosferycznego, wilgotności czy prędkości wiatru. Im ich więcej, im bardziej gęsta jest sieć pomiarowa, tym więcej wiemy o chwilowym stanie atmosfery. Obecnie są one zbierane w tysiącach punktów pomiarowych, w tym przez stacje naziemne, satelity krążące wokół Ziemi i autonomiczne boje dryfujące w oceanie. Dane te są potem przesyłane do ośrodków zajmujących się prognozowaniem pogody, a te zasilają nimi swoje modele numeryczne.

Jak sami rozumiecie, nie da się zmierzyć wszystkiego, wszędzie i w każdej chwili. Stąd ogromne luki w danych wejściowych zasilających modele rozwiązujące równania w szumiących wentylatorami elektronowych mózgach. Stąd tak wielka przestrzeń dla niewiadomych machnięć motyla siejących chaos w atmosferze. Stąd niepewność współczesnych prognoz pogody.

Bergeńska szkoła meteorologii

Edward Lorenz nie był pierwszym naukowcem, który zabrał się do opisania chaosu atmosferycznego językiem matematyki. Zawdzięczamy to norweskiemu matematykowi, fizykowi i meteorologowi Vilhelmowi Bjerknesowi. Pierwsze równania opisujące atmosferę opublikował w 1904 roku w niemieckim czasopiśmie „Meteorologische Zeitschrift". W pracy zatytułowanej „Problem predykcji pogody z punktu widzenia mechaniki i fizyki" Bjerknes „sprowadził fizykę atmosfery do siedmiu równań, które wymagały obserwacji siedmiu zmiennych: gęstości, ciśnienia, temperatury, wilgotności i prędkości wiatru (rozumianej jako wektor, więc liczonej potrójnie)" – opowiada w książce „The Weather Machine: A Journey Inside the Forecast" amerykański dziennikarz Andrew Blum.

Bjerknes zdawał sobie sprawę, że siedem równań nie jest w stanie opisać wszystkiego, co dzieje się w atmosferze – tym bardziej że ówczesna sieć pomiarowa ziała dziurami wielkości całych krajów. Dlatego do problemu prognozowania pogody podszedł pragmatycznie.

W organizowanej przez siebie w Bergen tuż po zakończeniu I wojny służbie pogodowej Norwegii Zachodniej oparł się na rzadkiej sieci obserwacyjnej przesyłającej dane dotyczące stanu atmosfery codziennie o ósmej rano (przez telefon). Na podstawie tych mocno niepełnych informacji tworzył mapy temperatury i ciśnienia, doszukując się w nich wzorów i wynikających z nich zależności. Rysował więc linie konwergencji, w których spotkanie różnych mas powietrza skutkowało opadami deszczu lub śniegu, a także fronty atmosferyczne przesuwające się wraz z wiatrem (na naszej szerokości geograficznej zwykle z zachodu na wschód).

Bergeńska szkoła meteorologii do dziś ma się dobrze. Jej owocem są m.in. mapy i prognozy synoptyczne, jednak obecnie bazują one na numerycznych prognozach tworzonych przez modele komputerowe.

Polska rezygnuje z nauki

– Najlepszym ogólnoświatowym modelem może od jakiegoś czasu pochwalić się Europejskie Centrum Prognoz Średnioterminowych w Reading w Wielkiej Brytanii – mówi prof. Mirosław Miętus.

ECMWF, od European Centre for Medium-range Weather Forecasts, jest jednym z kilku tej rangi ośrodków globalnie modelujących pogodę. Kiedy je zakładano w 1979 roku, celem było postawienie wysoce prawdopodobnej prognozy pogody na najbliższe dwa tygodnie.

– Obecnie prawie pewne prognozy stawiamy na dwa-trzy dni w przód – dodaje prof. Miętus. – Prognoza z wyprzedzeniem od czterech do siedmiu dni ma zaś wysoki stopień prawdopodobieństwa.

Wysokie prawdopodobieństwo oznacza, że stawiane przez dany ośrodek prognozy pogody sprawdzają się w 80 proc. Prognoza nigdy nie jest 100-procentowo pewna, nie potrafimy jeszcze przewidywać przyszłości, ale przy stawianiu prognoz jesteśmy tego najbliżej.

Prognoza to tylko prognoza. Może się sprawdzić, ale nie musi. Im bliższe jest zjawisko, które prognozuje, tym większe prawdopodobieństwo, że robi to właściwie. Im dalsze, tym szansa niższa, a ryzyko rośnie.

Przez ostatnie pół wieku z okładem naukowcy zajmujący się fizyką atmosfery przesuwali w przyszłość prognozy pogody w tempie dnia na dekadę. A każdy taki postęp wymagał wymiany trzech pokoleń superkomputerów (zbliżonych mocą do tych modelujących efekty wybuchów jądrowych). Oznacza to, że gdyby to tempo nie przyspieszyło, to za kolejne siedem dekad ECMWF osiągnie swój cel założycielski: stworzy software, który postawi wiarygodną prognozę pogody na dwa tygodnie w przód.

Jak sama nazwa wskazuje, Europejskie Centrum Prognoz Średnioterminowych jest instytucją międzynarodową. Polska jest jednym z niewielu krajów Europy, które do niego nie należą. Na mapie państw członkowskich i tych współpracujących nasz kraj zieje niczym biała plama – obok Białorusi, Ukrainy i Rosji. Choć koszt członkostwa to ledwie kilka milionów euro rocznie. Dla naszego państwa to grosze.

Dlaczego rezygnujemy z tej możliwości?

Bo możemy bezpłatnie korzystać z modelu ECMWF. Pasożytujemy więc, ale, niestety, czerpiemy z tego pasożytnictwa tylko korzyści krótkoterminowe.

– Kiedy jeszcze pracowałem w IMGW – przyznaje prof. Miętus – zachęcałem decydentów, byśmy dołączyli do Europejskiego Centrum Prognoz Średnioterminowych. Zapytano mnie, czy dzięki temu nasze prognozy pogody się poprawią. Odpowiedziałem, że za chwilę nie, ale za pięć lat – na pewno.

W jaki sposób?

Członkostwo daje dostęp do pracy nad samym modelem. Bo równania, za pomocą których w ECMWF opisuje się chwilowy stan atmosfery w danym miejscu i czasie (czyli to, co zwykli śmiertelnicy nazywają pogodą), podlegają ciągłym poprawkom. Daje możliwość wysłania tam własnych fizyków atmosfery – po to, by pracowali w elitarnym gronie naukowców z innych krajów i podnosili swoje kompetencje, a potem wrócili z nimi do kraju.

IMGW bierze za to udział w innych konsorcjach pracujących nad modelami pogody: w kierowanym przez Deutsche Wetterdienst COSMO, od Consortium for Small-scale Modeling, oraz ALADIN, zarządzanym przez Météo France. To modele lokalne, a nie globalne. Mają za to większą rozdzielczość od modelu ECMWF, czyli przyglądają się chwilowemu stanowi atmosfery z większą dokładnością, np. w różnych punktach Polski.

Wiązki prognoz, głupcze!

Kiedy wejdziecie na stronę, na której IMGW prezentuje mapy dynamiczne – prognozy m.in. temperatury, opadów, wiatru i ciśnienia – zobaczycie, że w zależności od odległości prognozy można tam wybrać różne modele numeryczne. Co więcej, stawiane przez nie prognozy często się rozmijają – zwłaszcza te wybiegające na ponad tydzień naprzód.

– Najtrudniej prognozuje się opady deszczu czy śniegu – mówi prof. Miętus. – Sprawdzalność prognoz opadu na wiele dni w przód jest dramatycznie niska. Z każdym dodatkowym dniem spada na łeb na szyję. W wielu modelach numerycznych sprawdzalność opadu plasuje się poniżej 50 procent.

Dzieje się tak dlatego, że opady atmosferyczne zależą od zbyt wielkiej liczby zmiennych. Na nie efekt motyla wpływa więc najmocniej. To znaczy: gdzieś zapowiadany deszcz czy śnieg najpewniej spadnie. Ale my chcielibyśmy wiedzieć, czy spadnie u nas!

– W żadnej prognozie opad nie jest modelowany bezpośrednio, mamy za mało danych, żeby to obliczyć – wyjaśnia prof. Szymon Malinowski, fizyk atmosfery i klimatolog z Instytutu Geofizyki Uniwersytetu Warszawskiego. – Dlatego jest obliczany w uproszczony sposób, probabilistycznie. Stąd informacja pojawiająca się w aplikacjach pogodowych w smartfonach.

To, czy pada, czy świeci słońce zależy od zmiennych tak drobnych jak metaforyczne machnięcie skrzydeł motyla. Kiedy stawiamy prognozę pogody, próbujemy więc przewidzieć zachowanie układu chaotycznego, wypełnianego przez praktycznie nieskończoną ilość zmiennych

Patrzę na swoją: w Warszawie prognozuje deszcz. Prawdopodobieństwo: 80 procent. Wysokie.

Prof. Malinowski uważa, że instytuty meteorologiczne i aplikacje w smartfonach powinny korzystać z wiązek prognoz. – To fundamentalna sprawa – peroruje. – Wszystkie duże ośrodki prognostyczne obliczają kilkadziesiąt wariantów możliwego rozwoju sytuacji pogodowej. A nam się pokazuje tylko jeden. Dlaczego to niedobrze? Jeśli różne wiązki pokrywają się jak gałęzie w miotle, czyli prognozują to samo, to prognoza jest bardziej wiarygodna. Jeśli się rozchodzą, to mniej.

To nie wszystko. Model to tylko model. Ponieważ czerpie z niepełnych danych dotyczących stanu początkowego atmosfery i opiera się na niedoskonałych równaniach, żyje swoim życiem, które z każdym kolejnym dniem rozjeżdża się z rzeczywistością pogodową, w której żyjemy. Przy czym różne modele wędrują nieco w inne strony. Dlatego wszystkie potrzebują nadzoru człowieka.

Najlepsze prognozy pogody korzystają z umiejętności i wiedzy doświadczonych synoptyków, którzy na bieżąco sprowadzają na ziemię przewidywania modeli komputerowych. I znają lokalną specyfikę klimatyczno-pogodową.

Czy AI złapie motyla?

Czy w przyszłości ludzi zastąpi w tym sztuczna inteligencja? – pytam profesorów Miętusa i Malinowskiego.

Coraz więcej ośrodków naukowych, w tym Europejskie Centrum Prognoz Średnioterminowych, chwali się opracowaniem algorytmów AI, których dokładność w prognozowaniu pogody dorównuje modelom numerycznym, a nawet doświadczonym synoptykom.

– Mam nadzieję, że AI będzie ludzi wspomagać, ale nie zastępować – odpowiada prof. Miętus. – Jest jednak tańsza i szybsza od ludzi, więc kto wie? Na pewno nie jesteśmy jeszcze gotowi na rezygnację z synoptyków z krwi i kości.

– Pożyjemy, zobaczymy – uspokaja prof. Malinowski.

Obaj naukowcy ostrzegają, że algorytmy AI szkolą się na danych z przeszłości, innych w końcu nie mamy. A z powodu galopujących zmian klimatu wzorce pogodowe szybko się zmieniają. Dziś mamy do czynienia z pogodą, która jeszcze niedawno była nie do pomyślenia. I nie chodzi tylko o coraz mocniejsze ocieplenie, czyli o rosnącą średnią temperaturę.

Pogoda staje się coraz bardziej zwariowana, narasta moc i częstotliwość ekstremalnych zjawisk pogodowych. Naukowcy mówią o pogodzie na sterydach.

– Klimat zmienia się tak gwałtownie, że wymyka się nawet doświadczeniu i intuicji synoptyków – uważa prof. Malinowski.

A pogoda na sterydach to nie tylko upały, susze, ulewy, burze czy cyklony.

– Jak sobie poradzimy, kiedy któregoś roku nagle wróci prawdziwa zima? – zastanawia się prof. Miętus. – Bo zmiany klimatu oznaczają nie tylko przesunięcie rozkładu normalnego w gorętszą stronę [obecnie w zasadzie został nam już ledwie jeden miesiąc prawdziwej zimy], ale także rozbujanie wariancji. Więc mimo tego, że jest coraz cieplej, wciąż mogą nam się przytrafić bardzo śnieżne zimy z temperaturami spadającymi do -15 stopni. A większość z nas już zapomniała, jak przetrwać taką zimę.

– Może ją sprowokować choćby rozpad wiru polarnego, dziś bardziej prawdopodobny niż kiedyś – dodaje prof. Malinowski. W efekcie do naszej części świata może nagle spłynąć bardzo zimne powietrze z okrytej nocą polarną zimowej Arktyki.

– Arktyka ociepla się kilkukrotnie szybciej niż cała Ziemia – zauważa naukowiec. – Przez to zmieniają się wzorce pogodowe na półkuli północnej. Przy okazji zdarzają się zjawiska, które kiedyś były niemożliwe, np. tegoroczna powódź we wrześniu. Po raz pierwszy typowo letnia powódź przytrafiła nam się jesienią!

Z powodu zmian klimatu motyl macha skrzydłami coraz szybciej, a nam coraz trudniej za nim nadążyć.

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCA: Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYNY I KULTURA: Agata Żelazowska
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.
IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl d1e4f06fae

Więcej namiętności i Jezusa

Czego jeszcze potrzebują Europa z Ameryką według 5 ludzi **którzy myślą, że wiedzą, co zrobić, żeby znowu było dobrze**

Mateusz Mazzini

Transatlantyk

Jonathan Powell

FOT. LEON NEAL/GETTY IMAGES

Czasy są trudne, a perspektywy fatalne. Mam bardzo mało wiary w nasz rząd i uważam, że Starmer nie przetrwa na stanowisku do końca przyszłego roku. Ale Jonathan jest świetny. *He's an old pro*. Jeden z bardzo niewielu" – pisze mi w SMS-ie brytyjski dyplomata, który spędził kilkanaście lat w randze ambasadora, współpracując z rządami różnych opcji, od Gordona Browna aż po Rishiego Sunaka.

Inny znajomy, dzisiaj analityk w think-tanku, wcześniej urzędnik służby cywilnej, o Jonathanie Powellu, doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego premiera Wielkiej Brytanii Keira Starmera, ma dokładnie takie samo zdanie. Szacunkiem darzy go szef polskiego MSZ Radosław Sikorski – z alei Szucha słyszę, po raz kolejny, same dobre rzeczy na temat Brytyjczyka.

Ivan Krastev, jeden z najważniejszych europejskich intelektualistów, mówił mi na początku grudnia w Warszawie, że Powell jest „absolutnie kluczowy dla koordynacji całej europejskiej polityki wobec Ukrainy". I dodał, że upadek rządu Starmera, w oczach wielu ekspertów już nieuchronny, przewidywany mniej więcej na maj, po prawdopodobnej katastrofie Partii Pracy w kolejnych wyborach samorządowych, miałby przykre konsekwencje właśnie z powodu odejścia Powella.

Mniejsza o samego Starmera, na którym chyba wszyscy w Europie położyli już kreskę. To właśnie Powell, 69-letni szpakowaty gentleman ucieleśniający wszystkie stereotypy na temat brytyjskich dyplomatów, jest dziś najcenniejszym zasobem brytyjskiej polityki – a jego rola będzie tylko rosnąć.

Życiorys zawodowy ma tak bogaty, że na podstawie jego kolejnych miejsc pracy można właściwie odtworzyć całą historię polityczną Wielkiej Brytanii po erze thatcheryzmu.

Po raz pierwszy zyskał rozpoznawalność w 1997 roku, kiedy Tony Blair, ucieleśniający optymizm wczesnych lat globalizacji, opromieniony imponującym zwycięstwem w wyborach parlamentarnych, mianował go szefem personelu w kancelarii premiera przy 10 Downing Street. Powell, już wtedy uznawany za jednego z najzdolniejszych technokratów w ekipie Nowej Lewicy, tworząc kampanię wyborczą Partii Pracy, wyróżniał się dwiema rzeczami i obie zostały mu do dziś.

Po pierwsze – co słyszę od ludzi, którzy z Powellem pracowali – był wręcz chorobliwie ambitny i tak samo pracowity. Po drugie – maniakalnie unikał jakichkolwiek kontaktów z prasą. Do tego stopnia, że bardzo długo nikt nie wiedział, jak Jonathan Powell naprawdę wygląda. Był tak skuteczny w pozostawaniu w cieniu kochających atencję kolegów, że przez długie lata wydawcy w BBC mylili go z innym Jonathanem Powellem, znanym producentem filmowym – wieszając przy tym nazwisku pomylone zdjęcie w newsroomie.

Główny doradca Keira Starmera nadal trzyma się z dala od blasku fleszy, co wyjaśnia w dużej mierze, dla-

eprasa.pl d1e4f06fae

czego jego nazwisko nie pojawia się w przeciekach na temat negocjacji w sprawie zakończenia wojny w Ukrainie. To wyczyn, bo przecieków jest dużo, także dlatego, że rządy europejskie mają interes w tym, żeby świat poznał szczegóły rozmów administracji Trumpa z Rosjanami. Obserwatorzy polityki międzynarodowej nauczyli się nazwisk Steve'a Witkoffa, Kiriła Dimitriiewa, Andrieja Jermaka, ale Jonathan Powell nadal dla większości pozostaje całkowicie anonimowy.

Tak samo było przez lata przy Blairze, z którym był nierozłączny, także pod względem przekonań.

Żeby zrozumieć, jak wielką siłę oddziaływania na brytyjską politykę miał i ma Powell, trzeba wrócić do dni wielkiego triumfu lewicy z połowy lat 90. Blair czy późniejszy premier Gordon Brown zyskali wówczas status celebrytki, ich popularność sięgała poziomu największych gwiazd BritPopu, zresztą bracia Gallagher, liderzy Oasis, symbolu triumfu brytyjskiej popkultury na globalnym rynku, sami nawiali fanów do głosowania na Partię Pracy. Niósł ich wtedy zeitgeist, przekonanie o fukuyamowskim końcu historii, nieuchronności triumfu liberalnej demokracji, deregulacji i wolnego rynku.

Ale równie ważny był sojusz z amerykańską Partią Demokratyczną. W serialu dokumentalnym BBC o rządach Blaira wszyscy przyznają, że czerpali inspiracje z pomysłów mało znanego gubernatora stanu Arkansas, Billa Clintona. Kiedy Blair był już premierem Wielkiej Brytanii, a Clinton prezydentem USA, obaj uprawiali politykę „liberalnego internacjonalizmu", interweniując, gdzie tylko się da, obudowując to jeszcze szumnie w słowo „doktryna", nazywana oczywiście od ich nazwisk.

Nic z tego nie byłoby możliwe, gdyby nie Powell. To on został wydelegowany do rozbudowania kontaktów z Amerykanami i to on zidentyfikował Clintona jako najlepszą inwestycję dla Brytyjczyków. Jak sam powiedział w jednym z nielicznych wywiadów, których udzielił przez kilka dekad w polityce, Clinton „był kandydatem z potencjałem, ale na pewno nie faworytem". Powell miał jednak przeczucie, że młody Demokrata może osiągnąć gigantyczny sukces, a przede wszystkim – że może być otwarty na współpracę z ideologicznie bliźniaczą partią, która podobną do jego gospodarczej rewolucji przeprowadzała właśnie po drugiej stronie Atlantyku.

Powellowi było łatwo nawiązać kontakt z Clintonem także dlatego, że skończyli ten sam college na Oksfordzie.

Gdy Europa traci jakiekolwiek wpływy w Waszyngtonie, a tradycyjne więzi transatlantyckie okazują się bezużyteczne, jego intuicja wobec amerykańskich elit ma ogromną wartość. Jako jedyny z Europejczyków, Powell ma bowiem relatywnie dobrą relację z Witkoffem, nowojorskim deweloperem, który w imieniu Trumpa jeździ po świecie i załatwia ich rodzinne interesy, jednocześnie twierdząc, że rozwiązuje wojny i konflikty zbrojne. Tu z kolei punktem wspólnym jest Gaza, którą Powell zajmował się jeszcze za Blaira.

Choć jest znany z progresywnych poglądów społecznych, na Wyspach wytyka mu się, że był i nadal jest największym – nie przestał wierzyć w zasadność interwencji w Iraku – ideologicznym lojalistą byłego szefa. Niewykluczone, że właśnie dzięki temu przetrwał w polityce tak długo, choć w drugim szeregu.

Jak przystało na brytyjskiego urzędnika służby cywilnej – bo faktycznie nigdy nie został politykiem, nawet jeśli marzył o zostaniu posłem Partii Pracy – nie odmówił też pracy dla rządu o innej orientacji ideologicznej, jak w 2014 roku, gdy David Cameron powołał go na stanowisko specjalnego wysłannika do spraw Libii.

Wszystko, co w ostatnich latach było dla brytyjskiej dyplomacji ważne, ma na sobie odciski palców Jonathana Powella. Porozumienie Wielkopiątkowe kończące konflikt w Irlandii Północnej, interwencje w Kosowie, Iraku, Afganistanie i Libii, brytyjskie poparcie dla planu Trumpa dla Gazy. Oraz negocjacje w sprawie przekazania władzom Mauritiusu kontroli nad archipelagiem Czagos na Oceanie Indyjskim, nazywanym „ostatnią brytyjską kolonią". W tle umowy dającej Brytyjczykom prawo do 99-letniej dzierżawy bazy wojskowej na wyspach jest kolejny wątek amerykański, bo baza będzie współdzielona z USA – co jest kluczowe dla architektury bezpieczeństwa na Oceanie Indyjskim i na Bliskim Wschodzie. To właśnie na Czagos Amerykanie trzymali bombowce B-2 w czasie tegorocznego kryzysu irańskiego.

To Powell doprowadził do odnowienia relacji ukraińsko-amerykańskich po kryzysie wywołanym awanturą pomiędzy Trumpem, J.D. Vance'm i Wołodymyrem Zełenskim w Gabinecie Owalnym w lutym 2025 roku. A jak słyszę od moich brytyjskich rozmówców, właśnie on był „europejskim dyplomatą" wspominanym w głośnym reportażu „The Wall Street Journal" o biznesowych kulisach planu pokojowego dla Ukrainy. Ów dyplomata próbować przekonać Witkoffa, by ten używał bezpiecznego połączenia komunikacyjnego do rozmów z europejskimi sojusznikami.

Bezskutecznie, więc dla wielu to fiasko, ale w dzisiejszej dyplomacji jako sukces liczy się sam fakt, że Amerykanin z kimkolwiek po europejskiej stronie w ogóle rozmawia. Chociażby z tego powodu Jonathan Powell będzie w 2026 roku jedną z kluczowych osób dla bezpieczeństwa całej Europy.

Bardzo stara młoda Europejka

Lea Ypi

FOT. MARKUS WISSMANN/SHUTTERSTOCK

Jednym z najważniejszych zadań intelektualnych mijającego roku było gorączkowe poszukiwanie odpowiedzi na pytanie, co właściwie odróżnia społeczeństwa europejskie od amerykańskiego. Podszyte lękiem, wywodziło się z niepewności, czy to, co dzieje się za oceanem, może powtórzyć się również tutaj. A jeśli nie – to dlaczego? Przecież amerykańskie instytucje publiczne, uniwersytety czy media zbudowane zostały na europejskich wartościach i rękami imigrantów ze Starego Kontynentu oraz ich potomków. Przez ostatnie 80 lat to Amerykanie byli dla Europy wizją jej własnej przyszłości. Jednak dzisiaj, kiedy po sojuszu transatlantyckim pozostają tylko wspomnienia, a Stany pogrążają się w nierównościach, politycznej przemocy i antydemokratycznej destrukcji państwa, wszyscy desperacko szukamy tego, co nas od Amerykanów może odróżnić.

Na takie pytania nie ma jednoznacznej odpowiedzi, bo załamanie się norm demokratycznych nigdy nie ma jednej przyczyny. Niemniej w chwilach radykalnych zmian różnice stają się ostrzejsze. Uwidaczniają się w tym, kto i o co gotów jest walczyć. A przede wszystkim – skąd wzięły się nasze hierarchie wartości.

W społeczeństwach Europy inaczej niż w USA, światopogląd kształtuje się przez osmozę, bo w Europie wszystko jest historią, a więc wszystko niesie ładunek etyczny. Przypomina o tragedii, wojnie, śmierci, ale też o momentach chwały i sukcesów. Społeczeństwo amerykańskie, jak pisał wybitny socjolog Robert Putnam, to społeczeństwo znacznie bardziej zindywidualizowane, wychylone w przyszłość, w którym zbiorowość z definicji jest kategorią ucisku wobec jednostki. W Europie wszyscy jesteśmy z tych, którzy byli przed nami.

Być może nikt w tej chwili nie tłumaczy tego lepiej niż Lea Ypi – albańska politolożka i pisarka, której głos w 2026 roku będzie jeszcze bardziej słyszalny niż wcześniej.

Ypi stała się jedną z najciekawszych europejskich intelektualistek cztery lata temu, kiedy opublikowała swoją pierwszą nieakademicką książkę „Wolna". To autobiograficzna opowieść o dzieciństwie i dojrzewaniu w Albanii na przełomie ustrojowych epok. Ypi prowadzi czytelników przez pierwsze lata swojego życia, edukację w komunistycznym, odizolowanym od świata państwie oraz pełną ideologiczną indoktrynację. Wspomina, jak w wieku 6 lat recytowała frazy o walce klas, znaczeniu proletariatu i konieczności walki z imperializmem zachodnich kapitalistów. Robiła to, bo musiała – inaczej nie zostałaby przyjęta do szkoły w rodzinnym mieście. A wszystko z powodu biografii – słowa, które było w jej rodzinie wszechobecne, odmieniane przez wszystkie przypadki, choć nikt go małej Lei nie wyjaśnił.

W kraju jej dzieciństwa wszystko było funkcją czyjejś biografii. Ona wiedziała jedynie, że biografie jej rodziców skazały ich na trudny los, aczkolwiek nie uznawała tego za karę – bo wokół niej każdemu było trudno, tak wyglądała Albania czasów Envera Hodży. Jednocześnie już od dziecka funkcjonowała w dwóch równoległych światach. Publicznym, gdzie materialny niedostatek równał wszystkich w dół, a pusta puszka po pepsi była najbardziej prestiżową z możliwych dekoracji domowych. Oraz prywatnym, gdzie Lea Ypi rozmawiała z babcią po francusku, bawiła się w oparach opowieści o Dantonie i Wolterze, a jednym z najczęstszych tematów rozmów przy obiedzie była ludzka godność.

Dopiero po upadku komunizmu, gdy biografie znów zaczęły należeć do ich właścicieli, a nie do totalitarnego państwa, dowiedziała się, dlaczego te światy musiały zostać rozdzielone. Jej pradziadek był przedwojennym premierem Albanii, po wojnie też krótko kierował rządem, zanim nastała komunistyczna dyktatura. Jego syn, mąż ukochanej babci, odsiedział za pochodzenie 15 lat – nie uratowała go nawet przyjaźń z czasów studenckich z samym Hodżą. Babcia, której Ypi poświęciła najnowszą książkę „Indignity: A Life Reimagined", była z kolei potomkinią klasy wyższej w Imperium Osmańskim, kształciła się po francusku, paliła papierosy i stanowiła chodzący symbol burżuazyjnej dekadencji. Mama obecnej gwiazdy europejskiej teorii polityki pochodziła z kolei z rodziny magnatów handlu morskiego, jej majątek w całości znacjonalizowano.

Lea Ypi ilustruje na własnym przykładzie i niezrozumiałą dla Amerykanów złożoność życiorysów europejskich intelektualistów, i znaczenie uczenia się świata przez osmozę. „Wolna" to nie tylko opowieść o urokach wolności, ale też o tragicznych dylematach związanych z życiem w wolnym kraju. Po upadku dyktatury uciążliwy, ale uporządkowany świat małej dziewczynki nagle się zawalił. A to, co przyszło potem, nie było ani proste, ani uniwersalnie dobre. Wolność przyniosła prawo, ale i konieczność wyboru, a wybór oznacza stratę.

Na przykładzie losów własnej rodziny i filozofii liberalizmu, którą zajmuje się w pracy akademickiej, Ypi przygląda się fundamentom całego europejskiego projektu politycznego. Czym jest wolność? Czym jest godność? Czy da się pogodzić jedno z drugim, kiedy wolności, zwłaszcza tej gospodarczej, nic nie reguluje?

Jedno zdanie w „Wolnej" podsumowuje tragedię milionów Europejczyków o lewicowych poglądach, którzy nie przyjęli Związku Radzieckiego jako swojego patrona. Eurokomuniści, socjaliści, socjaldemokraci, progresywiści marzyli o sprawiedliwości społecznej, a po upadku Muru Berlińskiego dostali reaganowski neoliberalizm, bo nic innego nie mogło się wtedy równać z tą ideologią. „Wszyscy w mojej rodzinie mieli swoje ulubione rewolucje. Ulubioną rewolucją mojego ojca była ta, która nigdy nie nadeszła" – pisze o swoim tacie socjaliście. Który nigdy nie uwierzył w niewidzialną rękę rynku.

„Może właśnie to, że ta rewolucja nigdy nie nadeszła, sprawia, że jest rewolucją, do której warto dążyć" – powiedziała mi Ypi, gdy w grudniu spotkaliśmy się w Wiedniu dzięki uprzejmości fundacji ERSTE Banku. W rozmowie ze mną krytyczna, wykształcona we Włoszech i Wielkiej Brytanii badaczka wzywa do rewizji dominującej narracji o ruchach dysydenckich Europy Środkowo-Wschodniej, przypominając, że wywodziły się one właśnie z walki o godność, a nie o deregulację. A w wywiadzie w „The Financial Times" diagnozuje różnie między dzisiejszymi liberałami i lewicą a skrajną prawicą: ci drudzy są pełni prawdziwej polityczności – emocji mobilizującej tłumy i propozycji konkretnej wizję przyszłości. Tymczasem lewicowcy i liberałowie nie mają w sobie już namiętności, a jedynie technokratyczne rozwiązania w ramach polityk publicznych.

To jej zdaniem najważniejsze źródło kryzysu współczesnej, zinstytucjonalizowanej Europy – która zamieniła się w autoteliczną biurokrację, uniformizującą wszystko bez zastanowienia się, po co w zasadzie to robi.

Czy liberalizm może przetrwać poza partiami, które stały się puste, pozbawione życia oraz idei niczym wraki na dnie oceanu? Jak wpuścić do nich z powrotem energię społeczeństw, które coraz częściej samoorganizują się poza tradycyjnymi instytucjami? Czy tożsamość klasowa i klasowy interes są nierozerwalnie złączone? A przede wszystkim – czym właściwie jest Europa dzisiaj i czym powinna się stać? „Zanim zaczniecie wszyscy budować europejską armię, zanim napisze-

◀ **Tratwa Meduzy – obraz Théodore'a Géricaulta z 1819 r., ukazujący tragiczne losy rozbitków z fregaty „Méduse". Obraz jest symboliczny i wieloznaczny, uchodzi m.in. za metaforę społeczeństwa pozbawionego odpowiedzialnych przywódców oraz krytykę nieudolnej i niekompetentnej władzy**

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Lea Ypi:
Unia Europejska zamieniła się w autoteliczną biurokrację, uniformizującą wszystko bez zastanowienia się, po co w zasadzie to robi

eprasa.pl d1e4f06fae

cie kolejne płomienne przemowy o konieczności obrony Europy, może zastanówcie się wszyscy, jaka ma być ta Europa, której tak chcecie bronić?"- grzmiała na początku grudnia w wypełnionym po brzegi audytorium na kampusie ERSTE Banku. Słuchali jej bramińscy politycy, wysłużeni eksperci i inni członkowie establishmentu. Powtarzający frazy o konieczności „deregulacji unijnej gospodarki", „pogłębieniu integracji europejskiej" czy „inteligentnym adaptowaniu się do zmiennej rzeczywistości".

Dlatego Ypi nie ma złudzeń, że w 2026 roku, kiedy Unia Europejska stanie na egzystencjalnym rozdrożu, zagrożona naraz presją Rosji, Chin i Ameryki, któryś z nich potraktuje jej analiz jako czegoś więcej niż ćwiczenie intelektualne przy winie i koreczkach. Ale ponieważ nikt dziś tak nie opowiada o nas, o tym, skąd się wzięliśmy, kto był przed nami i kim powinniśmy być, warto czytać jej diagnozy. Choćby po to, żeby przekazać je tym, którzy przyjdą po nas.

Prawdziwy Amerykanin
James Talarico

FOT. JOHN PESINA/SHUTTERSTOCK

Ivan Krastev opowiedział niedawno śmieszno-straszny żart. Kiedy przychodzą do niego lewicowcy i liberałowie, przerażeni, że historia się powtarza, faszyści dochodzą do władzy, centroprawica mówi językiem ekstremistów i „wszyscy już widzieliśmy ten film", odpowiada im, że owszem, „ale nigdy wcześniej po angielsku". To oczywiście gorzki komentarz do sytuacji w USA – kraju, który w oczach Stevena Levitsky'ego i Daniela Ziblatta, wpływowych politologów z Harvardu, przestaje spełniać kryteria demokracji, stając się „konkurencyjnym autorytaryzmem", gdzie władzę przejmuje się w sposób demokratyczny, ale potem zmienia się zasady gry tak, że utrata kontroli nad państwem jest niemożliwa. Ale żart Krasteva jest na tyle uniwersalny, że swobodnie można go dopasować do przenieść na inne płaszczyzny polityki.

Na przykład do Teksasu, gdzie w prawyborach Partii Demokratycznej przed przyszłorocznymi połówkowymi wyborami do Kongresu wystartuje 36-letni James Talarico, obecnie zasiadający w legislaturze stanowej.

Talarico stara się o miejsce w senacie i to już czyni z niego polityka porywającego się z motyką na słońce. Ostatni raz Demokraci mieli senatora z Teksasu w czerwcu 1961 roku. Stan Samotnej Gwiazdy to bardzo nieprzyjazny teren dla polityków liberalnych i progresywnych, wyborcza twierdza Republikanów. Gubernator Greg Abbott, rządzący stanem od dekady, jest jedną z najbardziej wyrazistych postaci Grand Old Party. Jeżdżący na wózku ultrakonserwatysta był jednym z pierwszych liderów stanowych, którzy głośno mówili o konieczności delegalizacji aborcji w USA. Głęboko wierzący, do religii odnosi się na każdym kroku, w dodatku niespecjalnie poważa amerykański porządek konstytucyjny, co rusz sugerując, że jeśli kraj na poziomie federalnym zacznie iść w kierunku, z którym on się nie zgadza, trzeba będzie rozważyć secesję Teksasu. Do tego dochodzi twarda polityka antyimigracyjna, wsparcie dla szkół prowadzonych przez wspólnoty religijne kosztem publicznej oświaty oraz trwająca od kilku lat inwazja techno-miliarderów, którzy wynoszą się z Kalifornii. Stan Abbotta nie ma lokalnego podatku dochodowego, jest mocno zderegulowany, więc łatwiej prowadzić tu działalność gospodarczą i budować infrastrukturę.

Początkowo kalifornijski eksodus firm takich jak Tesla był motywowany ideologicznie, bo Elon Musk i jego pobratymcy z Doliny Krzemowej chcieli pokazać środkowy palec progresywnym politykom z Los Angeles i San Francisco, ich zdaniem owładniętych destruktywną ideologią *woke*. Z czasem jednak doszedł komponent finansowy, bo w dużych teksańskich miastach mieszkania są tanie, regulacje mniej inwazyjne, a takimi rzeczami jak podnosząca koszty firm ochrona klimatu czy polityka DEI – różnorodność, równość, włączanie – nikt się nigdy nie przejmował.

Talarico nie jest pierwszym Demokratą, który uważa, że znalazł receptę na wygraną w bastionie Republikanów. Czymś nowym są jego motywacje, które mają bezpośrednie przełożenie na metody kampanijne. Talarico chce bowiem budować się nie na walce z oligarchią (jak Bernie Sanders czy Alexandria Ocasio-Cortez), obniżeniu kosztów życia (jak Zohran Mamdani) czy bezpośredniej, wykorzystującej metody przeciwnika, konfrontacji z coraz brutalniejszą administracją Trumpa (jak Gawin Newsom). On do wyborców chce mówić głównie o Jezusie.

Mowa o polityku Partii Demokratycznej, która już dawno odeszła od retoryki stricte religijnej. Aż 38 procent wyborców, którzy w ubiegłym roku poparli Kamalę Harris, deklarowało brak przynależności do jakiejkolwiek wspólnoty wyznaniowej. Tylko 41 procent zarejestrowanych Demokratów mówi, że „wierzy w istnieje Boga z całkowitą pewnością", gdy u Republikanów aż 70 procent. Tylko jedna czwarta Demokratów – przy połowie zwolenników GOP – uważa religię za „ważny element ich życia codziennego". To dane dla ogółu populacji, natomiast Teksas jest wychylony daleko na prawo – i na to liczy Talarico. W kwietniu „The New York Times" przyjrzał się potrzebom duchowym Amerykanów. I okazało się, że aż 84 procent obywateli deklaruje „potrzebę życia duchowego". Nie muszą swojego boga nazywać ani uczestniczyć w cyklicznych rytuałach, ale wiara w jakąś wyższą siłę organizującą ich życie jest im potrzebna, co czyni ją wartością powszechną. A jeśli jest powszechna, można na niej zbić kapitał także w polityce.

Talarico z jednej strony mówi o wierze taktycznie, z drugiej – pokazuje, że jest autentyczny, gdyż nie ukrywa, że jego chrześcijaństwo jest, jak na amerykańskie warunki, bardzo nietypowe. Teksańczyk krytykuje Abbota i stanowe władze Luizjany, Oklahomy czy Utah, które chcą nakazać wywieszanie 10 przykazań we wszystkich placówkach edukacyjnych. Dla niego ważniejsze są przykazania miłości, mówi o solidarności ze słabszymi, a Jezusa „widzi w bliźnim". Do tego jest sprawny i ma refleks – głosowanie nad nowymi regulacjami w Teksasie wyznaczono na niedzielę, co od razu wypunktował w bardzo popularnym nagraniu na TikToku, przypominając, że praca w niedzielę jest bezpośrednim złamaniem prawa boskiego.

Po zabójstwie Charliego Kirka, jednego z najważniejszych influencerów ruchu Make America Great Again, a jednocześnie szalenie ważnej postaci dla młodych, coraz bardziej religijnych amerykańskich konserwatystów, Talarico na swoim wiecu mówił o nim jako o „dziecku Boga". Nie krytykował, nie przypominał, że Kirk podżegał do nienawiści i prześladował liberałów, tylko kaznodziejskim tonem wygłosił elegię o rozpadzie więzi w amerykańskim społeczeństwie. Sam zresztą mówi, że chce dla swoich wyborców być nie tylko politykiem, ale też duchowym przewodnikiem, kimś w rodzaju pastora.

I ewidentnie trafia na podatny grunt, bo w sondażach rośnie, a wpływowa felietonistka „New York Timesa" Michelle Goldberg nazwała go „potencjalnym zbawcą, którego od dawna szuka partia".

Relatywnie młody mężczyzna z niewielkim doświadczeniem w polityce chce wygrać wybory w konserwatywnej, antyaborcyjnej i antyimigranckiej społeczności w kraju, który skręca coraz bardziej na prawo? Wszyscy widzieliśmy już ten film, choć jeszcze nie po angielsku.

Angielski socjalista
Andy Burnham

FOT. SCOTTISH GOVERNMENT

W czasach globalnych przetasowań mantrą analityków stał się bon mot, że aby skutecznie nawigować w świecie wielkiej polityki, trzeba umieć znosić coraz większe dawki niepewności. Tym bardziej więc w cenie są zjawiska i prawidłowości, które wciąż pozwalają poruszać się po znajomych torach, dając poczucie przewidywalności. Należy do nich przekonanie, że jeśli partia rządzi, ale na jej czele stoi polityk szalenie niepopularny, to rozsądnym ruchem będzie pozbycie się go. Dlatego, jeśli warto o cokolwiek robić zakłady na nadchodzący rok, to o zmianę na stanowisku premiera Wielkiej Brytanii.

Trudno wyobrazić sobie, co mogłoby uratować Keira Starmera przed dymisją. 18 miesięcy po zdecydowanym (choć w liczbach bezwzględnych wcale nie tak imponującym) zwycięstwie nad Partią Konserwatywną i powrocie Partii Pracy do władzy po 14-letniej przerwie energia, która doprowadziła do tego triumfu, całkowicie wyparowała. Kraj pogrąża się w głębokim kryzysie politycznym i gospodarczym, wspólnota narodowa trzeszczy i grozi rozpadem, a rząd laburzystów nie ma pojęcia, co z tym wszystkim zrobić, więc co chwilę wykonuje zwrot o 180 stopni. Nie pomaga też fakt, że na jego czele stoi polityk tyleż kompetentny, co kompletnie pozbawiony charyzmy. Starmer sprawia wrażenie, jakby zupełnie nie miał słuchu społecznego, czego dowód dał latem, przy okazji rocznicy pokonania torysów w wyborach. Przez tydzień dawał wywiady kolejnym redakcjom, ale najbardziej reprezentatywna dla jego technokratycznego światopoglądu była publikacja w magazynie „New Statesman". Tom McTague przez wiele tygodni uczestniczył w spotkaniach z udziałem premiera, rozmawiał z nim i jego współpracownikami, obserwował go w pracy, po czym doszedł do wniosku, że Starmer „nie uważa, żeby z Wielką Brytanią działo się coś fundamentalnie złego". Tymczasem radykalnej zmiany funkcjonowania państwa domaga się większość Brytyjczyków.

> *W dzisiejszej dyplomacji jako sukces liczy się sam fakt, że Amerykanie z kimś w ogóle rozmawiają. Ale jest więcej powodów, dla których Jonathan Powell będzie jedną z kluczowych osób dla bezpieczeństwa całej Europy*

Gdyby wybory do Izby Gmin odbyły się jutro, Reform UK, skrajnie prawicowa partia ojca chrzestnego Brexitu Nigela Farage'a zdobyłaby samodzielną większość. Nie ma się co dziwić, skoro według grudniowych sondaży YouGov zaledwie 15 procent wyborców pozytywnie ocenia pracę Starmera, a aż 78 procent jest krytycznych. W dodatku w maju kraj czeka kolejna runda wyborów samorządowych. Do zdobycia będzie 6 stanowisk burmistrzów, 72 miejsca w radach miast oraz 4411 pozycji w instytucjach samorządowych niższego szczebla. Poprzednie głosowanie, wiosną mijającego roku, zakończyło się dla laburzystów tragicznie, bo Reform UK wygrało prawie wszędzie, gdzie w ogóle wystawiło kandydatów. W maju Partię Pracy czeka powtórka, a wtedy Starmer na pewno straci stanowisko. Co wcale nie oznacza przyspieszonych wyborów. W Wielkiej Brytanii szefem rządu automatycznie zostaje, na mocy tradycji i parlamentarnych konwencji, przewodniczący partii mającej większość w Westminsterze. Jej utrata laburzystom nie grozi, ale przy tak słabym liderze w partii znajdą się politycy prący do wyboru nowego szefa.

Jedynym kryterium, jakie ma dzisiaj dla wyborców lewicy znaczenie przy wskazywaniu nowego lidera, jest możliwość pokonania Farage'a za trzy lata. Eksperci, publicyści, komentatorzy i obywatele o progresywnych poglądach już wybrali. Panuje wśród nich rzadki w takich sprawach konsensus: nowym przywódcą będzie Andy Burnham. 55-letni burmistrz Manchesteru, drugiego największego po Londynie obszaru miejskiego na Wyspach, dawnej wielkiej stolicy przemysłu, dziś ważnej z punktu widzenia sektora usług, jest absolutnym faworytem do przejęcia władzy w Partii Pracy.

Na jego korzyść działa fakt, że nie jest posłem, tylko samorządowcem, a w krajowej polityce najwyższego szczebla dotąd nie zaistniał. Może więc swobodnie robić to, czego nie mogli Kamala Harris czy Rafał Trzaskowski – krytykować bieżącą władzę, mimo że wywodzi się z tej samej partii. W naszych wyborach prezydenckich prezydentowi Warszawy nie udało się odkleić od niepopularnego w czasie kampanii rządu Donalda Tuska, a amerykańska wiceprezydentka nie mogła atakować administracji, której współprzewodniczyła. Burnham natomiast nie gryzie się w język i dobrze na tym wychodzi.

Już jesienią na konwencji programowej partii zdetonował retoryczną bombę, mówiąc dziennikarzom, że wprawdzie sam nie pali się do obalenia Starmera, ale posłowie Partii Pracy wręcz błagają go, by to zrobił. Burmistrz wypuścił balon, żeby zbadać nastroje w partyjnym aktywie i sparzył się, bo przed konwencją pozytywnie oceniało go 78 procent laburzystów, po – mniej niż połowa. Ale wciąż wypada w badaniach opinii lepiej niż bieżący szef rządu. Jest jedynym politykiem – biorąc pod uwagę wszystkie partie -, który pokonuje Farage'a 4 punktami w sondażach pytających o kolejnego premiera.

Wygrywa głównie tym, że w przeciwieństwie do Starmera przyznaje skrajnej prawicy rację. Nieustannie podkreśla, że Wielka Brytania jest w głębokim kryzysie, dlatego potrzeba jej radykalnych reform. Na miarę rządów Margaret Thatcher czy Nowej Lewicy Tony'ego Blaira, a może nawet kopiących w stolik z jeszcze większą siłą.

Co Andy Burnham chciałby zmienić na Wyspach? Prawie wszystko. Ordynację wyborczą z okręgów jednomandatowych na proporcjonalną, by doprowadzić do rządów koalicyjnych i zakończyć trwający już setki lat duopolu partyjnego. Strukturę gospodarki ze skupionej na sektorze prywatnym na taką, w której państwo szerzej działa jako właściciel spółek, również za pomocą renacjonalizacji. Podział uprawnień pomiędzy Westminsterem a parlamentami Szkocji, Walii i Irlandii Północnej, by doprowadzić do jeszcze większego transferu kompeten-

eprasa.pl d1e4f06fae

cji poza Londyn i dominującą Anglię. A jednocześnie Burnham wpisuje się w globalny trend polityki populizmu i emocji. Na każdym kroku przypomina, że jest z północy, więc z obszaru niegdyś mocno socjalistycznego, a później porzuconego przez elity, wyjałowionego przez globalizację i deindustrializację. Dzisiaj północ Anglii mocno skręca w kierunku Farage'a i nastrojów antyimigranckich, wręcz rasistowskich. On wierzy, że ponury, choć zrozumiały trend może powstrzymać, a nawet odwrócić. W interesie całej Europy jest, żeby mu się udało.

Machiavelli
Giuliano da Empoli

FOT. DAVID LEVENSON/GETTY IMAGES

Gdyby oceniać go wyłącznie po wizerunku publicznym, można by powiedzieć: „polityczny dr House". Ponadprzeciętnie zdolny, kochający wyzwania intelektualnie, ale też cieszący się sławą cynika, wręcz nihilisty. Nie ma złudzeń co do natury ludzkiej ani przyszłości liberalnej demokracji. Momentami brzmi jak Niccolò Machiavelli – z którym zresztą łączą północne Włochy i zawód doradcy politycznego. On sam woli mówić o sobie, że jest intelektualistą wpływającym na decyzje polityków, choć to raczej eufemizm mający odróżnić go od spin-doktorów. Giuliano da Empoli, 52-letni włoski pisarz, eseista i analityk, urodzony we Francji i legitymujący się szwajcarskim paszportem, jest dzisiaj najgorętszym nazwiskiem w europejskich politycznych kuluarach.

Porównanie z autorem „Księcia" jest już wręcz wyświechtane. POLITICO wręcz zilustrowało opowieść o nim, wrysowując twarz bohatera w renesansowy portret Machiavellego. Ale da Empoli ma dzisiaj wpływ i zasięg, o którym najbardziej znany polityczny cynik w historii Europy mógł jedynie pomarzyć.

Zaczynał jako wiceburmistrz Florencji, którym stał się nieco z przypadku – po studiach we Francji chciał po prostu zajmować się kulturą w sektorze publicznym. Dobrze jednak wybrał, bo florencki samorząd to we włoskiej polityce, zwłaszcza centrolewicowej, katapulta do kariery. Burmistrzem tego miasta był Matteo Renzi, dekadę temu nazywany złotym dzieckiem europejskiej polityki. Z ratusza we Florencji wywodzi się Dario Nardella, europoseł uważany za nadzieję lewicy na Półwyspie Apenińskim. Da Empoliemu ciasno było jednak w urzędniczym gorsecie, wyżywał się za pomocą słowa pisanego. Już w 1996 roku, w wieku raptem 22 lat, opublikował powieść „Wielka Przyszłość Za Nami" o nadchodzącym kryzysie najmłodszych włoskich pokoleń. Książka wywołała ogromny popłoch, a da Empoli objawił się jako znakomity diagnosta rzeczywistości. Dziennik „La Stampa" uznał go za człowieka roku.

Potem jego kariera pisarska wyhamowała, bo zajął się przekładaniem diagnoz na język tych, którzy kształtują rzeczywistość – pisał sporo i o ważnych tematach, ale już nie beletrystykę, a teksty analityczne. Ale płaszczyzny, na których dzieje się zmiana społeczna, przez większość jeszcze niedostrzegana, identyfikował tak samo szybko i trafnie, jak w debiucie. W jednej z książek da Empoli opisał wykorzystanie przez Baracka Obamę Facebooka w kampanii wyborczej, co uczyniło zeń jednego z pierwszych w Europie doradców politycznych doceniających rewolucyjną rolę platform społecznościowych w polityce. W kolejnych latach wziął na warsztat społeczny gniew i frustrację na klasę ekspertów oraz technokratów – i znowu wyprzedził epokę. Książkę na ten temat opublikował w 2013 roku, kiedy o kandydaturze Trumpa nikt nie słyszał, a Brexit zdawał się propozycją z kategorii „polityczne harce dla rozgłosu". „Nowy Machiavelli" ostrzegał już wtedy, że zamienienie polityki w zdominowany przez algorytmy i dane sport dla ludzi w białych kołnierzykach skończy się tragicznie dla demokracji. Dwa lata później minister sprawiedliwości Wielkiej Brytanii, Michael Gove, wypowiedział w czasie wywiadu telewizyjnego słynne zdanie, że jego wyborcy „mają już dość ekspertów mówiących im, co mają robić". Rewolucja antyintelektualna właśnie się zaczynała.

Ale prawdziwy rozgłos da Empoli uzyskał wraz z publikacją „Maga z Kremla", powieści opisującej elity współczesnej Rosji. Główny bohater, reżyser teatralny i myśliciel Wadim Baranow, jest jednym z najważniejszych kremlowskich doradców, a jego recepta jest banalna: relatywizuj wszystko, rozmywaj rzeczywistość, kwestionuj fakty. Baranow to w istocie Władysław Surkow, diaboliczny, choć niepozorny najbliższy doradca Putina, a na kartach powieści pojawiają się takie postacie, jak Michaił Chodorkowski czy szef wagnerowców i pracującej dla Kremla farmy trolli Jewgienij Prigożin. Sukces komercyjny „Maga" – we Francji sprzedano pół miliona egzemplarzy – szedł w parze z merytorycznym. Nagrody, uznanie elit, zaproszenia na prestiżowe konferencje. Bo da Empoli znowu trafił: książkę oddał do druku na kilka miesięcy przed pełnoskalową inwazją Rosji na Ukrainę.

Dziś wielu na europejskich salonach politycznych wierzy, że Włoch ma coś w rodzaju szóstego zmysłu. Regularnie rozmawia z nim Emmanuel Macron, w jego tekstach zaczytuje się duńska premierka Mette Frederiksen. Można to nazwać masochizmem, bo da Empoli nie ma im do powiedzenia nic pozytywnego. Jakiś czas temu opublikował w „The Financial Times" głośny esej o ryzyku związanym ze zbrataniem się populizmu i technologicznej oligarchii rodem z Doliny Krzemowej. Dokładnie taki mariaż rządzi obecnie Stanami Zjednoczonymi, a da Empoli przewiduje, że będzie bardzo ciężko rozbić, bo obie jego części „znajdują przyjemność w destrukcji". Kiedy Elon Musk wzorem anarchokapitalistycznego prezydenta Argentyny Javiera Mileia pojawia się na scenie z piłą mechaniczną, chce rozwalić instytucje wokół siebie. Ale w przeciwieństwie do klasycznych populistów w typie Jarosława Kaczyńskiego czy Viktora Orbána, nowi techno-faszyści nie chcą instytucji przejmować i zmieniać na własne podobieństwo, tylko po prostu niszczyć. Nie zależy im na wypełnieniu istniejących struktur lojalnymi urzędnikami, jak w klasycznej dyktaturze. Wolą, żeby żadnych struktur nie było.

W najnowszej książce „The Hour of the Predator: Encounters with the Autocrats and Tech Billionaires Taking Over the World" włoski wieszcz znów wraca do Machiavellego, znajdując echa jego polityki w działaniach szefów korporacji i narodowych populistów. Lektura nieprzyjemna, ale można znaleźć pocieszenie w tym, że niektórzy europejscy liderzy chcą się na te zmiany przygotować, czytając włoskiego autora.

Adam Michnik mawia, że pesymiści są nudni, bo prędzej czy później i tak mają rację. Jeśli to prawda – Giuliano da Empoli jest najnudniejszym człowiekiem naszych czasów. ●

REKLAMA
Kraj/34413361

1 RP

eprasa.pl d1e4f06fae

KULTURA I OBYCZAJE

Podszedł do mnie pewien starszy aktor i powiedział: „Może ty już lepiej nie tańcz”. Takich komentarzy się bałam, ale ta sytuacja zdemaskowała, kto ma kompleksy.

Z AKTORKĄ **VANESSĄ ALEKSANDER*** ROZMAWIA **PIOTR GUSZKOWSKI**

ZDJĘCIE **MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL**

NIECH MYŚLĄ, CO CHCĄ. *Raz się żyje*

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl d1e4f06fae

PIOTR GUSZKOWSKI: Byłaś kiedykolwiek w Siedlcach?
VANESSA ALEKSANDER: Nigdy. Wiem tylko, że w samym centrum Siedlec jest więzienie. I niestety tyle wiem o siedleckiej infrastrukturze.

To zaskakujące niedopatrzenie produkcji. Jak mogli nie zorganizować ekipie „The Office PL" wycieczki do miasta, w którym rozgrywa się akcja serialu i znajduje siedziba Kropliczanki? Nawet jeśli na co dzień kręcicie na warszawskim Żeraniu.
– Był pomysł zrobienia jednego odcinka w Siedlcach, ale to się ostatecznie nie wydarzyło. Może warto namówić scenarzystów, żeby jednak spróbowali? Jeśli się to wydarzy, będę musiała się pilnować z wymową nazwy miasta. Moja bohaterka Pati przez kilka lat mówiła „Sietlce". Przecież dopiero na koniec czwartego sezonu odkrywa, że pisze się przez „d".

W Siedlcach nie byłaś, ale może pracowałaś w biurze?
– Przez chwilę. W liceum miałam staż w biurze projektowym, bo równolegle z aktorstwem zdawałam na architekturę. Porządkowałam katalogi, uczyłam się pracować w programach SketchUp czy AutoCAD. Miałam swój mikroudział w paru projektach, które później się zmaterializowały, z czego byłam bardzo dumna. I to właściwie jedyne biurowe doświadczenia, jakie mam poza „The Office PL".

Jest po godz. 16. Patrzę na ludzi za nami, jak wychodzą z biurowca. Czasami się zastanawiam, jak by to było mieć normowany czas pracy – czy potrafiłabym się w takim trybie odnaleźć? Powiem ci, że jest coś kuszącego w tym, że kończysz o konkretnej godzinie, zamykasz komputer, wychodzisz z biura, a przede wszystkim atrakcyjna jest dla mnie rutyna, w naszym zawodzie praktycznie nieosiągalna.

Wydaje mi się, że social media i pandemia zaburzyły wielu osobom work-life balance.
– Moje pokolenie dalej tkwi w micie, że jeśli się przepracowujesz – by nie powiedzieć, przepraszam, zapierdalasz – to jest to godne pochwały. Chociaż urodziłam się w 1996 r., w wąskim przesmyku między milenialsami a gen Z, więc nie do końca wiadomo, kogo mam na myśli, kiedy mówię „moje pokolenie". Pewnie dużo zależy od tego, czym nasiąknęliśmy w domach. O Polakach za granicą w pierwszej kolejności mówi się, że są bardzo pracowici. I to jest okej, dopóki pracowitość nie przeradza się w pracoholizm.

Zetki na rynku pracy – przynajmniej w porównaniu z poprzednimi pokoleniami – określano dotąd raczej jako bardziej świadome, stawiające granice, komunikujące swoje potrzeby i oczekiwania, a przez to wręcz „roszczeniowe".
– Zgadza się. Osoby w moim wieku dużo mówią o higienie psychicznej, o stawianiu granic, dbaniu o siebie i własną przestrzeń. Co nie znaczy, że nie wpadają w wir pracy. Być może – jak wspomniałeś – namieszała tutaj pandemia.

Moje spojrzenie jest też pewnie zniekształcone przez to, że większość osób wokół wykonuje wolne zawody, w które wpisana jest nieregularność, brak stabilności, a przez to niepewność. Zdarza mi się słyszeć licytacje, kto ile pracował bez snu albo ile trwały najdłuższe zdjęcia. Nie w formie narzekania, ale raczej przechwałek. Jakby przekraczanie własnych granic miało stanowić dowód zaangażowania w projekt, oddania zawodowi.

Pracujesz jako aktorka dziesięć lat. Wchodziłaś do zawodu z jakimiś wyobrażeniami o tej pracy, z oczekiwaniami. Jak one się mają do realiów?
– Kilka dni temu znalazłam stare wideo, jeszcze z licealnych czasów, kiedy próbowałam swoich sił na YouTubie. Fajnie zobaczyć tę

FOT. POLSAT

Vanessa Aleksander i tancerz Michał Bartkiewicz wygrali 15. edycję „Tańca z Gwiazdami"

18-letnią dziewczynę: odważną, pełną entuzjazmu. Miałam marzenia, liczyłam na to, że spotkam w pracy wielkich aktorów – swoich idoli, ale starałam się w miarę realistycznie patrzeć w przyszłość.

Co masz na myśli?
– Już w liceum chodziłam na castingi do reklam i krótkich metraży. Prace domowe odrabiałam na korytarzach wytwórni filmowej na Chełmskiej. Wystawałam tam godzinami, żeby w końcu wejść do sali na dwie minuty i usłyszeć: „Dziękujemy". Wtedy nie pomyślałabym, że tak szybko zacznę pracować. Wydawało mi się, że droga do zaistnienia na scenie czy przed kamerą będzie trudniejsza. Tymczasem szczęście mi sprzyja, bo właściwie odkąd stałam się dorosła, jestem w stanie utrzymywać się z aktorstwa. Profesor Wiesław Komasa zawsze powtarzał, że brak pokory to śmierć dla artysty. Dlatego nie zapominam, kto dał mi szansę i kredyt zaufania. W wakacje przed rozpoczęciem studiów na Akademii Teatralnej w Warszawie dostałam pierwsze propozycje. Zrobiłam film z cyklu „Legendy polskie" z Tomkiem Bagińskim, potem serial „Wojenne dziewczyny".

Wciąż jest we mnie tamta 18-letnia Vanessa, która kocha to, co robi – to się nie zmieniło. Aktorstwo daje mi czyste szczęście. Kiedy zatracam się w scenach, znajduję beztroskę, którą zgubiłam prawie zupełnie w dorosłym życiu.

Czuję, że zbliża się jakieś „ale".
– Bo teraz ci powiem, co się zmieniło. Do szkoły szłam z myślą o teatrze. Zawsze czułam, że to moje miejsce. Jako dziecko występowałam na scenie, zaczynałam w grupie musicalowej Tintilo, która występowała w repertuarowych spektaklach Teatru Rampa.

Zdarzały się ekipy, z którymi czułam się jak na wspaniałym obozie. Szczególnie przy projektach, które kręciliśmy przez kilka lat, jak „Wojenne dziewczyny" i teraz „The Office PL". W takich warunkach można się zżyć z obsadą i resztą twórców jak z rodziną

Po głównej nagrodzie na Festiwalu Szkół Teatralnych w Łodzi paru dyrektorów zaproponowało mi spotkania i finalnie przyszła też propozycja etatu, wybrałam Teatr Współczesny w Warszawie. I tam nastąpiła pierwsza weryfikacja wyobrażeń o zespołowości.

Spotkały cię jakieś nieprzyjemności?
– Nie czułam się częścią grupy, funkcjonowałam jak odrębny elektron walczący o zaproszenie. Noszę w sobie to uczucie do dziś. Myślę, że moje lęki i zawodowe kompleksy wynikają z nie najlepszych doświadczeń z początków. Najpierw fuksówka, później niektóre, podkreślam, niektóre, bo zdarzały się również wspaniałe, spotkania w szkole, które skutecznie zachwiały moim poczuciem własnej wartości. To, jak mnie przyjęto – czy właściwie jak mnie nie przyjęto w teatrze – też nie pozostało bez wpływu. Był 2019 rok, chwilę później wybuchła pandemia, okoliczności nie sprzyjały budowaniu relacji. Czuję, że to nie wina teatru lub znajdującego się w nim zespołu, trafiłam na trudny czas, rzadsze okazje do spotkań, obostrzenia etc.

Czy dobrze rozumiem, że nie czujesz się częścią środowiska?
– Tak zupełnie szczerze: nie za bardzo. Nie wiem, czy jest w ogóle coś takiego jak środowisko, to bardzo samotniczy zawód. Ale to nie wynika z tego, że ktoś na mnie krzywo patrzy, nie poda mi ręki albo niewystarczająco dużo razy powie, że zrobiłam coś dobrze. To są przede wszystkim moje kompleksy, które próbuję okiełznać także dzięki terapii. W ten zawód wpisana jest krytyka, odrzucenie...

I ciągła ocena.
– Zdawałam sobie z tego sprawę, kiedy szłam do szkoły teatralnej. Pewnie nie wyobrażałam sobie, że to będzie na taką skalę: że na jedno „tak" słyszymy kilkadziesiąt razy „nie". Nie chcę narzekać. Mam dość stabilną sytuację zawodową i, uprawiając swój zawód, bardzo się spełniam, dzięki niemu jestem także szczęśliwa. Ale to nie znaczy, że każdy casting wygrywam. Absolutnie nie: większość przegrywam.

A jak na relacje pomiędzy wami wpływa to, że rywalizujecie na castingach o te same role?
– Staram sobie często przypominać o tym, że jeśli nie zostałam wybrana, to nie świadczy o moich umiejętnościach ani warsztacie. Po prostu ktoś inny lepiej wpasował się w wyobrażenie reżysera czy reżysera obsady o tej postaci, miał energię, której szukali. Nie mam żalu do koleżanek, że dostają role, których ja nie dostałam. Jeśli pojawia się do kogoś żal, to tylko do siebie.

Gdy mówię, że nie czuję się częścią środowiska, to odnoszę się do wyobrażenia środowiska, które sama sobie stworzyłam. Oczywiście, filmy i spektakle tworzy się zespołowo. Zdarzały się ekipy, z którymi czułam się jak na wspaniałym obozie. Szczególnie przy projektach, które kręciliśmy przez kilka lat, jak „Wojenne dziewczyny" i teraz „The Office PL". W takich warunkach można się zżyć z obsadą i resztą twórców jak z rodziną, ale te relacje funkcjonują głównie na planie. Każdy po zakończonej pracy wraca do relacji zbudowanych latami.

Co z Hollywood?
– Gdy tylko mam propozycję castingu, zawsze znajduję czas, by się do niego przygotować i wysłać selftape. Natomiast moje aktywne starania o pracę za granicą zostały na razie zamrożone. To wymaga ogromnego zaangażowania i czasu – nie wszystko da się zrobić online, trzeba być na miejscu, latać do Los Angeles, a ja przez ostatnie miesiące intensywnie pracowałam w Polsce. Efektów jeszcze nie widać, ale w przyszłym roku planowana jest premiera trzech filmów z moim udziałem. I wchodzę na plan kolejnych projektów.

Wbrew stereotypowi o polskich aktorach za oceanem nie ograniczyłaś się do ról imigrantów czy postaci, dla których angielski nie jest pierwszym językiem.
– Angielski znam dobrze, zdawałam międzynarodową maturę. Mam też ucho czy łatwość naśladowania akcentów – może to kwestia dwujęzyczności? Dlatego moja agencja uznała, żebym starała się o role Amerykanek. Ten debiut raz był już o włos, niestety pandemia wywróciła plany. Odczułam mocno jej konsekwencje. Nie mogliśmy polecieć z „Hejterem" na nowojorski Tribeca Film Festival, gdzie byłam nominowana za rolę Gabi, przez co straciłam okazję do wielu spotkań.

Ale nie poddaję się, dalej mam takie marzenie. Zauważyłam, że jak się nazwie to marzenie i wypowie na głos, ludzie chętnie cię z tego rozliczają. Niektórzy powiedzą, że to polska przypadłość. Powiedziałam kiedyś,

eprasa.pl d1e4f06fae

że do trzydziestki chciałabym zrobić karierę w Hollywood. Niedawno jeden z dziennikarzy w swoim programie wypomniał mi te słowa chyba tylko po to, żeby mnie zawstydzić. Miał satysfakcję, że to się jeszcze nie wydarzyło i może mnie skonfrontować z tą – w jego mniemaniu – porażką.

Choć w tym konkretnym przypadku świadczy raczej o stosunku dziennikarza (Kuby Wojewódzkiego) do swoich gości, szczególnie młodych kobiet, wobec których pozwala sobie na takie komentarze.
– Ja tego nie rozumiem. Nie rozumiem, jak można czerpać satysfakcję z czyjegoś „niepowodzenia".

O ile to w ogóle można nazwać niepowodzeniem. Wielu marzeń nie udaje się nam spełnić albo trwa to dłużej, niżbyśmy chcieli.
– Złapałam się na tym, że wpadłam w tę narrację. Zaczęłam myśleć: „Może to głupie, że o tym mówię?". Dotychczas nie wyszło. Może nigdy nie wyjdzie, ale chcę próbować. Jestem dumna z tego, że mam marzenia i w nie inwestuję. Wiem, że niezależnie od efektów to nigdy nie będzie stracony czas.

Przyznajesz, że czujesz się na równi Polką i Słowaczką. Co najbardziej różni te kraje? Wyobraźmy sobie, że jedziesz samochodem. Po czym poznasz, w którym z tych krajów jesteś? Zapomnijmy na chwilę o języku.
– W Polsce niestety nie ma kofoli, nad czym ubolewam. Chyba nie podejmę się analizy, bo Słowację znam wyłącznie przez pryzmat mojej rodziny. Nie mieszkałam tam nigdy dłużej niż kilka miesięcy, w dodatku było to w dzieciństwie. Moje doświadczenie może być mocno ograniczone do tego, co widziałam w domu mamy. Długo wydawało się, że Słowacy są dumni z regionalizmów, że bardziej niż Polacy doceniają mniejszości. Ale patrząc na sytuację polityczną dzisiaj, myślę, że znajdujemy się w podobnym miejscu. Nasze mentalności są równie podobne co język.

Co ci dał „Taniec z gwiazdami"?
– Beztroskę. I na pewno większą rozpoznawalność. Decydując się na udział w programie, chciałam po prostu nauczyć się tańczyć i uwolnić od lęków. Trafiłam na wspaniałego partnera tanecznego Michała Bartkiewicza, który stał się przyjacielem. Jestem mu wdzięczna za przeprowadzenie mnie bezpiecznie przez przygodę, o której marzyłam od dziecka. Dostawałam propozycję udziału w „Tańcu z gwiazdami" już wcześniej, i to parę razy, ale obawiałam się konsekwencji.

Jakich?
– W szkole teatralnej wbija się do głowy, że udział w takim programie to dla aktora ujma. Później wiele osób to powtarza. Aktorzy są od grania, a nie od komercyjnego celebryctwa. Nie chciałam być kojarzona z rozrywkowych występów czy pokazywania życia na Instagramie. Bałam się szuflady komercyjności. Nie lubię takiej ani żadnej innej klasyfikacji, w ogóle się z nią nie zgadzam, ale mimo to czuję, że ona wciąż funkcjonuje. Nie dość, że jest niesprawiedliwa, to jeszcze zauważ, że dotyczy głównie kobiet. Bo aktor, który robi reklamy piwa, garniturów czy dezodorantów, dostanie potem świetne, dramatyczne role. Aktorki łatwiej się klasyfikuje jako mniej lub bardziej „ambitne". Mimo iż w rzeczywistości to w ogóle nie jest o ambicji, ale...

Kiedy po raz kolejny przyszła propozycja z Polsatu, zadałam sobie pytanie: „Właściwie dlaczego ja się na to nie decyduję?". Jedyna odpowiedź, jaka mi przyszła do głowy, to obawa przed reakcją środowiska. Znowu. Uznałam, że jeśli będę podejmować decyzje, kierując się tylko tym, co inni pomyślą, będę nieszczęśliwa. Trudno, niech sobie myślą, co chcą. Raz się żyje. Zaryzykowałam. Przy okazji pozbyłam się części moich lęków. Wcale nie przestałam dostawać ról ani zaproszeń na castingi do ambitnych projektów – wręcz przeciwnie.

Reakcji, których się obawiałaś, nie było?
– Jakiś miesiąc po tym, jak wygrałam program, odbyła się gala festiwalu SerialCon. Byłam nominowana w kategorii najlepsza rola żeńska za udział w czwartym sezonie „The Office PL". Podszedł do mnie pewien starszy aktor i powiedział: „Może ty już lepiej nie tańcz". Wcześniej takich komentarzy właśnie się bałam. Ale ta sytuacja zdemaskowała, kto ma kompleksy i czuje się niepewnie.

Nie pamiętam, kiedy byłam ostatnio tak szczęśliwa jak przez tych kilka miesięcy w programie – intensywne treningi, ruch, przy okazji każde wyjście na parkiet stanowiło dla mnie aktorskie wyzwanie. Myślę, że podobnie podchodziła do tego Wiktoria Gorodecka, która wzięła udział w ostatniej edycji. Widziałam, że osoby z branży śledziły jej występy. Cieszę się, że program przyciąga tak wielu ciekawych twórców i twórczyń.

Przybyło ci obserwujących?
– Tak. Zaczynałam „Taniec z gwiazdami" z mniej więcej 70 tys. followersów, dziś obserwuje mnie na Instagramie ponad 200 tys. osób. Ale rozpoznawalność odczuwam w spojrzeniach ludzi na ulicy. Wcześniej czułam się anonimowa. Grałam sporo, ale często były to postaci charakterystyczne, z wyrazistymi cechami, które nie są tożsame ze mną. Może dlatego nie miałam przekonania, że ludzie mnie rozpoznają? Zresztą popularność czy płynące z niej korzyści nie były dla mnie motywacją do tej pracy.

Wytwarzasz wokół siebie pozytywną aurę. To czuć, gdy się ciebie słucha czy ogląda.
– Jest we mnie sporo lęków, o których staram się mówić, żeby dodać odwagi innym. Ale też, żeby uświadamiać, że „wesoła" osoba z ekranu również mierzy się z trudnościami. Zależy mi na tym, by być autentyczną. Jednak ta jasna strona przeważa. Nie wiem, z czego wynika pogoda ducha, o której wspomniałeś. Poczucie humoru przez długi czas było moją tarczą. Bardzo lubię nie tylko się śmiać, ale też rozśmieszać innych.

Na Instagramie piszesz, że powinni ci płacić za to, że jesteś zabawna. Płacą?
– W „The Office PL" muszę być zabawna, zarabiam tym, można zatem powiedzieć, że już tak! Ten serial to kawał mojego dorosłego życia. Zaczynaliśmy, gdy miałam 23 lata, teraz mam 29. Widzowie obserwują, jak się wszyscy zmieniamy, nie tylko aktorsko. Stałam się przez ten czas dojrzalsza, co też daje inny kolor mojej postaci.

Zaczynaliście pełni obaw, dziś rozumiecie ten format, konwencję, wiecie, co się sprawdzi, a co nie. Czy dla twórców komedii to przypadkiem nie pułapka?
– Pierwsza transza była wyzwaniem. Ludzie się oburzyli, gdy tylko wyszła informacja, że serial powstaje i że w ogóle próbujemy zmierzyć się z „The Office" w polskich realiach. Żeby być skutecznym nie tylko w komedii, ale też w ogóle aktorstwie, trzeba czuć się bezpiecznie; mieć przestrzeń na podjęcie ryzyka i świadomość, że nawet jeśli nie wyjdzie, nikt tego nie oceni. Dlatego początkowo byliśmy spłoszeni, niepewni tego, jak przyjmie nas publiczność. Z drugiej strony świadomość formatu to ogromne ułatwienie, dodaje pewności. Na szczęście żadne z nas nie traktuje swojego zadania mechanicznie, to mogłoby być rzeczywiście zgubne i rozleniwiać.

Dotykacie tematów kontrowersyjnych, trudnych, aktualnych. Była w „The Office PL" wojna o papieża, rozmowy o ekologii, feminatywach, rasizmie, niebinarności. Mieliście takie momenty, że zastanawialiście się, czy nie za ostro?
– Nasi scenarzyści starają się pokazywać różne punkty widzenia, właśnie w zderzeniu poglądów i postaw najbardziej wybrzmiewa komizm. Czasem pojawiają się wątpliwości, czy jakaś sytuacja czy żart to jeszcze nasze „The Office PL", czy na pewno jest pisana tą samą czcionką co reszta serialu. Ale czy coś jest zbyt odważne? Nie, takich obaw nie mamy.

Grasz postać, która jest bardzo daleka od tego, jaka jesteś prywatnie.
– No mam nadzieję!

Z drugiej strony, jak opowiadasz o swoich lękach, to zaczynam odnosić wrażenie, że jednak trochę was łączy.
– Patrycja ma podobne lęki i obawy co ja. To prawda. Ale chyba większość z nas tego doświadcza. Mało kto nie boi się samotności, odrzucenia, obnażenia własnych słabości. Różni nas, i to fundamentalnie, jedno: Pati jest bezwzględna. Żeby osiągnąć cel, jest gotowa na wszystko. Jest skupiona na sobie i swoim komforcie.

Mnie inaczej wychowano. Cenię uważność, lojalność, empatię. Patrycja empatyczna nie jest i w piątym sezonie po raz kolejny to wychodzi. Wynika to z przykrych sytuacji, jakich doświadczyła w dzieciństwie, ale to nie może być usprawiedliwieniem. Każdy z nas może sięgnąć po narzędzia, żeby spróbować sobie z tym poradzić. Jeżeli tego nie robisz, jesteś egoistą. Bardzo lubię ją grać. Ale jestem pewna, że jeśli ktoś mnie naprawdę zna, nie powie, że jesteśmy podobne. ●

*Vanessa Aleksander

• ur. w 1996 r. Absolwentka warszawskiej Akademii Teatralnej. Wystąpiła m.in. w filmie „Sala samobójców. Hejter" oraz serialach „The Office PL", „Wojenne dziewczyny", „Krew" i „Rojst. Millenium". W 2025 r. - drugi raz z rzędu - zdobyła Telekamerę dla najlepszej aktorki. Wygrała 15. edycję programu „Taniec z gwiazdami" w parze z Michałem Bartkiewiczem.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34412640

W PIĄTEK W „WYBORCZEJ"

Co się zmieni w 2026

• Co się zmieni w podatkach
• Jakie zmiany czekają przedsiębiorców
• Co to znaczy, że pensje mają być jawne?
• Kto zyska, a kto straci na zmianach w prawie

DODATEK SPECJALNY

wyborcza
CO SIĘ ZMIENI W 2026
Nadszedł czas oszczędzania
Kto zyska, a kto straci na zmianach w prawie
Oprócz corocznej marcowej waloryzacji emerycji dostaną też w tym roku 13. i 14. emeryturę. Wiadomo już w jakich miesiącach będą wypłacane dodatkowe świadczenia oraz w jakich kwotach. Oto dokładne wyliczenia.
Leszek Kostrzewski

1 RP

eprasa.pl d1e4f06fae

AARCYDZIEŁO SPRZEDAM

Sztuka zawsze łączyła przeciwności. Podobnie jest z rynkiem sztuki. Z jednej strony padają rekordy, a z drugiej coraz częściej mówi się o kryzysie. Co się sprzedało, a co „spadło z aukcji? Oto najciekawsze wydarzenia na rynku sztuki 2025 roku.

Wojciech Szot

236,4

MILIONA DOLARÓW

Gustav Klimt, „Portret Elisabeth Lederer" (1914-1916)

Zaczynamy od rekordu. W listopadzie ten portret autorstwa Gustava Klimta został sprzedany na aukcji w Sotheby's za 236,4 miliona dolarów. To drugi najwyższy w historii wynik na aukcji. Ponieważ pierwsze miejsce od ośmiu lat okupuje „Salvator Mundi" Leonarda da Vinci (450 milionów dolarów),obraz Klimta stał się także najdroższym dziełem sztuki nowoczesnej sprzedanym na publicznej aukcji.

Namalowany w latach 1914-16 obraz przedstawia córkę wiedeńskich kolekcjonerów, którzy w tamtym czasie byli – po Rothschildach – najbogatszą wiedeńską rodziną.

Niezwykła jest historia bohaterki obrazu. Elizabeth Lederer była Żydówką. W 1921 roku wyszła za barona von Bachofen-Echt i przeszła na protestantyzm. Jednak po rozwodzie w 1938 roku wróciła do judaizmu, a nazwisko męża już nie chroniło jej przed prześladowaniami. Większość rodziny Ledererów uciekła z Austrii, ich kolekcja została splądrowana przez nazistów. By uniknąć prześladowań, Elisabeth zdobyła sfałszowany dokument, z którego wynikało, że jej ojcem jest... Gustav Klimt. Zmarła w Wiedniu w 1944 roku.

Obraz przetrwał niejako dzięki antysemityzmowi nazistów. Wycofujące się z Austrii wojska zniszczyły większość dzieł z przewiezionej do zamku Immendorf kolekcji Ledererów. Ostały się jedynie te, które przedstawiały Żydów. Zgodnie z nazistowskimi przepisami portrety Żydów nie były warte konfiskaty. Portret Elizabeth wojnę przetrwał zatem w sejfie jednego z domów aukcyjnych w Wiedniu. Po wojnie został zwrócony Erichowi Ledererowi, bratu Elisabeth.

W 1985 roku kupił go amerykański miliarder kolekcjoner Leonard Lauder. Dzieło na aukcji w Sotheby's sprzedano kilka miesięcy po śmierci Laudera.

• **Gustav Klimt, „Portret Elisabeth Lederer"** FOT. COURTESY SOTHEBY'S

eprasa.pl d1e4f06fae

16,4
MILIONA DOLARÓW

François-Xavier Lalanne, „Grand Rhinocrétaire II" (1964)

Największe zaskoczenie? To z pewnością kwota, za jaką sprzedano rzeźbione biurko autorstwa zmarłego w 2017 roku francuskiego artysty François-Xaviera Lalanne'a.

Szacowano, że wykonany z brązu i pozłacany nosorożec, w którego „ciele" o długości 260 centymetrów znajduje się blat biurka i półki, zostanie sprzedany za około 5 milionów dolarów. Finalnie osiągnął jednak cenę aż 16,4 miliona dolarów.

Kolekcjonerzy o to arcydzieło designu XX wieku bili się przez trzynaście minut, co w przypadku aukcji jest dystansem maratońskim.

„Grand Rhinocrétaire II" został po raz pierwszy zaprezentowany w 1964 roku w Galerie J. w Paryżu. „To rzadkie połączenie fantazji i użyteczności, zapraszające do zachwytu i refleksji" – napisano w komunikacie domu aukcyjnego Sotheby's.

Urodzony w 1927 roku Lalanne przez większość swojego życia tworzył w duecie z bratem Claude'em. Jako „Les Lallanes" stali się jednymi z najbardziej rozpoznawalnych francuskich autorów designu, a do ich popularności wydatnie przyczynił się w połowie lat siedemdziesiątych XX wieku piosenkarz Serge Gainsbourg, który wybrał jedno z ich dzieł, „Człowiek z głową kapusty", na tytuł i okładkę swojego albumu (fr. „L'Homme à tête de chou").

31,3
MILIONA DOLARÓW

Amadeo Modigliani, „Popiersie Elwiry" (1918-19)

Kolejne spore zaskoczenie. Szacowano, że dzieło wybitnego francuskiego portrecisty zostanie sprzedane za około 10 milionów dolarów. Jednak przechowywany w prywatnych rękach i niepokazywany publicznie przez pięć dekad obraz przyciągnął kolekcjonerów nie tylko urodą, ale także faktem, że dzieła Modiglianiego coraz rzadziej pojawiają się na aukcjach.

Kiedy jednak się pojawiają, osiągają kuriozalnie wysokie kwoty. Ponad 40 obrazów francuskiego mistrza sprzedano za kwoty przekraczające 10 milionów dolarów, a w 2015 roku jego dzieło „Akt leżący" (1917-18) osiągnął kwotę 170,4 miliona dolarów.

„Popiersie..." przez pewien czas było w rękach polskiego kolekcjonera Leopolda Zborowskiego. Mieszkający od 1913 roku w Paryżu marszand stworzył tam galerię, w której pokazywał twórców takich jak Chagall, Klee, Picasso czy Derain.

Modiglianiego poznał w 1916 roku. Zaprzyjaźnił się z nim i opiekował, gdy artysta zachorował. Wraz z żoną i zaprzyjaźnioną z nimi modelką Lunią Czechowską jako pierwsi pokazali dzieła Modiglianiego w Paryżu. Wiele z nich weszło w skład kolekcji Zborowskiego, a następnie Czechowskiej.

Niewiele zaś wiadomo o samej Elwirze – była popularną wśród malarzy modelką „z włoską krwią", która zmarła w 1920 roku.

• **Maqbool Fida Husain, „Bez tytułu" (Gram Yatra)** FOT. CHRISTIE'S

• **François-Xavier Lalanne, „Grand Rhinocrétaire II"** FOT. COURTESY SOTHEBY'S

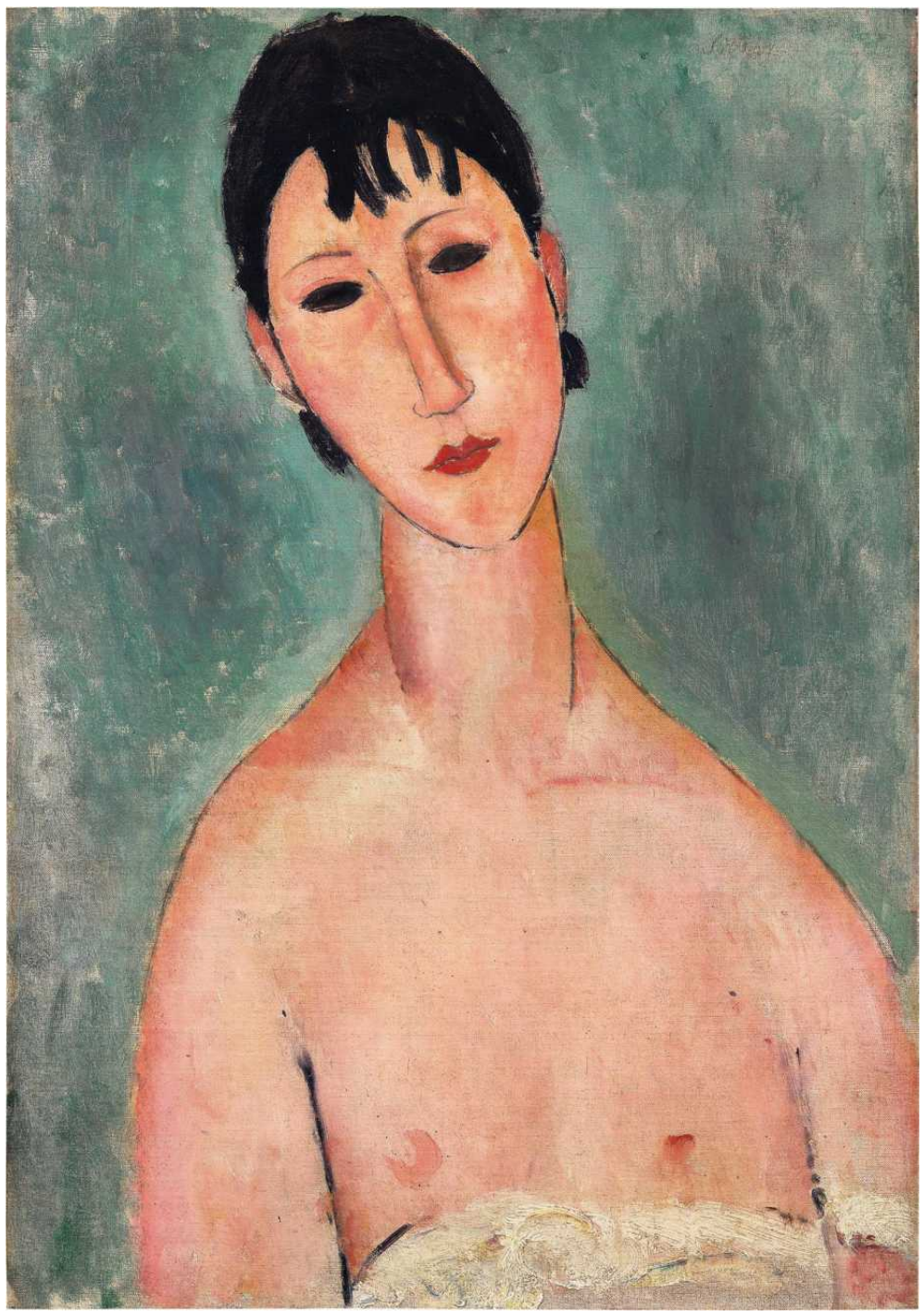

• **Amadeo Modigliani, „Popiersie Elwiry"** FOT. SOTHEBY'S

0
DOLARÓW

Alberto Giacometti, „Grande tête mince" (1954)

Zwiastun kryzysu? Jedna z najsłynniejszych rzeźb włoskiego mistrza. Powstała w 1954 roku i już raz była sensacją aukcyjną. W 2010 roku sprzedano ją za 52,3 miliona dolarów.

Tym razem oczekiwano, że kwota sprzedaży przekroczy 80 milionów dolarów. Nie byłoby to szczególnie dziwne – w tymże 2010 roku inne dzieło Giacomettiego osiągnęło w domu aukcyjnym Sotheby's cenę 104,3 miliona dolarów.

Nie znalazł się nikt, kto chciałby zapłacić tę niebagatelną sumę za dzieło zmarłego w 1966 roku malarza. Czyżby sława przeminęła? Niekoniecznie.

Od dwóch-trzech lat obserwuje się na aukcjach sztuki odchodzenie inwestorów od dzieł o rekordowych cenach. I choć zaczęliśmy od rekordowego Klimta, to jego „Portret Elisabeth Lederer" był jedynym w tym roku dziełem, które sprzedano za cenę ponad 50 milionów dolarów.

Nie inaczej było w 2024 roku. Wtedy 121 milionów dolarów nabywca zapłacił za obraz „L'empire des lumières" (Imperium światła) René Magritte'a, ale to jedyne dzieło, które weszło na listę najdroższych dzieł w historii rynku. Dla porównania, w 2022 roku aż dziewięć dzieł sprzedano za kwotę powyżej 50 milionów. Rok później – trzy.

Być może nowe elity finansowe nie cenią sztuki jako lokaty kapitału, a może szukają nowych arcydzieł, nowych nazwisk. Takich, które dzisiaj kosztują „niewiele" (czyli mniej niż 10-15 milionów dolarów), a za kilkadziesiąt lat będą cenowo konkurowały z dziełami arcymistrzów z XIX czy XX wieku.

13,8
MILIONA DOLARÓW

Maqbool Fida Husain, „Bez tytułu" (Gram Yatra) (1954)

Choć oczekiwano, że sprzeda się za 3,5 miliona dolarów, „poszło" aż za 13,8 miliona. W efekcie obraz Husaina stał się najdroższym dziełem nowoczesnej sztuki indyjskiej w historii. „Jeśli szukasz pojedynczego dzieła sztuki, które definiuje współczesną sztukę południowoazjatycką, to właśnie to" – mówił przed aukcją Nishad Avari, kierownik działu sztuki nowoczesnej i współczesnej Azji Południowej w Christie's.

Monumentalny fryz o długości ponad czterech metrów i wysokości 90 centymetrów rozpalił kolekcjonerów.

eprasa.pl d1e4f06fae

Maqbool Fida Husain urodził się w 1915 roku w zachodnich Indiach. Uznawany jest za najwybitniejszego indyjskiego malarza XX wieku, a jednocześnie najbardziej kontrowersyjnego z racji choćby portretowania hinduskich bogów i bogiń nago. Wielokrotnie zarzucano mu nieszanowanie uczuć religijnych wyznawców hinduizmu.

W 2006 roku jego obraz przedstawiający nagą kobietę pozującą na tle mapy Indii wzbudził protesty. Artysta otrzymał kilkaset pozwów sądowych, wydano nawet nakaz aresztowania Husaina. Finalnie sprawa została wyciszona, a artysta wyjechał z Indii. Zamieszkał w Dosze, zrezygnował z indyjskiego paszportu i przyjął katarskie obywatelstwo.

2,8

MILIONA DOLARÓW

Amrita Sher-Gil, „Still Life with Green Bottles and Apples" (1932)

W czasach gdy burmistrzem Nowego Jorku zostaje ugandyjsko-indyjski były raper, Bookera dostaje indyjska pisarka, a w samych Indiach powstaje najdroższe muzeum świata, nie jest niczym zaskakującym, że również artyści z tego kraju zaczynają odnosić sukcesy na aukcjach sztuki.

Do najbardziej cenionych przez kolekcjonerów należą dzieła Amrity Sher-Gil. Urodzona w 1913 roku w Budapeszcie, zmarła w indyjskim Lahaur (dzisiaj Lahore w Pakistanie) w 1941 roku. Krótkie – zaledwie 29-letnie życie – niezależnie od jakości artystycznej, zawsze pomaga.

Sher-Gil uważana jest za prekursorkę nowoczesnej sztuki indyjskiej i jedną z największych awangardowych artystów początku XX wieku.

Córka pendżabskiego arystokraty i węgiersko-żydowskiej śpiewaczki operowej tworzyła pod silnym wpływem sztuki europejskiej, zwłaszcza postimpresjonistów. Ceniona jest przede wszystkim za kolorystykę – dużo bogatszą, ale też „brudniejszą" niż ta znana z dzieła europejskich twórców. W latach trzydziestych XX wieku z powodu wielu wyjazdów do Indii rozbudowała się tematyka jej obrazów. Dzisiaj najbardziej cenione są te, na których pokazała codzienne życie nieuprzywilejowanych mieszkańców kraju.

W 2023 roku jej obraz „The Story Teller" (Opowiadacz) został sprzedany na aukcji w Mumbaju za 7,4 miliona dolarów.

54,7

MILIONA DOLARÓW

Frida Kahlo, „El sueño (La cama)" (1940)

W listopadzie 2025 roku w domu aukcyjnym Sotheby's sprzedano dzieło Fridy Kahlo za rekordową kwotę, ustanawiając tym samym nowy rekord aukcyjny dla dzieła stworzonego przez artystkę.

Obraz przedstawia malarkę podczas snu w łóżku z baldachimem, na którym leży – w towarzystwie kabli i ładunków wybuchowych – szkielet. Ciało Kahlo obłożone jest roślinami, a tło stanowią jasne obłoczki. Choć to dzieło surrealistyczne, jest w nim coś bardzo prawdziwego. Otóż Kahlo rzeczywiście trzymała szkielet na baldachimie swojego łóżka. Miał on jej przypominać o śmiertelności.

Wśród malarek, których dzieła w tym roku uzyskiwały wysokie kwoty na aukcjach, wyróżnia się Tamara Łempicka, której „Portret doktora Boucarda" z 1928 roku na aukcji w Londynie sprzedano za 8,51 miliona dolarów.

Dzieło wróciło na rynek aukcyjny po 40 latach. W 1985 roku portret francuskiego biochemika, który odkrył *Lactobacillus acidophilus*, bakterię kluczową przy produkcji jogurtów, sprzedano za 255 tysięcy dolarów. Uwzględniając inflację, to kwota odpowiadająca dzisiaj 768 tysiącom dolarów. Inwestycje w sztukę potrafią się zwrócić. Trzeba tylko cierpliwości. I długiego życia.

12,1

MILIONA DOLARÓW

Maurizio Cattelan, „America" (2016)

A jak sprzedać drogo dzieło sztuki? Najlepiej drogo je wyprodukować i mieć wizerunek skandalisty. Doskonale wie o tym włoski artysta konceptualny Maurizio Catellan, którego odlana z 18-karatowego złota i ważąca ponad 101 kilogramów rzeźba „America" sprzedała się na aukcji w Nowym Jorku za 12 milionów dolarów. Nabywcą jest sieć działających w modelu franczyzowym parków rozrywki i muzeów kuriozów Ripley's Believe It or Not!.

„America" to w pełni funkcjonująca toaleta, którą można podłączyć do kanalizacji.

Cena wywoławcza pracy określona została na podstawie wartości złota, z którego jest zbudowana. Po raz pierwszy rzeźba została pokazana w 2011 roku w nowojorskiej galerii Guggenheim na wystawie, podczas której widzowie mogli z niej skorzystać. Dzieło – jak pisano w katalogu wystawy – „pozwala na doświadczenie bezprecedensowej intymności z dziełem sztuki".

To sztuka, która z ironią podchodzi do samego rynku sztuki, jego sztucznie tworzonych hierarchii. Jej finalna cena przypomina też o tym, jak wiele zmieniło się w świecie od czasów, gdy nestor polskiej historii sztuki Jan Białoszewski tytułował swoją legendarną książkę „Sztuka cenniejsza niż złoto". W 2025 roku złoto kosztuje tyle samo co sztuka. ●

▲ **Alberto Giacometti, „Grande tête mince"** FOT. MATERIAŁY PRASOWE

◀ **Frida Kahlo, „El sueño (La cama)"** FOT. SOTHEBY'S

▶ **Amrita Sher-Gil, „Still Life with Green Bottles and Apples"** FOT. MATERIAŁY PRASOWE

▶ **Maurizio Cattelan, „America"** FOT. KRISTOPHER MCKAY/© SOLOMON R. GUGGENHEIM FOUNDATION

A jak sprzedać drogo dzieło sztuki? Najlepiej drogo je wyprodukować i mieć wizerunek skandalisty. Doskonale o tym wie włoski artysta konceptualny Maurizio Catellan

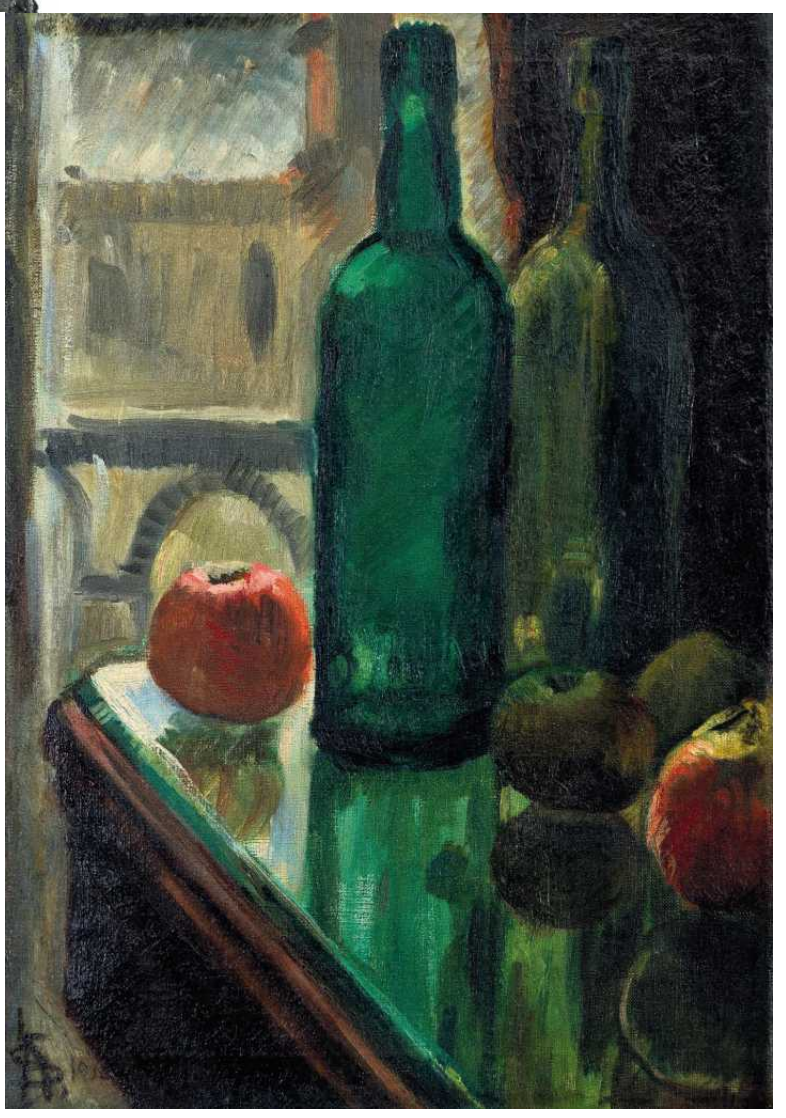

eprasa.pl d1e4f06fae

A ILE RAZY ŚWIAT MIAŁ SIĘ JUŻ SKOŃCZYĆ?

Cała frajda życia polega na tym, że ciągle napotykamy problemy i kłopoty, które sprawiają, że z nimi walczymy.

Z SOCJOLOGIEM, **PROF. PIOTREM SZTOMPKĄ***, ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

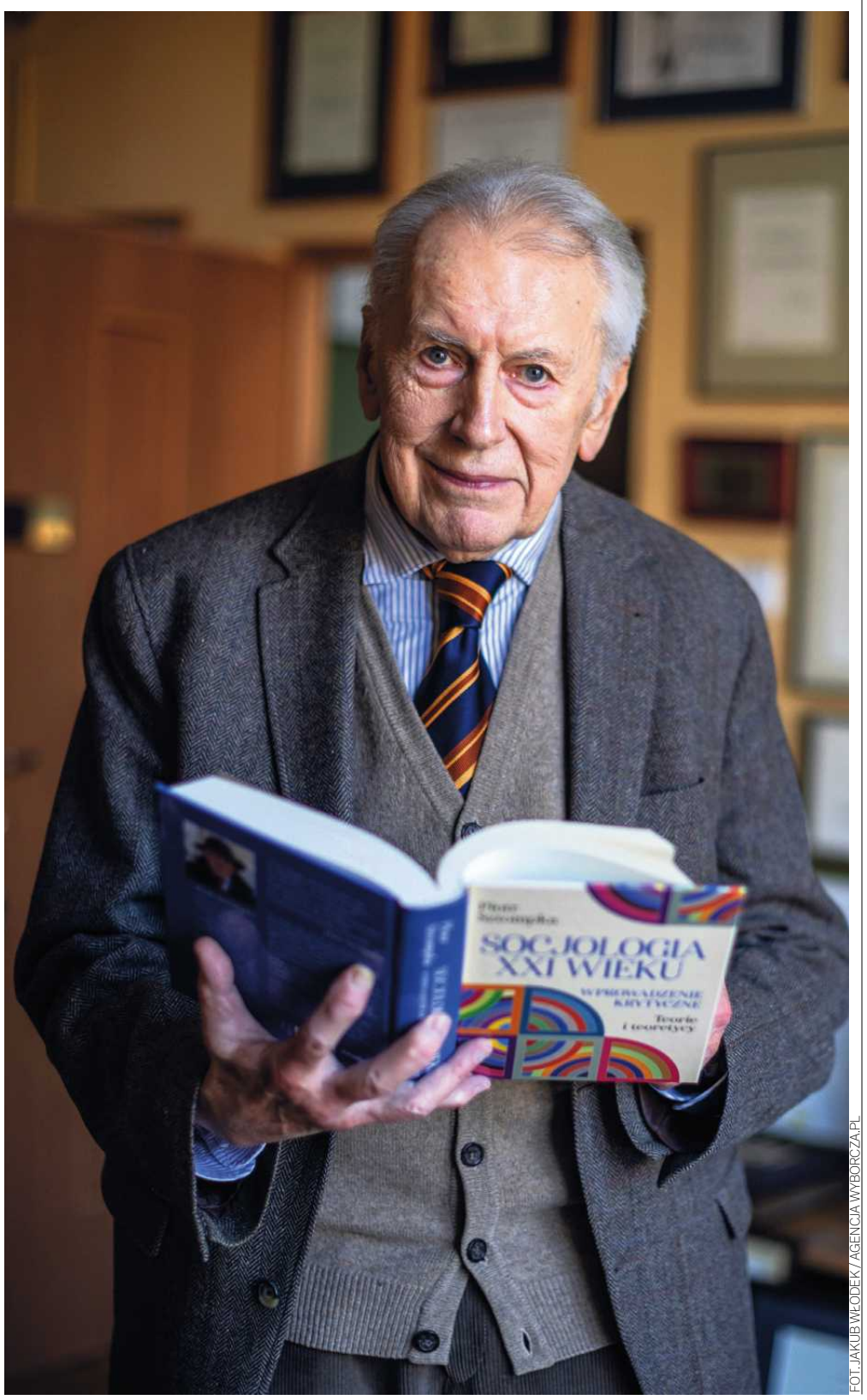

FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

WOJCIECH SZOT: Czuje się pan profesor ostatnim pozytywistą?

PROF. PIOTR SZTOMPKA*: Być może. Uważam, że człowiek i społeczeństwo są to obszary poddające się refleksji naukowej, która przez diagnozę faktów prowadzi do uogólnień. Wierzę – w przeciwieństwie do mojego adwersarza, amerykańskiego socjologa Michaela Burawoya, który nadał mi to miano – że wciąż jesteśmy w stanie tworzyć teorie ogólne, które mówią o tym, czym jest społeczeństwo, człowiek w społeczeństwie, jakie są mechanizmy zmiany społecznej i najważniejsze wartości, które organizują życie ludzi.

Jednocześnie nie jestem pozytywistą w takim dziewiętnastowiecznym sensie, czyli nie uważam, że socjologia czy w ogóle nauki humanistyczne mogą być jak nauki przyrodnicze. Nie mogą. Wciąż wiele osób zapomina, że człowiek jest bytem, którego unikalność polega na tym, że posiada świadomość. W związku z tym w jego życiu podstawową treść stanowią znaczenia.

„Socjologia znaczenia pozostaje jedyną mającą znaczenie socjologią", pisze pan profesor w „Socjologii XXI wieku", w której jednak opowiada też o innych teoriach socjologicznych.

– Na uniwersytetach wciąż wykłada się współczesne teorie socjologiczne, ale przeważnie taki przedmiot obejmuje idee, które są już historią socjologii.

Trochę już żyjemy w XXI wieku, uczeni nie tracą czasu i powstają nowe, ważne ujęcia przedmiotu. Dlatego postanowiłem opowiedzieć o dwunastu osobach, które moim zdaniem stworzyły najciekawsze kierunki teoretyczne w socjologii XXI wieku. One pokazują, że socjologia teoretyczna wciąż żyje.

Pod koniec XX wieku, w epoce fin de siècle, mówiono o śmierci teorii. Postmodernizm kwestionował możliwość istnienia uogólnionej nauki o świecie społecznym. Dzisiaj widzimy, że jednak dalej możemy na różnych poziomach tworzyć takie koncepcje.

Wracając do socjologii znaczenia: jej podstawą są wyznawane i interpretowane przez ludzi znaczenia będące elementem wszystkich działań i relacji. Społeczeństwo to dla mnie suma ludzkich działań i relacji.

Nie można zapominać o kontekście sieci, w której żyjemy. To sieć bardzo różnorodnych relacji. Tych bardzo intymnych w rodzinie, mniej osobistych z sąsiadami, ze znajomymi, z kolegami z pracy. Są też relacje bardziej ogólne – z mieszkańcami naszej miejscowości, wioski, miasteczka, regionu. Dalej idą relacje z mieszkańcami i obywatelami mojego kraju, a potem – dla niektórych przynajmniej istotna relacja – z Unią Europejską czy Europą Środkową.

Sednem każdej relacji są znaczenia, jakie jej nadajemy. Każdy z nas robi to inaczej. Na przykład dla jednego relacja małżeńska będzie przesiąknięta intymnością i miłością, ale dla kogoś może to być czysto biznesowy kontrakt. Ta sama relacja, ale odmienne znaczenia.

Pisze pan, że perspektywa socjologii XXI wieku, polega „na zwróceniu szczególnej uwagi na codzienność". Jak to się stało, że dopiero pod koniec ubiegłego stulecia odkryto codzienność?

– W XIX wieku, gdy tworzono podwaliny socjologii, autorów takich jak Herbert Spencer i Karol Marks interesowało społeczeństwo jako całość. Socjologia była nową dziedziną i badacze szukali do niej analogii w innej dziedzinie. Znaleźli ją w biologii, w nauce o organizmach.

W efekcie podstawowym modelem myślenia socjologicznego stała się organiczna całość i jej anatomia – grupy, zbiorowości, stowarzyszenia. Życie społeczne rozpatrywano przez analogię do procesów fizjologicznych.

Dlatego tak istotna stała się metafora wzrostu, która do dzisiaj męczy nieustannie socjologię przez takie pojęcia jak rozwój społeczny, cywilizacyjny czy modernizacja. Uznano, że społeczeństwa działają w ramach procesu, który zmierza w jakimś kierunku. Społeczeństwo ma cel.

Wyjście od metafory organizmu było dla socjologii przez dziesiątki lat obciążeniem. W XX wieku zaczęto mówić o systemie społecznym, ale to wciąż odnosiło się do sposobu widzenia społeczeństwa jako całości. Zmiana w myśleniu pojawiła się najpierw w Stanach Zjednoczonych.

Amerykanie tacy jak George Mead dostrzegli, że człowiek jest istotą, która realizuje się w interakcjach z innymi ludźmi.

Nasze życie przebiega w otoczeniu – jak lubię to nazywać – konwoju społecznego. Czyli innych ludzi, którzy są dla nas ważni, a których skład się zmienia.

Najpierw są to rodzice, potem koledzy w szkole, pierwsze związki, partnerzy, żony, mężowie, osoby z pracy. Jedni odchodzą w zapomnienie, inni dochodzą. Jednocześnie cały czas człowiek żyje w przestrzeni międzyludzkiej, czyli w sieci działań i relacji, która jest przeniknięta znaczeniami.

Clifford Geertz w latach 70. XX wieku pięknie napisał, że „człowiek jest zwierzęciem zawieszonym w sieciach znaczenia, które sam utkał". Od tego już prosta droga do uznania, że codzienność jest tym, co w życiu człowieka najważniejsze.

Codzienność jest treścią naszego życia. Nie ma innego życia niż codzienne. Jednocześnie nie można zapominać o tym, że istnieją też wydarzenia w naszym życiu nadzwyczajne, niecodzienne. Taką sferą dla wielu osób jest religia. Może nią być też polityka.

Nadzwyczajne w naszym świecie jest pojawienie się sztucznej inteligencji i algorytmów, które – tak mi się wydaje – zaburzają dotychczasowy opis relacji społecznych. Już od momentu pojawienia się serwisów społecznościowych nasze interakcje społeczne przebiegają inaczej, a teraz coraz częściej są tworzone za pomocą maszyn.

– Powstaje nowy kształt ludzkiego świata, który – przyznam szczerze – jest dla mnie światem egzotycznym. Oczywiście – o czym świadczy „Socjologia XXI wieku" – staram się weryfikować swoje przyzwyczajenia myślowe, wychodzić poza to, co wiem o świecie, ale przemiany są tak szybkie, że trudno mi o jakieś wnioski.

Intuicyjnie nie zgadzam się z tezą, że sztuczna inteligencja opanuje człowieka czy wyrzuci go na jakiś margines. To dla mnie skrajna teza. Zarazem ma pan rację, mówiąc, że codzienne relacje uległy ogromnej zmianie dzięki rozwojowi technologii. Z tym że ten proces nie jest nowy.

Pierwszą technologiczną przemianą było pojawienie się pisma. Wtedy po raz pierwszy relacje stały się zapośredniczone, nierównoczesne, czyli niezwiązane ze współobecnością w przestrzeni.

Kolejnym takim przełomem był telefon komórkowy. Tradycyjna rozmowa telefoniczna była powiązana z wyobrażeniem przestrzeni. Gdy dzwoniłem na telefon stacjonarny, przeważnie wiedziałem, gdzie znajduje się mój rozmówca. Teraz może być wszędzie.

Bardzo dużo zmian w komunikacji wywołał internet. Pojawiła się anonimowość relacji, która czasem przybiera patologiczne formy.

To wszystko zmienia charakter relacji międzyludzkich. To, co mnie zastanawia i niepokoi najbardziej, to kryzys zaufania społecznego, który jest tego efektem.

Zaufanie to nie tylko wiara w to, że ktoś mnie nie napadnie czy oszuka, ale też zaufanie do informacji. Ono uległo daleko idącemu zachwianiu. Musimy być czujni wobec tego, jakie informacje czytamy, które z nich powielamy. Kto z nas nie sparzył się na przesłaniu dalej jakiejś alarmującej czy zaskakującej informacji? Lub uwierzeniu w coś, co nie było prawdą.

Zaufanie pozwala nam zrezygnować z nieustannej kontroli. Nie musimy się bać, że jeśli coś odłożymy, to zostanie ukradzione. Nie musimy się obawiać, że w prasie czy telewizji usłyszymy kłamstwo, które powielimy. Dzisiaj to zaufanie zostało zachwiane.

1 RP

eprasa.pl d1e4f06fae

Franziska Heine, dyrektorka niemieckiej Wikipedii, zastanawiała się w „Wyborczej", co się stanie, jeśli „ludzie uznają, że może i dana informacja jest fałszywa, ale co z tego, skoro pasuje im jej treść?".
– Wkraczamy w sferę futurologii kasandrycznej.

Ale...
– Ale możliwe, że tak będzie. Wie pan... to będzie koniec. Jeśli tak się stanie, to wszystko, co człowiek osiągnął, zostanie zaprzepaszczone. Rozum, racjonalność, krytycyzm, sceptycyzm. Bez tego nie byłoby rozwoju cywilizacji.

Wizje końca nie są niczym nowym. Podobnie jak wizje szczytu osiągnięć ludzkości. Pracę naukową zaczynałem, pisząc ręcznie, potem zacząłem używać maszyny do pisania. Najpierw tradycyjnej, a następnie elektrycznej. Później pojawił się komputer osobisty. To się wydawało końcem rozwoju. Po co nam coś więcej? I nagle wymyślono telefonię komórkową i smartfony.

A ile razy świat miał się już skończyć?

Dezinformacją bardzo często posługują się politycy, niezależnie od strony sceny politycznej czy kraju. Gdy to zjawisko zaczęło się szerzyć, media wiele czasu poświęcały na fact-checking. Dzisiaj już wiemy, że nawet skorygowanie błędnej informacji sprzyja szerzeniu się tejże. Błędne koło. Rozpatrujemy świat nie w kategoriach faktów, ale tego, komu bardziej wierzymy.
– Niedawno słuchałem wstrząsającej rozmowy redaktorki „The Economist" Zanny Minton Beddoes ze Steve'em Bannonem, głównym ideologiem rządów Donalda Trumpa. Założeniem wywiadu była nie weryfikacja tego, co mówi Bannon, ale wysłuchanie go. Efekt jest niesamowity.

Wątkiem, który powtarzał się podczas tego wywiadu, było dokonywane przez Bannona porównanie Trumpa do Mojżesza. Celem Trumpa jest przeprowadzenie Amerykanów przez pustynię, w którą kraj zamienili Biden i Obama. Trump to boski zesłaniec – tak można to podsumować.

Celem budowania takich znaczeń jest to, by wyborca przeszedł ze sfery rozumu do sfery wiary. Wiara wyklucza jakąkolwiek dyskusję.

W Polsce też mówi się o braku dialogu między wiernymi dwóch obozów, ale używa się do tego pojęcia polaryzacji. Czy dyskusja o polaryzacji społeczeństwa ma jeszcze sens?
– Każdy zbyt często eksploatowany temat przestaje być – mówiąc kolokwialnie – sexy. Jednocześnie fakt jest faktem – przestrzeń polityki przestaje być spektrum przekonań, ale ogniskuje się wokół skrajnych postulatów. W efekcie tego powstaje polaryzacja, a wszelkie niuanse polityczne i programowe ulegają zatarciu.

Polaryzacja na poziomie politycznym przekształca się w daleko idący kryzys zaufania społecznego. W efekcie dla większości ludzi rozmowa o polityce staje się czymś, czego unikają. Unikamy konfrontacji z osobami, które mają inne zdanie niż my, bo nie chcemy ryzykować kłótni, zerwania znajomości. To jest jak choroba, która rozszerza się na wszystkie sfery naszego życia.

Instytut Gallupa co roku przedstawia Światowy Ranking Szczęścia (World Happiness Report), w którym padają między innymi takie pytania: „Gdybyś znalazł się w tarapatach, czy masz krewnych lub przyjaciół, na których możesz polegać i którzy pomogą ci w razie potrzeby, czy też nie?". W 2024 roku Polska znalazła się na 26. miejscu najszczęśliwszych krajów, ale jeszcze w 2021 roku byliśmy 12 pozycji niżej. To pokazuje, jaki wpływ na naszą codzienność ma zaufanie do rządu, policji, wojska czy służby zdrowia.

Dyskusja o polaryzacji i poszukiwanie rozwiązań, by jej przeciwdziałać, są ważne, byśmy po prostu mieli przyjemne życie.

Czyli jakie?
– Takie, w którym możemy zaufać. W którym żyje się bez obaw, że nas ktoś oszuka.

Przyznaję, że idea dobrego życia wydaje mi się bardzo podejrzana. Rządy, ale przede wszystkim korporacje mówią nam: „Dobre życie jest w twoich rękach", przerzucając na zwykłego człowieka odpowiedzialność za wszystko. W efekcie wyobrażamy sobie to przyszłe dobre życie i pół życia spędzamy na gonieniu króliczka. Korporacje na tym zarabiają, a rządzący nie muszą szukać rozwiązań, by zapewnić dobre życie dla każdego.
– Wraz z rozwojem społeczeństwa obywatelskiego pojawiło się wyobrażenie, że pomoże ono nam uzyskać to dobre życie. Okazało się jednak, że nie zawsze to działa. Chyba najsilniej rozczarowanie widać w Stanach Zjednoczonych.

Amerykanin ma poczucie, że jest obywatelem największego, najsilniejszego kraju na świecie. Do tego wychowywany jest w micie self-made mana, czyli człowieka, który może sam zapewnić sobie sukces. Jednak, gdy okazuje się, że to wcale nie takie proste, a sukces odnoszą ci, za którymi stoją rodziny, środowisko społeczne czy zwyczajnie przypadek, pojawia się frustracja. Z nią przychodzi szukanie winnych. Nie tylko w politykach, ale też w tych, co mają więcej niż my. Tylko winnym nie będzie Musk...

Celem jest to, by wyborca przeszedł ze sfery rozumu do sfery wiary. Wiara wyklucza jakąkolwiek dyskusję

Pisze pan profesor: „Zazdrość jest emocją zakotwiczoną w porównaniu mojego i cudzego sukcesu. Pojawia się, gdy skala porównań mieści się w naszych wyobrażeniach, na przykład jeśli różnica w dochodach jest liczona w tysiącach, a nie milionach".
– Trzeba pamiętać, że polaryzacja polityczna ma swoje korzenie w polaryzacji ekonomicznej.

W pogłębiającej się wciąż przepaści między fortunami a tym, co posiada zwykły obywatel. Ale skoro zazdrościmy sąsiadowi lepszego samochodu, to nie będziemy potrafili być z nim solidarni w sprawach większej wagi. Pojawia się solidarność w ramach wąskich grup, niemal plemienna.

Durkheim pisał, że „moralność polega (...) na byciu solidarnym z daną grupą i zmienia się tak jak owa solidarność". Ale dodał coś, co w naszych czasach jest jeszcze chyba ważniejsze: „spowodujcie zanik życia społecznego, a jednocześnie zaniknie życie moralne, ponieważ nie będzie miało punktu zaczepienia".

Skoro zanika nam życie społeczne w formach bezpośrednich, staje się zanonimizowane, to czy nie czeka nas wieszczony przez Durkheima zanik życia moralnego? Wiem, że w tej rozmowie robię za Kasandrę, ale jakoś nie umiem inaczej.
– Istnieje coś takiego jak przestrzeń moralna. To przestrzeń tworzona przez ludzi, którzy kierują się pewnymi regułami moralnymi, wartościami. Uznają, że te same wartości będą podobnie rozumiane przez innych ludzi. Kiedy rodzi się jednak wątpliwość, niepewność co do tego, czy na pewno inni tak samo jak my rozumieją podstawowe wartości, pojawia się wspomniana już kilka razy utrata zaufania.

Jej efektem jest chaos, który może skutkować rozkładem, anarchią. W takim momencie wiele osób będzie uciekać się do religii. Daje ona pewność, że istnieje jakiś strażnik naszej moralności, instancja, która upilnuje nas i innych. Czyli już nie policja, sądy, rząd, ale religia.

Mój przyjaciel i współpracownik Jeffrey Alexander pisze o istnieniu sfery obywatelskiej (civil sphere), której celem jest „podtrzymywanie demokratycznych form samoregulacji i solidarności społecznej". Innymi słowy: społeczeństwo w jakiś sposób wie, jak działać, by było dobrze. Ale bardzo wiele czynników wpływa na zaburzenie tej sfery obywatelskiej i może doprowadzić do jej rozpadu, anomii.

W Polsce mieliśmy z tym do czynienia po przełomie 1989 roku. Niemal z dnia na dzień przestały funkcjonować znane sposoby działania, które umożliwiały przystosowanie do życia w epoce PRL. Które sprawiały, że jakoś się żyło. W społeczeństwie konsumpcji, konkurencji i praw rynku potrzeba było zupełnie innych skryptów działania. Wynikiem chaosu, który powstał, była trauma społeczna.

Przytacza pan profesor wspaniałe zdanie z pracy fińskich socjologów: Pasi Hirvonena i Jonasa Pennanena: „Bycie uznawanym przez innych jest konieczne, aby osiągnąć pozytywne zrozumienie siebie jako pełnoprawnej osoby". Przychodzi mi ono na myśl, gdy mówimy o narodzinach wolnej Polski. Czy nie jest tak, że brak uznania i wieloletnie unieważnianie doświadczenia osób, które nie załapały się na pozytywne elementy przemian po 1989 roku, sprawiły, że dzisiaj bardzo trudno nam się w Polsce porozumieć?
– Rzeczywiście w 1989 roku pojawiło się pęknięcie w sferze obywatelskiej. Byli ludzie doskonale przygotowani do zmiany i wielkie rzeszy tych, których ona negatywnie zaskoczyła. Ci pierwsi to – upraszczając – inteligencja. Druga grupa to między innymi rolnicy, robotnicy, pracownicy przemysłu, którzy nie mieli narzędzi pozwalających im na szybkie dostosowanie się do nowego systemu.

Poczucie gorszości tej grupy było wzmagane przez poczucie wyższości drugiej strony.

Warto sięgnąć po teorię uznania stworzoną przez niemieckiego socjologa i filozofa Axela Honnetha. Uważa on, że potrzeba uznania jest dla człowieka sprawą elementarną.

W najszerszym sensie oznacza uznanie godności. Czyli: „jestem robotnikiem i mam swoją godność". Następnie liczy się poczucie przynależności społecznej. Chodzi o możliwości awansu, drogi kariery. Ale jak może się kształtować godność w sytuacji, gdy z każdej strony sceny politycznej odmawia się jej zwolennikom drugiej strony? Zwolennik inne partii jest nie partnerem w dyskusji, ale kimś, kogo trzeba poniżyć. To może być dramatyczne w skutkach.

„Wyobrażona przyszłość staje się społecznie performatywna", piszą cytowani przez profesora naukowcy. Czyli jeśli tak tragicznie widzimy przyszłość, to ona się już dzieje w myśl samospełniającej się przepowiedni?
– Nie ulega wątpliwości, że wyobrażona przyszłość staje się czynnikiem, który wpływa na teraźniejszość. Wyobrażenie utopii przez stulecia było czynnikiem motywującym ludzi do działań. Max Weber pisał, że gdyby Krzysztof Kolumb nie miał wyobrażenia, że może dopłynąć do Indii drogą morską, toby nie odkrył Ameryki. Skutki znamy wszyscy. Siła wyobraźni przyszłości jest rzeczą niebywale ważną, która wpływa na działania mające pomóc w zrealizowaniu tych wyobrażonych celów.

Marzyliśmy o nowym wspaniałym świecie, a dziś o tym, by nie uległ rozpadowi. To jednak różne od siebie marzenia.
– A przecież mamy też wizje pełne nadziei. Gdy myślę o sztucznej inteligencji, mogę sobie wyobrazić świat, w którym człowiek zostaje uwolniony od wielu ciężarów codziennego funkcjonowania. Świat, w którym czas pracy zostanie skrócony i będziemy mogli go poświęcić na ważne dla nas relacje. Taki, w którym będziemy mogli – cytując Marksa – „rano polować, po południu łowić ryby, wieczorem paść bydło, po jedzeniu krytykować, słowem, robić to, na co mam akurat ochotę, nie robiąc przy tym wcale ze mnie myśliwego, rybaka, pasterza czy krytyka".

Taka wizja jest do pomyślenia. Podobne wizje konstruowały religie oferujące przyszły świat jako pozbawiony kłopotów i utrapień życia codziennego. Możemy zatem wyobrazić sobie, że celem, do którego wyposażeni w sztuczną inteligencję zmierzamy, jest właśnie taki świat. Proszę jednak pamiętać, że zawsze możemy sobie wyobrazić punkt dojścia, ale nigdy nie przewidzimy dróg dotarcia do niego.

Jest jeszcze inna wizja świata, mnie bliższa. Otóż istotą ludzkiego życia, tym co nadaje mu sens, jest trudność. Fakt, że udało mi się przezwyciężać swoje ograniczenia i po dziesięciu latach na emeryturze napisałem liczącą niemal pięćset stron książkę, uważam za jedno z największych swoich osiągnięć. Bo nie musiałem jej pisać. Nic już nie muszę, mogę łowić ryby.

Tymczasem cała frajda życia polega na tym, że ciągle napotykamy problemy i kłopoty, które sprawiają, że z nimi walczymy. Walka z realiami świata, własnymi słabościami, wrogością innych, zazdrością... to nadaje życiu sens.

Taką postawę warto jednak połączyć z pewną dawką optymizmu. W „The Economist" jest rubryka „Cytat dnia". Dzisiaj był taki: „Wstań, obudź się i idź tak, jak gdyby nigdy nie miało cię spotkać niepowodzenie". Powiedział to 87-letni Anthony Hopkins. Szczęściu trzeba pomóc, wierząc w nie.

Nie każdemu jednak jest dany taki optymizm. Myślę, że łatwiej o niego, gdy się jest profesorem na emeryturze niż prekariuszem, który połowę pensji wydaje na wynajęcie mieszkania.
– Może niektórzy mają takie myślenie zapisane w genach. Ale prawdą jest, że jeśli chcemy, żeby ludzie tak myśleli, potrzebne jest społeczeństwo, które się wspiera, a nie sobie zazdrości. Społeczeństwo, w którym ludzie są sobie jak najbardziej równi. A nawet gdy ekonomicznie są na różnym poziomie, to nie definiują się tylko przez dostęp do dóbr. Społeczeństwo zapewniające godność i sprawiedliwe uznanie osiągnięć.

Cokolwiek bym sądził o Trumpie i tym, co dzisiaj się dzieje w Stanach, to właśnie tam spotkałem wielu ludzi, którzy nie zazdrościli, ale pomagali. Profesorów, którzy polecali mnie wydawcom, wspierali zaproszeniami na wykłady, pomagali w odniesieniu sukcesu. Bez sieci wsparcia nawet mój optymizm pewnie by nie pomógł.

Spotykamy się w mojej pracowni z widokiem na Sukiennice. Jak pan widzi, trwa tu remont. Pomyślałem, że gdy już zwolnię pracownię, chciałbym, żeby to miejsce było przeznaczona dla studentów, którzy pracują nad doktoratami. Będziemy organizować konkursy stypendialne. Nagrodą będzie możliwość spokojnej pracy nad dokończeniem doktoratu w wygodnym miejscu z podręczną biblioteką i pięknym widokiem. Może dla kogoś będzie to miejsce startu do światowej kariery naukowej? Ludzi trzeba wspierać, a nie podcinać im skrzydła. Może kiedyś się tego nauczymy? ●

*Prof. Piotr Sztompka

• przez dziesiątki lat był jednym z najczęściej cytowanych polskich naukowców. Jego mistrzem był Robert Merton, pionier szkoły socjologii analitycznej. W 2006 roku Sztompka otrzymał Nagrodą Fundacji na rzecz Nauki Polskiej nazywaną polskim Noblem.
Od ukończenia studiów do 2014 roku pracował w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Obecnie jest profesorem honorowym UJ. W 2025 roku ukazała się jego nowa książka „Socjologia XXI wieku", pierwotnie opublikowana w prestiżowym wydawnictwie Routledge.

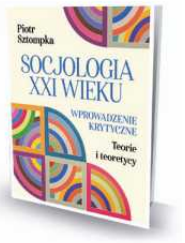

• **„Socjologia XXI wieku. Wprowadzenie krytyczne",** tłum. Magdalena Czech, wyd. Znak, Kraków 2025

eprasa.pl d1e4f06fae

MASAKRA BALLERINĄ CAPPUCCINĄ

Myślę, że w którymś momencie ludzie zorientują się, że to wcale nie jest takie fajne, że jednak odbiera im przyjemność z życia – **mówi neurobiolog dr Wojciech Glanc**

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

To działa podobnie jak kawały, szczególnie z kategorii absurdalnych. Gdy dochodzi do puenty, zastanawiamy się, co się wydarzyło. Jest to tak głupie, że aż śmieszne

Z **DR WOJCIECHEM GLACEM*** ROZMAWIA **DOMINIKA TWOREK**

Błyskawiczność, bezwartościowość, chaos, nonsens – takie określenia przyszły mi do głowy po sesji oglądania brainrotów – absurdalnych treści generowanych przez AI, niezwykle popularnych wśród dzieci. Słownik slangu definiuje je jako „filmy, które ryją banię".

– To treści bardzo intensywne i dynamiczne, a na dodatek łatwo dostępne i w zasadzie bezkosztowe. Połączenie tych czynników sprawia, że generowany przez mózg poziom przyjemności – w języku neurobiologicznym „nagrody" – jest bardzo duży. Co oznacza, że szybko wykształca się silna motywacja do powtarzania tego doświadczenia.

Co więcej: to, co ujrzymy po kolejnym ruchu palca, jest pewną niewiadomą. Spodziewamy się czegoś fajnego, ale jednocześnie nie mamy stuprocentowej pewności, czy to się wydarzy. Nawet jeżeli nasze działanie jest bardzo błahe – jak poruszenie palcem – ta niepewność przekłada się na dodatkową porcję przyjemności, kiedy okazuje się, że ryzyko się opłaciło. Jeżeli więc ktoś ogląda dużo takich treści, jego układ nagrody jest w stanie kodować tę czynność jako źródło ogromnej przyjemności.

Dodajmy: uzależniającej przyjemności.

– Mózg bardzo szybko wytwarza nawyk. I silną motywację do jego uruchamiania, opartą na zapamiętanej nagrodzie. Potrzeba tylko sygnału, którym może być widok telefonu, miejsce czy pora dnia, żeby łatwo – a z czasem coraz łatwiej – ten nawyk uruchomić. W sytuacjach, w których ktoś często ogląda takie nagradzające treści, mózg będzie zdecydowanie preferował właśnie to zachowanie.

Inne zajęcia – nawet takie, które kiedyś sprawiały nam dużą przyjemność – siłą rzeczy stają się dla naszego mózgu nieatrakcyjne?

– Alternatywne zachowania mogą tracić swoje walory i kojarzyć się jako kompletnie nudne. Z czasem przyjemność z oglądania takich filmików spada, a wówczas stajemy się nadwrażliwi na ekspresowe nagrody i zaczynamy ignorować ryzyko strat związanych z ich nadużywaniem. Coraz bardziej pożądamy wyłącznie tych treści i coraz więcej czasu je konsumujemy, co wiąże się z utratą kontroli nad naszym zachowaniem. Właśnie to „ryje psychikę" może dosłownie zmienić naszą osobowość.

Ballerina Cappuccina przypomina baletnicę z głową o kształcie filiżanki z kawą. Tralalero Tralala jest trójnożnym rekinem w butach Nike. Z kolei Bombombini Gusini to hybryda gęsi i samolotu bombowego. Absurdalność tych treści podkręca przyjemność, której doświadczamy?

– To działa podobnie jak kawały, szczególnie z kategorii tych absurdalnych. Gdy dochodzi w nich do puenty, zastanawiamy się, co właściwie się wydarzyło. Jest to tak głupie, że aż śmieszne. Mózg jest w szoku, przy czym z reguły jest to miłe doświadczenie. To zaskoczenie nazywa się fachowo błędem przewidywania. Takie błędy wyzwalają silne procesy uczenia się, a mózg generalnie nadaje im dużą wagę. Jeżeli towarzyszą nam wówczas przyjemne emocje, mózg może preferować taką nowość i zaskoczenie. Dlatego lubimy kawały i zaskakujące filmiki, które w swoim absurdzie wymykają się logice i naszym zdolnościom do przewidywania.

Brainroty są tylko „dopaminową nagrodą" za chaos, jakiego doświadczamy, czy może też trenują umysł pod kątem kreatywności?

– Obserwowanie absurdów może sprawić, że będziemy łączyć kropki w sposób nietypowy – inny niż osoby, które obserwują wyłącznie realistyczny świat, w którym wszystko jest logiczne. Nie ma na to dowodów naukowych, więc to tylko hipoteza. Opieram ją na analogii dotyczącej swoistej kreatywności umysłu, zachodzącej pod wpływem niektórych substancji psychoaktywnych. Niektórzy nazywają to „otwieraniem umysłu", czyli w dużym uproszczeniu właśnie umożliwieniem tworzenia i operowania skojarzeniami, będącymi w mniejszej lub większej sprzeczności z rzeczywistością.

Co dzieje się wtedy w mózgu?

– Na poziomie neuronalnym polega to na wspólnym wzbudzeniu neuronów kodujących. W skutek czego dwa niezwiązane ze sobą pojęcia czy obiekty zaczynają być postrzegane jako jakoś powiązane. Jeżeli nie czuwa nad tym zdrowy rozsądek, wówczas takie doświadczenie zostaje zakodowane i może być później przywoływane – czasem wzbogacając, a czasem przeszkadzając w prawidłowej ocenie sytuacji.

Mózg osoby, która ogląda dużo surrealistycznych filmików, będzie miał zdolność do łączenia teoretycznie niepasujących do siebie rzeczy?

– Kiedy oglądamy coś, co wzbudza emocje, one niejako nakazują mózgowi zapamiętać te obrazy. I znowu – na poziomie neuronalnym – neurony odpowiedzialne za ślad pamięciowy gęsi zyskają funkcjonalne połączenia z neuronami rozpoznającymi bombowiec, dzięki czemu zapamiętujemy to skrzyżowanie gęsi z bombowcem z filmiku. Ale też to otwiera nam możliwość łatwiejszego tworzenia wizji promu kosmicznego w kształcie bociana.

Im więcej takich skojarzeń, tym większa kreatywność?

– Jeżeli takich nietypowych skojarzeń zakoduje się nam w pamięci dużo, to można sobie wyobrazić, że w sprzyjających warunkach zwiększy to zdolność do nieszablonowego myślenia. Im więcej różnokierunkowych powiązań między śladami pamięciowymi, tym łatwiej o łączenie odległych kropek. Taka osoba może więc odnieść sukces w świecie sztuki czy reklamy, bo będzie tworzyła coś, co zaskakuje tych, którzy nie mają tak bogatych połączeń.

Umówmy się: nie każdy dzieciak oglądający brainroty zostanie wielkim artystą.

– To po pierwsze. A po drugie, istnieje pewne ryzyko, że to może jednak zakłócać pracę mózgu. Te zakłócenia mogą dotyczyć na przykład podstawowej funkcji, jaką jest przewidywanie tego, co się wydarzy. Nadmiar skojarzeń może powodować pewne zawahanie i trudność z podjęciem decyzji, nawet w prostych sytuacjach życiowych.

Co ma pan na myśli?

– Wyobraźmy sobie chłopaka nagminnie oglądającego filmiki, w których ludzi w domach odwiedzają zwierzęta mówiące ludzkim głosem: krowy, świnie, żyrafy czy nawet dinozaury. Ten nasz chłopiec jest sam w domu i ktoś puka do drzwi. Na poziomie nieuświadomionym – w którym mózg na bieżąco tworzy ocze-

eprasa.pl d1e4f06fae

kiwania wobec rzeczywistości – jego umysł może bazować na skojarzeniach, które powstały po oglądaniu takich treści. I podpowiadać temu chłopcu, że za drzwiami stoi krowa.

Chłopiec zorientuje się w końcu, że powinien spodziewać się jednak człowieka?
– Gdy taka wizja dotrze już do świadomych struktur mózgu, może być szybko obalona przez racjonalność. „Ale, że jak krowa? To na pewno jest człowiek". Choć nie zmienia to faktu, że nawet gdy dominującą wizją będzie oczekiwanie człowieka – jeżeli towarzyszyć jej będzie oczekiwanie krowy czy świni – może to powodować opóźnienie decyzji i niepewność.

Takie chwilowe zawahanie może mieć jakieś poważne konsekwencje?
– Ta niepewność może być związana z niepokojem i stresem. To tylko hipotezy, ponieważ nie mamy badań, które wskazywałyby, ile trzeba się takich dziwnych rzeczy naoglądać, żeby to powodowało zmiany funkcjonowania w życiu codziennym. Niemniej jednak młody wiek może być czynnikiem zwiększającym takie ryzyko. W moim przypadku – czyli osoby, która pewnie tysiące razy widziała za drzwiami człowieka – obejrzenie nawet stu filmików z krowimi odwiedzinami nie zmieni dobrze utrwalonej reguły w mózgu, ale gdybym był małym chłopcem...

A może w przyszłości mózg takiego dziecka będzie lepiej radził sobie z niepewnością, ponieważ przyzwyczaja się do niej w toku oglądania brainrotów?
– To nie takie proste. Nasze mózgi wytwarzają różne reakcje wobec niepewności, w zależności od tego jaki charakter miały nasze zaskoczenia w danej sytuacji – były miłe czy niemiłe. Jeżeli w określonych okolicznościach niepewność kończyła się happy endem, możemy zacząć się adaptować, a nawet pragnąć tej nutki ryzyka. Ale jeżeli doświadczenia są nieprzyjemne – bywało raczej gorzej niż się spodziewaliśmy – będziemy czuli lęk i unikali takich sytuacji. Tak więc mózg dziecka będzie adaptował się do niepewności, co do treści kolejnych filmików w sieci, ale już niekoniecznie w innych życiowych sytuacjach.

Dzieci oglądają brainroty w przerwach między innymi aktywnościami. Czy ich mózgi wtedy jakkolwiek odpoczywają?
– To, co w powszechnym mniemaniu jest relaksem, z perspektywy mózgu wcale nim nie jest. Mam tutaj na myśli rozrywkę. Relaks dla mózgu to odpoczynek od nadmiaru bodźców, nawet jeżeli jest to przyjemna stymulacja. Wszystko po to, aby pozwolić zregenerować się systemom w pniu mózgu, które aktywizują naszą korę mózgową do działania w chwilach wyzwania.

Taka dynamiczna rozgrywka po prostu je obciąża?
– Te systemy nie są w stanie pracować na pełnych obrotach w nieskończoność, więc gdy cały czas dzieje się coś emocjonującego, nie mają kiedy odpocząć i w końcu zmuszone są odpuszczać. Nie dość, że mózg jest mocno pobudzony, żeby śledzić to, co się dzieje na ekranie, to jeszcze na dodatek trzeba cały czas korzystać z pełnej mocy funkcji poznawczych, aby próbować jakoś ogarnąć te wszystkie absurdy, zaskoczenia i odstępstwa od logiki. Więc na pewno nie jest odpoczynek, tylko wręcz zmasakrowanie mózgu.

Co się dzieje w konsekwencji takiej masakry?
– Kora mózgowa i systemy ją wspierające działają gorzej, więc trudniej skoncentrować uwagę na jakimś zadaniu, trudniej przetwarzać dane pamięci roboczej, trudniej o poprawną analizę, wszystko dzieje się wolniej. Tak obciążony mózg ma trudność z podejmowaniem decyzji. Ale też z długotrwałym wykonywaniem jakiegoś działania czy długotrwałym oczekiwaniem na określony efekt, co wymaga sprawnej uwagi i w ogóle procesów poznawczych.

Dzieciaki, które oglądają więcej brainrotów niż sensownych treści, mogą mieć osłabioną empatię?
– Ryzyko osłabienia empatii, czy może szerzej – funkcji społecznych naszego mózgu – może wzrastać na skutek spędzania zbyt dużej ilości czasu przed ekranem, zamiast w realnym, fizycznym kontakcie z ludźmi. O ile empatia jest wrodzoną zdolnością i nie musi być ćwiczona, to funkcja pozwalająca nam rozumieć innych, odczytywać ich potrzeby, intencje, opinie – czyli teoria umysłu – wymaga treningu. Podobnie jak prospołeczne zachowania. Można więc być empatycznym z natury, ale poza współodczuwaniem emocji taki ktoś nie będzie wiedział, co ma zrobić, bo nie zrozumie, z czego może wynikać czyjś smutek czy niezadowolenie.

Im mniej spędzamy czasu z ludźmi, obcując z ich twarzami, mimiką, postawą, całą masą niedostępnych przez ekran sygnałów, tym trudniej jest nam zgrać się z drugim człowiekiem i funkcjonować w grupie. I dużo na tym tracimy.

Dlaczego nasz mózg coś wtedy traci?
– Bo więź i relacje mają bardzo pozytywny wpływ na różne funkcje naszego mózgu. Pułapka, w jaką wpadamy w sieci polega na tym, że osłabiona więź na skutek nadużywania urządzeń ekranowych skutkuje rozczarowaniami, jakie odczuwamy, kiedy już w końcu spotkamy się z ludźmi – nie do końca dobrze sobie radząc i popełniając błędy lub mając poczucie niezrozumienia. To powoduje, że takie spotkania mogą kojarzyć się źle i instynktownie będziemy ich unikać, jeszcze bardziej preferując rozrywkę i jeszcze więcej czasu spędzając w sieci.

Krótkotrwałość brainrotów może powodować, że dzieciom będzie trudniej wyobrażać sobie dłuższe procesy?
– Na pewno tak wielkie zagęszczenie przyjemnych doznań sprawia, że mózg może mieć problem z tak zwanym odraczaniem nagrody. Skoro nagrodę mogę mieć na wyciągnięcie ręki, po trzech kliknięciach – dlaczego mam robić coś, czego pozytywne rezultaty pojawią się za kilka minut, o latach już nie wspominając? Obciążenie kory i systemu nagrody może skutkować deficytami uwagi i motywacji. A te muszą być szczególnie sprawne, gdy chcemy być w stanie wykonywać coś, co trwa dłużej i czego skutki nie są natychmiastowe.

Wydaje się, że dalekosiężnym skutkiem jest też nieumiejętność znoszenia nudy, która jest momentem sprzyjającym autorefleksji – głębszym przemyśleniom na temat siebie i świata.
– Kiedy działamy i skupiamy się na świecie zewnętrznym, przeważa aktywność tak zwanej głównej sieci wykonawczej. Ona aktywuje się dzięki przełącznikowi – czyli sieci istotności – którą z kolei wzbudzają emocje, jakie powstają pod wpływem tych tiktokowych filmików. Aby oddać się spowolnieniu myśli czy autorefleksji, w mózgu musi z kolei dojść do aktywacji tak zwanej sieci stanu podstawowego, która pozostanie aktywna tak długo, jak długo nie zdarzy się nic szczególnie emocjonującego. Jeżeli ktoś odczuwa stres – na przykład z powodu deficytu nastroju, bo jego mózg pragnie przyjemności płynącej z ekranu – może dojść do aktywacji sieci istotności i natychmiastowego skierowania uwagi na otoczenie w poszukiwaniu smartfona. No i po refleksji...

Na ile wiralowe brainroty są nową formą zbiorowego rytuału – czymś, co zastępuje tradycyjne praktyki wspólnotowe, jak wspólne śpiewanie, i daje młodym ludziom poczucie przynależności?
– Wspólne przeżywanie czegokolwiek – kiedy reagujemy tymi samymi emocjami – sprawia, że nasze mózgi się synchronizują. To na pewno buduje wspólnotę. Nawet jeśli mówimy o biernym oglądaniu czegoś, a nie wspólnym działaniu. Natomiast jeśli ktoś zatraca się w tej aktywności i preferuje nią ponad inne, powinniśmy się zaniepokoić. To zawsze jest kwestia skali. W małych dawkach to nie jest aż tak niebezpieczne, jak wtedy, kiedy jest nadużywane.

Rozumiem, że nie jest pan zwolennikiem zakazywania dzieciom oglądania brainrotów?
– Z całą pewnością mogę powiedzieć, że sam zakaz nic nie da, bo dziecko musi mieć alternatywę w postaci innej przyjemnej aktywności. Jeżeli od samego początku brainroty były główną rozrywką dziecka, ono może nawet nie usłyszeć w swoich myślach podpowiedzi, że mogłoby się zająć czymkolwiek innym niż telefonem. Odbierze ten zakaz wyłącznie jako wymierzoną w niego sankcję, nie rozumiejąc nawet, dlaczego tak się dzieje. Różnica między dzieckiem a dorosłym polega przecież na tym, że dziecko nie musi znać konsekwencji swoich działań, nie musi ogarniać całej sytuacji szeroko, z różnych perspektyw.

Nie broniłbym dostępu do takich treści młodym ludziom, bo – jak mówiłem – to może ich rozwijać. Dobrze jest czasem obejrzeć sobie coś „ryjącego dynię", żeby dać się zaskoczyć. Czyli zmusić mózg do tego, żeby ogarnął coś, co jest totalnie niewyjaśnialne. To może być dla nich nawet rozwijające, dopóki stanowi jedynie element ich różnorodnych życiowych doświadczeń.

Problem nadużywania urządzeń ekranowych nie jest traktowany z taką samą powagą, jak uzależnienia od alkoholu czy opioidów

Czy era brainrotów dalekosiężnie jakoś zmieni nasze mózgi?
– Brainroty zażarły, ale to nie pierwsza rzecz, która w świecie cyfrowym jest na fali. Po jakimś czasie te mody tracą na wartości, bo przestają być są czymś nowym i zaskakującym. Niedługo będziemy obserwowali boom na coś innego.

To będzie coś, co będzie bazować na jeszcze szybszej gratyfikacji?
– Częstotliwość i łatwość oraz wielkość powstających nagród w przypadku brainrotów jest już posunięta do granic. Ciężko sobie wyobrazić coś bardziej efektywnego w dostarczaniu tych wzmocnień. Kolejnym krokiem byłaby chyba bezpośrednia stymulacja mózgu. Dzięki eksperymentom wiemy, w jakim miejscu trzeba umieścić w mózgu elektrodę, żeby prądem wywoływać uczucie euforii. Technologia pozwala nam już zresztą na stymulowanie mózgu przez czaszkę metodami nieinwazyjnymi. Jestem w stanie sobie wyobrazić, że jakaś firma wypuszcza na rynek hełm, który stymuluje rejony mózgu związane z odczuwaniem przyjemności. I podejrzewam, że to by się dobrze sprzedawało.

Pytanie z jakim społecznym skutkiem.
– To byłoby dla nas tragiczne. Skala zaburzeń, które by z tego wynikały, byłaby czymś dramatycznym. Nie ma przyjemności bez konsekwencji. Za wzrostem nastroju podąża jego spadek. Ciągła stymulacja układu nagrody pociąga za sobą nieuniknione trwałe obniżenie nastroju i konieczność walki o coraz większe nagrody. To jest coś, czego się nie da przeskoczyć.

Może po prostu mózgi młodych ludzi adaptują się do życia w środowisku przyśpieszenia i permanentnego przebodźcowania?
– Wydaje się, że póki co adaptacja polega raczej na umiejętności kontroli nad zachowaniem, aby unikać kompulsywnego korzystania z urządzeń ekranowych. Nasz mózg nie radzi sobie za dobrze z nadmiarem stymulacji i kompletnie nie radzi sobie w obliczu nadmiaru i intensywności nagród. Aby doszło do adaptacji – rozumianej jako oporności na zakłócenia pracy mózgu poddawanego takiej nadmiernej stymulacji – potrzeba pokoleń. I to nie dwóch czy trzech, bo powinniśmy to widzieć jako perspektywę ewolucyjną.

Czyli może do tego dojść.
– Presja środowiska już jest. Rzeczywiście żyjemy w świecie, którego dynamika jest powodem kłopotów i nie wszyscy radzimy sobie z tym, aby zachować sprawność naszych mózgów. Tych szczególnie wrażliwych świat nowych technologii może na tyle wciągać w otchłań, że wpłynie to negatywnie na ich relacje społeczne, czyniąc nawet niezdolnych do tworzenia głębszych więzi, mogących być źródłem potomstwa. Tak mogłaby teoretycznie wyglądać selekcja naturalna, która w perspektywie wielu, wielu pokoleń mogłaby spowodować, że przewagę na Ziemi będą mieli ludzie, którzy mają geny pozwalające im na adaptację do tego dynamicznego cyfrowego świata.

Pozytywnie patrzy pan w przyszłość?
– Myślę, że w którymś momencie ludzie zorientują się, że to wcale nie jest takie fajne, że jednak odbiera im przyjemność z życia. Ale to musi się zadziać przez doświadczenie strat, jakie poniosą osoby uzależnione od treści płynących z internetu. Ten skutek będzie powstawał bardzo długo. Być może dopiero dzieci obecnych dzieci, które stykają się z tą ogromną dawką stymulacji, odczują na sobie ich konsekwencje. I oni sami – obserwując negatywne skutki takich, a nie innych wyborów życiowych – mając już swoje dzieci, będą w stanie wpływać na kolejne pokolenia.

Nie chce pan zaapelować: „Przestańmy, dopóki nie ponieśliśmy ofiar"?
– To byłby głos wołającego na puszczy. Problem nadużywania urządzeń ekranowych nie jest przez ludzi traktowany z taką samą powagą, jak choćby uzależnienia farmakologiczne, od alkoholu czy opioidów. Osoba uzależniona od ekranu nie przypomina alkoholika, co wcale nie oznacza, że takie nadużywanie jest bezpieczniejsze. Każdy uzależniony zmuszony jest wciąż robić coś, aby utrzymać swój nastrój na przyzwoitym poziomie. To ciągła walka o przywrócenie nastroju, który przez to uzależnienie sam z siebie spada poniżej neutralnego. Nie znam nikogo, kto by o tym marzył.

Praktycznie rzecz ujmując: może lepiej, żeby ktoś z predyspozycją do uzależnień kompulsywnie oglądał głupie filmiki, niż pił alkohol lub dawał w żyłę?
– Skutkiem każdego uzależnienia jest wzrost wrażliwości i motywacji do osiągania nagrody z innych źródeł. Na przykład palacz jest bardziej podatny na bodźce seksualne, alkohol, czy właśnie urządzenia ekranowe. Wcale więc nie ma gwarancji, że ktoś, kto uzależnił się od ekranu, ma już z głowy problem innych uzależnień, bo wybrał mniejsze zło. ●

FOT. BARTOSZ BAŃKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

dr Wojciech Glac

• jest neurobiologiem z Uniwersytetu Gdańskiego, którego wielką pasją jest popularyzacja wiedzy o mózgu. Ma na swoim koncie ponad 700 wykładów popularnonaukowych i warsztatów dla dzieci, młodzieży i dorosłych. Od 15 lat organizuje Dni Mózgu w Trójmieście.

eprasa.pl d1e4f06fae

NAJGŁOŚNIEJSZE KSIĄŻKI 2025

Wzbudzały kontrowersje i budziły emocje. Wywoływały burzliwe dyskusje i obszerne repliki. Biły rekordy sprzedaży i dostawały miliony lajków.

Wojciech Szot

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Sally Carson, „Crooked Cross”
wyd. Persephone Books

• Literackie odkrycie roku. Dosłownie, bo wydana w połowie lat 30. XX w. powieść angielskiej pisarki popadła w zapomnienie. Dopiero w 2025 r. odnalazła ją i ponownie opublikowała Nicola Beauman, założycielka wydawnictwa Persephone Books.

Urodzona w 1902 r. Sally Carson, redaktorka i nauczycielka tańca, w 1934 r. pojechała na wakacje do Bawarii. To, co tam zobaczyła zaniepokoiło ją tak bardzo, że napisała powieść o młodych ludziach, którzy rozczarowani niemiecką rzeczywistością zaczęli masowo zapisywać się do nazistowskiej partii.

Carson przewidziała skalę zagrożenia ze strony nazistów. „Czytanie tej powieści to niezwykłe, momentami bolesne doświadczenie”, chwaliła Charlotte Higgins w „Guardianie”.

Samantha Harvey, „Orbita”
tłum. Kaja Gucio, wyd. Wielka Litera

• Już dawno nie było tak dużych różnic w odbiorze książki. Opowieść o jednym dniu z życia astronautów przebywających na stacji kosmicznej – w Wielkiej Brytanii zdobyła Bookera i biła rekordy sprzedaży, a w Polsce i na Ukrainie była bardzo krytykowana.

Pisarka Oksana Zabużko uważa, że „książka stylistycznie przypomina dzieło napisane przy pomocy sztucznej inteligencji, a wiara w to, że Rosjanie będą zbawcami planety, jest efektem kremlowskiej propagandy”, a Booker to efekt milionów rubli wydawanych przez Rosjan na propagandę. Książka jest „fachowo wykonanym product placementem dla Rosji i Roskosmosu”, pisała.

Również Tetiana Mykytenko w „Dwutygodniku” pisała, że „w realnym świecie Rosjanie codziennie wymazują z mapy ukraińskie miasta, w literackim świecie »Orbity« z zachwytem patrzą na Ziemię i nazywają ją »mateczką«”.

Czytelnicy zauważali, że jedną z osób, o której Harvey wspomina w książce, jest Siergiej Krikalow, kosmonauta, którego Putin mianował nadzorcą programu kosmicznego „Rosjanie zaatakowali Ukrainę, a Samantha Harvey »oślepła« i wprowadziła dwie pozytywne rosyjskie postaci, z których jedna jest kapitanem misji? Nagroda Bookera jest albo głupia, albo sprzedana za rosyjskie pieniądze”, komentowała jedna z czytelniczek.

Eliza Kącka, „Wczoraj byłaś zła na zielono”, wyd. Karakter

• Książka o wybitnych walorach literackich, która rok po premierze jest na listach bestsellerów? To nie wydarzyło się w Polsce od lat.

Eliza Kącka doskonale opisuje codzienność rodziców neuronietypowych dzieci, których – jak mówi – „przyczepność do naszego świata” wciąż jest testowana. To nie jest ani poradnik, ani skarga czy oskarżenie. To książka o miłości zadająca pytania zarówno o to, jak bardzo jesteśmy przywiązani do odgrywanych ról społecznych i czy język jest w stanie opowiedzieć o tym, kim jest Ruda? „Wczoraj byłaś zła...” otrzymało Nagrodę Literacką „Nike” zarówno od jurorów, jak i czytelników „Wyborczej”.

„O sukcesie przesądziło najlepsze, co może dać literatura, czyli lekcja komunikacji i człowieczeństwa”, mówiła w laudacji Justyna Jaworska, przewodnicząca jury nagrody.

R.F. Kuang, „Katabaza”
tłum. Grzegorz Komerski,
wyd. Fabryka Słów

• Ta książka znajduje się niemal w każdym podsumowaniu roku anglojęzycznych magazynów. 29-letnia R.F. Kuang – autorka bestsellerów „Babel, czyli o konieczności przemocy” i „Yellowface” – tym razem połączyła dwa literackie gatunki: „dark fantasy” i powieść o akademii. Akcja „Katabazy” zaczyna się w murach Uniwersytetu Cambridge. Alice Law zawsze marzyła o pracy z profesorem magii Jacobem Grimesem. Problem w tym, że ukochany profesor ginie w wyniku nieudanego eksperymentu. Law – z pomocą rywalizującego z nią studenta – zamierza go wskrzesić. W tym celu muszą udać się do piekieł.

Recenzentka „New York Timesa” pisała o książce, że „błyszczy prawdziwymi postaciami i wciągającym budowaniem świata”. Krytycy chwalą to, jak Kuang doskonale meandruje między wielką tradycją literacką a najnowszymi trendami. I chyba po raz pierwszy tak dobitnie pokazuje, że za jej pisaniem stoi olbrzymia wiedza o literaturze i filozofii.

Sławomir Gortych, „Schronisko, które zostało zapomniane”, wyd. W.A.B.

• Sławomir Gortych zadebiutował w 2022 r. opublikowanym przez Wydawnictwo Dolnośląskie kryminałem „Schronisko, które przestało istnieć”. Książka spodobała się czytelnikom, a autor poszedł za ciosem. Dwie kolejne części zrobiły z niego gwiazdę.

Na początku 2025 r. internauci przyznali mu tytuł „Książki Roku” portalu Lubimyczytac.pl w kategorii „Kryminał, Sensacja, Thriller”. Pobił takie gwiazdy jak B.A. Paris, Wojciech Chmielarz czy Remigiusz Mróz. I jednocześnie zmienił wydawnictwo – przeszedł do W.A.B. i był to jeden z najważniejszych transferów literackich tego roku.

Wydana już w W.A.B. czwarta część cyklu Gortycha, „Schronisko, które zostało zapomniane”, w niecały rok znalazła ponad 100 tysięcy odbiorców.

Podobnie jak w trzech poprzednich książkach, akcja kryminału dzieje się w karkonoskich schroniskach. To książka pełna tajemnic, w której niemiecka historia łączy się z polską transformacją i XXI wiekiem.

– Gdy nadchodził czas premiery mojej pierwszej książki, obawiałem się, czy ludzi zainteresuje moje pisanie. Czy będą chcieli czytać o karkonoskiej przyrodzie i historii? Czy kogoś poza mną interesuje historia schronisk? Bałem się, że czytelnicy pomyślą, że to takie „W pustyni i w Karkonoszach” – mówił Gortych w rozmowie z „Wyborczą”.

Dziś już nie ma wątpliwości – autor czytelników w sobie rozkochał.

Joanna Kuciel-Frydryszak, „Chłopki”
wyd. Marginesy

• W tym roku, po dwóch latach od wydania „Chłopki” wypadły z czołówki najchętniej kupowanych książek w Polsce. Stały się to powodem głośnego sporu o warunkach pracy pisarzy. „Chłopki” były nieprawdopodobnym sukcesem wydawniczym, ale umowa między autorką a wydawnictwem Marginesy nie przewidziała takiej sytuacji. Kuciel-Frydryszak chciała ją renegocjować i mieć większy udział w zyskach. Wydawnictwo się nie zgodziło.

W marcu br. pisarka upubliczniła spór z wydawnictwem. Rozgorzała publiczna dyskusja na temat wynagrodzeń, które otrzymują autorzy od wydawców.

„To wspaniałe, odważne i znamienne, że autorka, która napisała książkę o zapierdolu pokoleń kobiet, przodkiń większości z nas (tak, moich też), upomina się o swoje, korzystając z prawa, które jej przysługuje”, pisała Joanna Bator, laureatka Nagrody „Nike”.

Na zlecenie Instytutu Książki przygotowano też specjalny raport o kondycji zawodowej pisarzy, tłumaczy i ilustratorów. „Wszyscy twórcy i twórczynie empatyzują z Joanną Kuciel-Frydryszak i popierają jej działania, dostrzegając w nich punkt zwrotny”, pisze autor raportu Mariusz Dzięglewski.

I dodaje: „W pojedynczych narracjach można znaleźć informację, że twórcy rozpatrują podjęcie kroków w celu renegocjacji własnych umów z przeszłości w oparciu o klauzulę bestsellerową lub wręcz je podejmują, idąc za przykładem Joanny Kuciel-Frydryszak”.

Za swoją postawę autorka została 2025 r. nominowana do tytułu Człowiek Roku „Gazety Wyborczej” i „Kobieta Roku” magazynu „Forbes”.

Szczepan Twardoch, „Null”
wyd. Marginesy

• „Null” to pierwsza od lat powieść Twardocha, która dzieje się w bliskiej nam współczesności. Twardoch opowiada o wojnie w Ukrainie z perspektywy polskiego ochotnika. Odważna decyzja artystyczna i udane jej wykonanie przyniosło pisarzowi uznanie krytyki nie tylko w Polsce.

Niemiecki przekład powieści zajął drugie miejsce w finale Spiegel Buchpreis, nowej niemieckiej nagrody literackiej.

Nora Zukker, redaktorka i krytyczka literacka, napisała w uzasadnieniu decyzji redakcji „Spiegla”, że „Null” nawiązuje do literackiej tradycji ustanowionej przez Ernesta Hemingwaya w „Komu bije dzwon”. Powieść Twardocha będzie – przypuszcza Zukker – „tą jedną powieścią o rosyjskiej agresji na Ukrainę”.

Dariusz Nowacki pisał w „Wyborczej”: „Czytając, raz po raz orientujemy się, że odkrywamy coś nowego i nieoczywistego – może nie w sensie faktograficznym, ale w refleksyjnym na pewno. Jakieś skojarzenie, jakiś pasaż myśli, tu i ówdzie drobną i zarazem przenikliwą obserwację – niby niewiele, ale jednak sporo. Zaiste są powody, by być wdzięcznym za »Nulla«”.

Ocean Vuong, „The Emperor of Gladness”, wyd. Penguin Press (US) / Jonathan Cape (UK)

• Ocean Vuong jest fenomenem, którego rynek książki potrzebował.

Urodzony w Wietnamie wnuk amerykańskiego żołnierza i wietnamskiej chłopki, który wychowywał się w USA i pisze wyrafinowane, poetyckie powieści. Czego chcieć więcej? Vuong do tej mozaiki dokłada nienormatywną orientację seksualną i książki podejmujące wszystkie ważne współcześnie tematy.

W swojej najnowszej powieści pisze o tożsamości seksualnej i etnicznej, kryzysie opioidowym, kulturze fast food, dziedzictwie konfliktów XX wieku. Efektem nie jest toporna powieść programowa, ale świetna w lekturze książka o współczesnym świecie, która już przed premierą przez wielu krytyków określana była jako arcydzieło.

Bohaterem jest Hai, 19-latek z Connecticut. Uzależniony od różnych pigułek rzuca studia i wraca do matki – uchodźczyni z Wietnamu. W rodzinnym miasteczku poznaje Grazinę Wiczkus, starszą kobietę z Litwy, która przekonuje go, by nie skakał z mostu. Grazina stanie się jego przyszywaną babcią.

M. John Harrison w „Guardianie” pisał, że książka „łamie serce, wzrusza, a jednocześnie jest pozbawiona sentymentalizmu i dziko komiczna”. W Polsce w 2026 r. wyda ją W.A.B.

Rebecca Yarros, „Onyx Storm. Onyksowa burza”,
tłum. Sylwia Chojnacka, wyd. Filia

• Najpopularniejsza książka na świecie w 2025 r. Ponad 3 mln użytkowników portalu Goodreads dodało „Onyx Storm” na swoją wirtualną półkę, czyli zadeklarowało przeczytanie lub chęć przeczytania, a w pierwszym tygodniu od publikacji tylko w USA sprzedało się ponad 2,7 mln egzemplarzy.

– Mam wrażenie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę – mówiła Rebecca Yarros w Saint Paul w stanie Minnesota, gdzie przyszło ją zobaczyć 1,7 tys. osób.

„Onyksowa burza” to trzecia powieść z wydawanej od 2023 r. serii „Empireum”. Bohaterką jest Violet Sorrengail, która – zmuszona przez matkę – uczy się w elitarnej akademii dla jeźdźców smoków. Tymczasem na granicach królestwa Navarra, z którego pochodzi Violet, narastają konflikty. Dziewczyna musi zbudować koalicję sprzymierzeńców, którzy pomogą jej uratować Navarrę. I smoki.

Jak pisała Alexandra Alter w „New York Timesie”, sukces książki „świadczy o tym, że popularność romantasy, gatunku łączącego pikantne sceny erotyczne i wątki romansowe z elementami nadprzyrodzonymi, nie jest ulotnym trendem”.

Na drugim miejscu tego rankingu popularności – z wynikiem o milion „półek” gorszym – znalazł się „Wschód słońca w dniu dożynek” Suzanne Collins, piąta część cyklu „Igrzyska śmierci”. ●

eprasa.pl d1e4f06fae

ADAM MICHNIK POLECA

Irena Bilska, Mieczysław Jastrun, Krystyna Bilska. Zakopane, 1933 rok

FOT. MUZEUM LITERATURY / EAST NEWS

POETA I DWORZANIN.

RZECZ O MIECZYSŁAWIE JASTRUNIE

Słabo go znamy jako pisarza, co potwierdza popularną definicję: klasyk to ktoś, o kim każdy słyszał, ale nikt nie czyta. Czytajmy! Warto

Jakub Kloza*

Gdy jako student pierwszego roku polonistyki sięgnąłem po kupiony za 20 złotych w krakowskim antykwariacie tom „Poezji zebranych" Mieczysława Jastruna, nie miałem pojęcia, co tak naprawdę trzymam w dłoniach. Urzekały mnie co poniektóre subtelne i osnute wokół niejednoznacznej symboliki wiersze, a jednocześnie głęboko irytowały i dziwiły.

Nie rozumiałem ich napuszonej poetyckości, nieustannego przerabiania tych samych tematów w nierzadko miernych pod względem literackim tekstach, a przede wszystkim abstrakcyjnej wręcz i niezdrowej obsesji rozliczania się z przemijającym czasem.

Wydaje mi się, że zrozumiałem coś więcej dopiero wtedy, gdy w książce Tomasza Jastruna, syna Mieczysława, „Dom pisarzy w czasach zarazy" znalazłem opowieść przekazaną przez jego matkę, żonę poety.

„Mama opowiadała, że ojciec, który wcześnie osiwiał, w latach 1950-1956 farbował sobie włosy. Były wtedy kiepskie barwniki, więc dochodziło do dramatów, włosy czasami przybierały zielonkawy kolor. Raz stało się to tuż przed wyjazdem do Paryża, gdzie ojciec miał mieć wykład na Sorbonie. Ścierał potem farbę pumeksem, wśród okrzyków rozpaczy".

Pociągła twarz, grecki nos i szlachetnie zaczesane do tyłu gęste włosy - na tym nieskazitelnym wizerunku poety, który znamy z popularnych, przedrukowywanych w książkach fotografii, pojawia się rysa. Można w niej dostrzec manię egocentryzmu, tandetę PRL-owskiego świata, prawdziwą bezsilność wobec mijających lat i siwiejących włosów oraz, co więcej, pewien nieoczywisty heroizm.

•

Dziś dzieli nas sto lat od publikacji na łamach „Skamandra" (nr 41/1925) wiersza „Wielki wóz", którego druk Jastrun uznał za swój właściwy debiut. Studiował wtedy polonistykę, germanistykę i filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim, a miał ledwo 22 lata, czyli był moim rówolatkiem.

Jego debiut gorąco przyjął sam Witkacy, uważając autora za twórcę prawdziwie metafizycznego. Przypomnijmy, że jeśli dla Stanisława Ignacego Witkiewicza istniała literatura bez metafizyki, to była to co najwyżej „powieść-worek".

„Już siedem gwiazd błyszczących na pustym obszarze/ Wybiło północ czarnej romantycznej nocy –/ Na dziejowym zegarze zmieniają się straże/ I sława jak chorągiew nad miastem łopocze".

Bez mała 60 lat intensywnej twórczości poetyckiej nie pozwoliło odwrócić się Jastrunowi od zagadnień, którymi zainteresowanie zdradzał już na początku swojej drogi. Są to, widoczne w przytoczonym fragmencie „Wielkiego wozu", katastrofizm, myślenie w kategoriach kosmicznych, historyczny i zmienny charakter urządzeń tego świata oraz majacząca na horyzoncie sława.

Wróżyło mu ją wielu, a zwłaszcza skamandrycki krytyk Karol Wiktor Zawodziński, który w twórczości młodego Jastruna widział spełnienie swoich marzeń o polskiej nowoczesnej poezji.

Pisał jednak trafnie w pochlebnej recenzji „Spotkania w czasie", pierwszego tomu poety, opublikowanego w 1929 roku, że „na podstawie tej jednej książki i od ręki trudno mu wyznaczyć miejsce na Parnasie: może pozostanie świetnym i samodzielnym epigonem w stosunku do poezji Skamandra, czymś jak [Kornel] Ujejski lub [Leonard] Sowiński (...) w stosunku do wieszczów, Gumilow w stosunku do symbolistów rosyjskich; a może go czeka większe przeznaczenie?".

•

Mimo że minęło prawie sto lat od momentu, w którym Zawodziński sformułował swoje wątpliwości co do miejsca Jastruna w polskiej literaturze, dziś wcale nie jesteśmy w tej kwestii mądrzejsi. Zupełnie nie znamy go jako poety, co potwierdza żartobliwą definicję klasyka jako pisarza, o którym każdy słyszał, ale nikt nie czyta.

Jak wytłumaczyć paradoks, że twórca dziś nieobecny w kanonie lektur (ani polonistycznych, ani prywatnych) został niegdyś wyniesiony na literacki parnas, choć niejednokrotnie odsądzano go od czci i wiary?

2 RP

eprasa.pl d1e4f06fae

Odnosząc się do różnych relacji pochodzących od osób znających Jastruna, można stwierdzić, że w niespotykanym stopniu przejawiał postawę wycofania z codzienności na rzecz trwania w świecie literackim, życia „w wyobraźni i z wyobraźnią", jak sam o sobie mówił w swoim dzienniku.

Do momentu wybuchu II wojny światowej opublikuje trzy kolejne tomy poetyckie z zaskakującą regularnością, z których zwłaszcza „Inna młodość" z 1933 roku zostanie zauważona i doceniona przez krytykę. W początkowo symbolistycznej i katastroficznej liryce Jastruna z okresu trzydziestolecia zaczną pojawiać się wyraźne akcenty społeczne, uwrażliwienie na krzywdę ludzką i dehumanizujący pęd modernizacji. Wynikało to z rodzącej się już wtedy lewicowej wrażliwości poety.

Ważny był też wpływ liberalnych środowisk „Skamandra" i „Wiadomości Literackich", gdzie Jastrun ówcześnie publikował swoje teksty. Oburzały go endeckie ataki na polskich poetów pochodzenia żydowskiego, zwłaszcza Tuwima i Słonimskiego. O przedstawicielach tej odmiany antysemityzmu powie po latach: „Nie zaglądajmy lepiej do tych głów i nie analizujmy tej choroby".

Z tego gniewu i niezrozumienia zrodził się również tużpowojenny artykuł Jastruna na temat patologii polskiego patriotyzmu, którego tytuł „Potęga ciemnoty" sugeruje rozmiar późniejszych kontrowersji wywołanych publikacją tekstu.

W tym samym czasie Jastrun pokaże inne talenty: akademicki i dydaktyczny. Studia filologiczne zwieńczył obroną doktoratu poświęconego twórczości Stanisława Wyspiańskiego. A w roku 1930, gdy wstąpił do PEN Clubu, zdał też egzamin nauczycielski i jako pedagog Gimnazjum Społecznego w Łodzi pracował przez całe lata 30.

Nie był to łatwy okres. W liście do Juliana Przybosia skarżył się na trudy belferskiego zawodu: „Praca w szkole coraz cięższa, poprawianie zeszytów coraz obrzydliwsze. Jest to w gruncie rzeczy małe piekiełko".

Stawało się ono możliwe do przeżycia dzięki regularnym ucieczkom w świat literatury i miłości, ponieważ właśnie wtedy Jastrun ożenił się i zamieszkał z Krystyną Bilską, wojującą marksistką. Jej wpływ był tak przemożny, że to właśnie ją poeta obarczy po wojnie winą za swój akces do komunizmu, a ponadto dość brutalnie porzuci, by koniec końców związać się z o 20 lat młodszą Mieczysławą Buczkówną.

Nauczycielem był jednak niezłym, wycofanym, ale budzącym respekt. „Jego bronią była ironia - wspominał jeden z uczniów. - Gdy wchodził do klasy, w której był krzyk i panował chaos, mówił cichutkim głosem: »Ależ chłopcy, tak nie można«".

●

Wybuch wojny nie tylko naznaczył trajektorię kariery pisarza, ale stał się także doświadczeniem skrajnie traumatycznym w wymiarze osobistym. Urodzony w 1903 roku Mieczysław Agatstein zrobił wiele, by ukryć żydowskie pochodzenie. W wieku 17 lat przeszedł wraz z bratem konwersję na katolicyzm, a od momentu debiutu konsekwentnie posługiwał się pseudonimem Jastrun, prawdopodobnie wziętym z „Przedwiośnia" Żeromskiego.

Nie powodowała nim niechęć do nazwiska, lecz potrzeba zredukowania kłopotliwej podwójnej tożsamości. Był wolny od uprzedzeń rasowych, lecz nie mógł być wolny od uczucia: „że jestem śledzony przez nieżyczliwe oczy, że każdy mój uczynek będzie nazwany gorącym, i będę na nim przyłapany, gdy u kogoś nieobwinionego nie zwróciłby nawet niczyjej uwagi jako zupełnie naturalny".

Wojna przyniosła mu konieczność ukrywania się i posługiwania aryjskimi papierami. W autobiograficznym zbiorze „Pamięć i milczenie" Jastrun pisał o przeczuciu rzezi i wędrówce przez spalone wsie na trasie Warszawa-Łódź.

ROCZNICA ŚMIERCI POETY
WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Krzysztof Czyżewski*

grób Stanisława Barańczaka

nie do rozstania do miłosnej schadzki raczej
i żadnego tutaj nie słychać żalu żywych
młoteczkiem wykuwanego w granicie
mówią ptaki czasem wiatr od stawu
imię w kamieniu na nagiej ziemi
bez miedzy pomiędzy grobami
właściwie łąka na wzgórzu
syta wstrzemięźliwość
chyba dobrze mu tu
„Ciao, Ciało"
nieprzegadany
już nie osaczony w locie
niebo uwalnia z wyniosłości
wpuszcza niewidzialne pod język
pod liśćmi opukuje złe chucha na zimne
i pasie się zbierając okruszek do okruszka
a jego wystające żebra co wciąż drą aksamit
mocują się z kneblem w słowach między nami
gdzieś tutaj musi być ta wyrwa w światło dzienne

***Krzysztof Czyżewski** - ur. w 1958 r., animator kultury, poeta i eseista, współtwórca ośrodka Pogranicze - Sztuk, Kultur, Narodów w Sejnach. Wiersz pochodzi z jego tomu „tykot", Wydawnictwo a5, 2025.
Stanisław Barańczak zmarł 26 grudnia 2014 r.

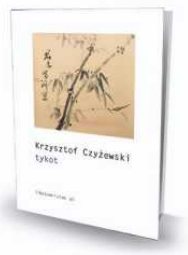

FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

W grudniu 1939 roku decydują się z żoną na ucieczkę do Lwowa, gdzie mieli znajomych. Szybko pożałowali tego wyboru. Zajęte przez Rosjan miasto było przestrzenią napięć, głodu, strachu napędzanego historiami o bliskich, którzy zginęli w łagrze. Poeta ocenzuruje ten okres we wspomnieniach, pomijając historię swojego wstąpienia do Związku Sowieckich Pisarzy Ukrainy, którą to decyzję będą mu później wypominać nastawieni antykomunistycznie publicyści.

Dość aluzyjnie Jastrun pisał też o marksistowskich dyskusjach dotyczących sowietyzacji polskich szkół. Umieszczał siebie i bliskiego mu prof. Juliusza Kleinera naprzeciw „aktywistów" debatujących nad kształtem zideologizowanego podręcznika do literatury. Poeta czuł, „że teraz widocznie nadszedł czas odwrotnego myślenia".

●

Po zajęciu Lwowa przez Niemców Jastrun ukrywał się przede wszystkim w Warszawie, z przerwą na ucieczkę do Międzylesia, gdzie schronił się przed niemieckim aresztowaniem. Wojna wiązała się nie tylko z lękiem o własną egzystencję, ale odebrała mu też siostrę Irenę, która zginęła w obozie.

W jego wierszach był widoczny katastrofizm, myślenie w kategoriach kosmicznych, historyczny i zmienny charakter urządzeń tego świata. I majacząca na horyzoncie sława

Do tego wspomnienia konsekwentnie nie wracał, aż do ostatnich lat życia. Wtedy dopiero podjął ten temat w wierszu „Miejsce nie uświęcone pamięcią" (dedykowanym „pamięci siostry"), opublikowanym pośmiertnie w tomie „Fuga temporum". Zamyka ten utwór strofa wyrażająca niemożliwość upamiętnienia zamordowanej:

„Tutaj na ścieżce zmarłej pamięci/ Pochody mrówek żuków-grabarzy/ W przezroczystości tylu śmierci/ nie rozpoznam jej zwęglonej twarzy".

Odpowiedzią na trudne doświadczenia zawsze była dla Jastruna ucieczka w literaturę, choć raczej cudzą niż własną. Dzięki oddaniu lekturom i ogromnej domowej bibliotece ucieleśniał dawny wzór „poeta doctus", reprezentowany choćby przez Jana Kochanowskiego. O autorze „Trenów" napisał zresztą książkę, biografizowaną monografię dotyczącą dzieła twórcy z Czarnolasu – „Poeta i dworzanin. Rzecz o Janie Kochanowskim".

Nie była to jedyna literaturoznawcza pozycja na koncie Jastruna - by wspomnieć tylko jedną z kilku, ważną biografię Adama Mickiewicza, za którą dostał nagrodę tygodnika „Odrodzenie" i Państwową Nagrodę Artystyczną I stopnia. Swojemu szerokiemu zainteresowaniu literaturą europejską dał świadectwo także w esejach, w których jednym spojrzeniem obejmował zagadnienia kultury antycznej, jak i współczesnej mu literatury. Dziś chyba jednak pamiętają o tych pracach tylko „badacze owadzich nogów", jak niegdyś Miłosz słowami wiersza Gałczyńskiego określił literaturoznawców.

●

Mimo to Mieczysław Jastrun jest w jakimś sensie poetą czytanym - jako autor przekładów z literatury rosyjskiej, francuskiej, hiszpańskiej, a przede wszystkim niemieckiej. Za te ostatnie otrzymał w 1969 roku Nagrodę Polskiego PEN Clubu. Niewątpliwie Jastrunowe tłumaczenia poezji Goethego, Hölderlina i Rilkego zrosły się trwale z nazwiskami tych niemieckojęzycznych poetów i na stałe wpisały w polski krajobraz niemieckiej literatury, górując nawet pod pewnymi względami nad nowszymi przekładami.

Wielkość nazwisk, które Jastrun brał na translatorski warsztat, potwierdza znaną regułę, że tłumacz przekłada to, czego sam nie może napisać lub do czego napisania dąży. Tak z pewnością było z Rilkem, którego autor „Spotkania w czasie" zaczął tłumaczyć już w latach 30. i nad którym pracował przez całe życie. Powodował nim nie tylko zachwyt estetyczny, ale przede wszystkim potrzeba duchowa. Sceptyczny wobec katolicyzmu Jastrun nie przystawał na żadne proste pocieszenia oferowane przez religię, bliższy był mu duchowy trud i nieortodoksyjna wyobraźnia austriackiego twórcy.

Ta religijna wrażliwość oraz idący za nią etyczny zmysł okazały się dla Jastruna zbawienne w dobie komunizmu - umożliwiały wykraczanie poza odcienie moralnej szarości ówczesnego świata.

Jeszcze w 1945 roku został członkiem PPR-u i jeździł po Polsce, obejmując posadę redaktora kolejnych czasopism: „Wsi", „Rzeczpospolitej" i „Kuźnicy". Dla historyka literatury nie są to wybory szczególnie zaskakujące. „Kuźnica" gromadziła twórców związanych z myślą marksistowską, ze Stefanem Żółkiewskim na czele, ale publikowali tam także czołowi XX-wieczni pisarze: Zofia Nałkowska, Kazimierz Brandys czy Jan Kott.

Decyzja o wejściu w to środowisko była z jednej strony konsekwencją lewicowości Jastruna z okresu dwudziestolecia, ale dawała mu także pewną publicystyczną autonomię. Spotykał się z tego powodu z atakami ze strony młodych twórców reprezentujących pokolenie „pryszczatych", którzy zarzucali mu pusty estetyzm i zbytnie odchodzenie od realiów społecznych w stronę świata sztuki.

Jastrun nie pozostawał na te ataki obojętny i umiał się odwinąć. W polemice z radykalnymi poglądami Tadeusza Borowskiego odmawiał utalentowanemu młodemu pisarzowi cnoty cierpliwości i wyrozumiałości oraz notował, że „poemat miłosny może być bardziej współczesny od wiersza o węglu śląskim".

●

Redakcyjne przygody trwały aż do 1949 roku, gdy ostatecznie osiedlił się w Warszawie i rok później wziął ślub z Mieczysławą Buczkówną, z którą spędził pozostałe 30 lat życia. Będzie się odtąd parał rozmaitymi zadaniami związkowymi, redakcyjnymi i pisarskimi.

Początkowo w swojej poezji da świadectwo przyjęcia metody twórczej uchwalonej przez sławetny szczeciński Zjazd Literatów Polskich, który w 1949 roku przyjął doktrynę socrealizmu. Spośród dzieł Jastruna tę zideologizowaną estetykę najpełniej wyraził znany z niegdysiejszych podręczników do języka polskiego „Poemat o mowie polskiej" - wierszowana historia polszczyzny od czasów piastowskich aż po „narodziny nowego człowieka".

O roli całego tomiku, a także prominentnej pozycji Jastruna, świadczy fakt, że od złożenia manuskryptu w wydawnictwie do ukończenia druku minęło ledwo 27 dni. Jacek Trznadel w pracy o poezji Mieczysława Jastruna z 1953 roku powie, że był on w tym okresie „na pierwszej linii poetyckiego frontu".

Poeta nie był jednak zawsze tak łatwym kąskiem dla socrealistycznej ideologii. Sporo było problemu z pogodzeniem „prawomyślności" Jastruna z jego symboliczną, surrealną i oniryczną liryką okresu dwudziestolecia. Trznadel we wspomnianej przed chwilą monografii stwierdził, że problem z uchwyceniem tematyki oraz „irracjonalność tej poezji zostały kanonizowane przez krytykę burżuazyjną".

1 RP

eprasa.pl d1e4f06fae

Inaczej krakowski krytyk Ludwik Flaszen, który stwierdził: „Metafizyka? Bynajmniej. Po prostu konsekwentnie materialistyczne pojmowanie świata. Jastrunowska filozofia przemijania jest najlepszą gwarancją prawdziwego, domyślanego do końca materializmu".

Momentem przełomowym była sytuacja polityczno-społeczna w okolicach 1956 roku. Jastrun opublikował wtedy rozliczeniowy tom „Gorący popiół", który wpisuje się w atmosferę nastrojów antystalinowskich oraz reaguje na rosnące tendencje nacjonalistyczne i antysemickie. Znajdują się w nim silne retorycznie i gniewne wiersze mające na celu dokonanie historycznych rozliczeń, jak choćby utwór „Igraszki historii", gdzie mowa o ludziach, którzy

„Klasycznymi cytatami bredzą/ Wbrew klasycznej oczywistości./ Wyjmą z ciebie jak z żelazka duszę/ W obawie, byś się nie spalił –/ Ale spalą lekko, jakby igrali,/ Ciało twoje – faryzeusze!"

Topika zakłamania i stylistyka inwektywy uderzają w tym tomie zarówno w państwowych notabli, jak i pseudopatriotów - dla jednych i drugich bowiem ułudna legenda zastąpiła historię.

●

Dość szybko nastąpił zresztą właściwy „exodus", jak w swoim dzienniku nazwał Jastrun swoje odejście z partii. W 1957 roku oddał legitymację partyjną tuż po tym, gdy władza nie dopuściła do druku współzałożonego przez niego miesięcznika „Europa". Siedem lat później był także sygnatariuszem ważnego Listu 34, w którym literaci wyrażali sprzeciw wobec działań cenzury.

Nie trwał zatem zbyt długo w iluzji, a prominentem był o tyle, o ile musiał nim być ktoś ubiegający się o status klasyka i kolejne wydania swoich wierszy. Odznaczenia i zaszczyty rzadko dawały mu radość. Gdy otrzymał nagrodę za całość twórczości poetyckiej, skomentował: „Czy ucieszyłem się? Nie, zupełnie nie. Raczej smutek. Stworzono taką sytuację, że nic nie jest prawdziwe i wszystko budzi podejrzliwość".

Przydawane Jastrunowi (choćby kilkanaście lat temu przez Radio Maryja) pseudonimy pokroju „stalinowski inżynier pióra" czy „dworzanin reżimu" to mistyfikujące obelgi rzucane wyłącznie przez przedstawicieli środowisk skrajnie prawicowych i katolickich.

Siłą pisarza było również to, że nie wpadł nigdy w te dwa reżimy polskości, które dziś święcą swoje niepokojące triumfy. Za dewizę Jastruna uznać można tytuł zbioru wierszy z 1955 roku: „Poezja i prawda". Te słowa nie stanowią przeciwstawienia, bo poezja z prawdą „może jedną jest osobą/ Piękną i nieco starodawną". W żadnym wypadku nie chodzi tutaj o jakąś dogmatyczną i niezmienną treść, lecz o prawdę jednostkowego życia i trwałość kultury.

Jego debiut gorąco przyjął sam Witkacy, uważając go za twórcę prawdziwie metafizycznego

Przez długi czas była to przestrzeń kultury polskiej, a przede wszystkim historia literatury, która dawała schronienie. Biograficzne i odbrązawiające książki o Kochanowskim, Mickiewiczu, Słowackim czy Norwidzie były dla Jastruna okazją do zanurzenia się w innym czasie, a jednocześnie nie usuwały go z centrum życia literackiego - socrealiści wysoko cenili realizm tych prac.

Od lat 70. autor „Spotkania w czasie" dystansuje się jednak coraz bardziej od polskiej kultury i przynależnych jej sporów. Poszerza krąg swoich zainteresowań o zagadnienia całej kultury europejskiej. Opublikuje wtedy takie eseje jak „Mit śródziemnomorski", „Historia Fausta" czy „Walka z Aniołem".

Przywiązanie do kulturowego dziedzictwa nie było jednak wyrazem naiwnego pięknoduchostwa. Starożytnej Grecji Jastrun przypisuje zaczątek wszystkich zbrodni naszych czasów. W eseju „Podróż do Grecji", który zrodził się z jego śródziemnomorskiej wyprawy w roku 1975, pisał:

„Otóż czytając Tukidydesa, natrafiłem na »pierwszy obóz koncentracyjny« założony przez Syrakuzańczyków w kamieniołomach na Sycylii. Nie będę powtarzał tego opisu zbrodni na Ateńczykach wziętych do niewoli. Przypominają metody postępowania w naszej wspaniałej epoce wyzwolonego Atomu".

Tak oto kreślił ciągłość zjawisk, nie przeciwstawiając łatwo teraźniejszości i przeszłości. Nowoczesność jako epoka, o której pisał wielokrotnie, okazywała się wcale nie tak nowa, jak mogła się wydawać świadkom historii XX wieku.

●

Ostatnie dwudziestolecie życia Jastruna (zmarł w 1983 roku) przyniosło mu największe osiągnięcia. Dalej działał publicznie - między innymi jako wiceprezes ZLP, podróżował, ale przede wszystkim pisał.

Jego pracy twórczej często towarzyszyła gorycz wynikająca z poczucia niedocenienia: „wiem, że nie umiem pisać wierszy, które by się podobały (i nie chcę). Rozumieją Gałczyńskiego i Małgorzatę Hillar, nic lub prawie nic poza tym. Czy chciałbym mieć takich czytelników? Nie - lepiej nikogo!". Ostateczna stawka jest jednak wyższa niż popularność i pozwala poecie pod koniec życia zanotować te proste słowa: „Pisać. Nie przestawać".

Twórczość Jastruna zatacza koło, po okresie zainteresowania tematyką społeczną i historyczną wraca do swojej przeszłości, wspomnień i dawnych literackich inspiracji. Poeta przygląda się samemu sobie, tak jak w pięknym wierszu „Fotografia":

„Ten mężczyzna na fotografii,/ który był młodszy ode mnie o lat dziesięć/ teraz starszy o wymiar,/ do którego nikt żywy nie trafi –/ I nie wie nikt, w jakiej mgławicy zgubił swój ślad,/ kiedy lato mijało w jesień,/ kto intronizował w ogrodzie/ matkę wiewiórek i lisów z oczami zamarzniętych wód?/ Kto był tu przede mną? Kto zerwał mieniącą się zasłonę/ z oczu, odcisnął w gipsie rysy mojej twarzy,/ a jego twarz zostawił niezmienioną -/ Czemu niszczeję boleśniej od niego,/ któremu już nic się nie zdarzy/ w świecie mającym tylko jedną stronę"

To wiersz złożony z pytań. Jastrun jako znawca nie tylko poezji poświęconej przemijaniu, ale także nowoczesnych teorii fizycznych: Newtona, Einsteina, Heisenberga, tworzy nieoczywiste wyobrażenia czasu. Sprzeciwia się banalności życia w świecie, który ma „tylko jedną stronę". Warto zatem, by i nasze wyobrażenie Mieczysława Jastruna miało ich trochę więcej.

W książce „Poeta i dworzanin. Rzecz o Janie Kochanowskim" opowiadanie o żyjącym niegdyś twórcy autor porównuje z nocną przygodą toczącą się w półmroku. To trudne zadanie, bo, jak pisze, „dziś, z oddali czterech wieków, tak pomieszały się proporcje i perspektywy, że skłonni jesteśmy raz tłumaczyć kształt jego [Kochanowskiego] poezji - jego epoką, innym znów razem poezja jego służy nam do oznaczenia i komentowania czasu historycznego, w którym żył on i jego współcześni".

Obie te skrajne postawy nie są godne ani historyka literatury, ani czytelnika etycznie nastawionego do tekstu literackiego, którzy powinni trzymać się „wyższej wierności wobec życia i dzieła poety". Jest ona tak samo pilnie potrzebna, gdy rozmawiamy o twórcy debiutującym raptem sto lat temu.

●

Nie można zredukować twórczości Jastruna do trudnych realiów, z którymi się mierzył: tożsamościowych, psychicznych, społecznych i historycznych. Jego wiersze nie powstają ani za ich sprawą, ani pomimo tych uwarunkowań, lecz po prostu je przekraczają. Zostawiają „niewyrażalną nadwyżkę", jak pisał w wierszu „Zmysł wewnętrznego wzroku".

Na płaszczyźnie literackiej sławy nie musi być ona koniec końców aż tak wielka. W swoim „Życiorysie poetyckim" pisał:

„Marzeniem moim jest wydać zbiór wierszy z różnych lat, ale tylko tych, za które mogę wziąć pełną odpowiedzialność i które według mnie mają szansę przetrwania. Rzadko po poecie zostaje kilkanaście utworów niezastąpionych. Trzeba długiego nieraz życia, wyrzeczeń, wysiłków, udręki, aby ten cel, najzupełniej zresztą irracjonalny, osiągnąć".

Wierzę, że udręka Jastruna nie poszła na marne, i jestem przekonany, że zostawił nam więcej niż kilkanaście utworów niezastąpionych. Jako czytelnik poezji szczerze liczę na to, że zostaną kiedyś wydobyte z kurzących się licznie na półkach PRL-owskich okładek. ●

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

***Jakub Kloza**

• ur. w 2003 r., student polonistyki antropologiczno-kulturowej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Związany z Krakowem, Warszawą i rodzinnym Podlasiem. Laureat Stypendium UJ. Interesuje się literaturą polską XX wieku, głównie poezją, oraz jej religijnymi i postsekularnymi kontekstami. Gdy nie czyta, piecze ciastka i podlewa rośliny.

REKLAMA

Kraj/34409110

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI/ AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
www.wydawnictwoagora.pl

Wydawnictwo Agora

2 RP

eprasa.pl d1e4f06fae

ALE HISTORIA

JAKUB FUGGER

BOGACZ WSZECH CZASÓW

Mawiał, że Bóg go stworzył, by zarabiał pieniądze. Woli Boskiej się nie sprzeciwił.

Joanna Banaś

W ciągu 50 lat kariery zdobył majątek szacowany na blisko 400 miliardów dzisiejszych dolarów. Dzięki sprytowi, pracowitości i bezwzględności wielokrotnie powiększył dziedzictwo przodków. Uczynił ród Habsburgów europejskim hegemonem i decydował, kto zostanie cesarzem, a kto papieżem.

Jakub Fugger, najbogatszy niekoronowany człowiek i najbardziej wpływowy biznesmen w dziejach, zmarł 500 lat temu, 30 grudnia 1525 roku. Oto jego przepis na sukces.

I **Po pierwsze, szef jest tylko jeden.** Dziadek Jakuba, mistrz tkacki Hans Fugger, przybył do Augsburga w 1367 roku. Dzięki dwóm korzystnym małżeństwom z córkami mistrzów cechowych, ciężkiej pracy i talentowi do interesów rychło zasiadł w zarządzie cechu tkaczy oraz radzie miejskiej.

Po śmierci Hansa jego żona Elizabeth zdecydowała, że ich synowie nie zostaną tkaczami. Wybrała dla nich zawód złotnika, bardziej prestiżowy i dochodowy. Ale w 1463 roku jeden z nich, Jakub, porzucił złotnictwo i postawił na handel. W branży kupieckiej szło mu tak dobrze, że wkrótce płacił podatki dające mu siódme miejsce w zestawieniu najbogatszych mieszkańców miasta.

Żona Barbara urodziła mu jedenaścioro dzieci, a kiedy zmarł, przejęła po nim firmę wraz z trzema synami: Ulrykiem, Jerzym i najmłodszym, urodzonym 6 marca 1459 roku, Jakubem, bohaterem tej opowieści. Młodzi Fuggerowie wraz z matką w ciągu 14 lat podwoili majątek i wskoczyli na podium augsburskiego rankingu podatników.

Wszyscy trzej ożenili się z córkami patrycjuszy, które wniosły im solidne posagi. Natomiast ich siostra Barbara wyszła za członka kupieckiej rodziny Meutingów. Szwagier Fuggerów będzie prowadził ich faktorie w Amsterdamie oraz Innsbrucku.

Jakub ożenił się najpóźniej, bo dopiero w wieku 39 lat. Poślubił Sybillę Artzt, 18-letnią córkę posiadacza ziemskiego. Przeżyli razem ćwierć wieku, ale nie mieli dzieci. Kiedy Jakub ostatecznie stracił nadzieję na potomka, przyjął w 1512 roku do firmy czterech bratanków. Bo choć zarówno babka, jak i matka świetnie radziły sobie w interesach, zdecydował, że biznesem będą kierować wyłącznie mężczyźni.

Formalnie szefem był najstarszy Ulryk, a firma nazywała się Ulryk Fugger i Bracia. Jakub miał w niej jedynie 29 procent udziałów i nie było nawet jego imienia w nazwie, jednak szybko przejął nad spółką kontrolę. Gdy w 1502 roku spisano nowe zasady jej funkcjonowania, sprytnie umieścił w nich zapis wytrych dający mu prawo zmiany zasad bez konsultacji z udziałowcami.

Gdy w 1506 roku umarł Jerzy, a cztery lata później Ulryk, Jakub rządził firmą już samodzielnie. Wprawdzie zmieniła nazwę na Jakub Fugger i Bratankowie, ale uważał, że decyzje powinna podejmować jedna osoba, a konkretnie on.

W testamencie pisanym już u progu śmierci takie prawo zagwarantował również bratankowi Antonowi, którego wybrał na swego następcę. W dokumencie zastrzegł, że ojciec i brat mogą mu najwyżej doradzać.

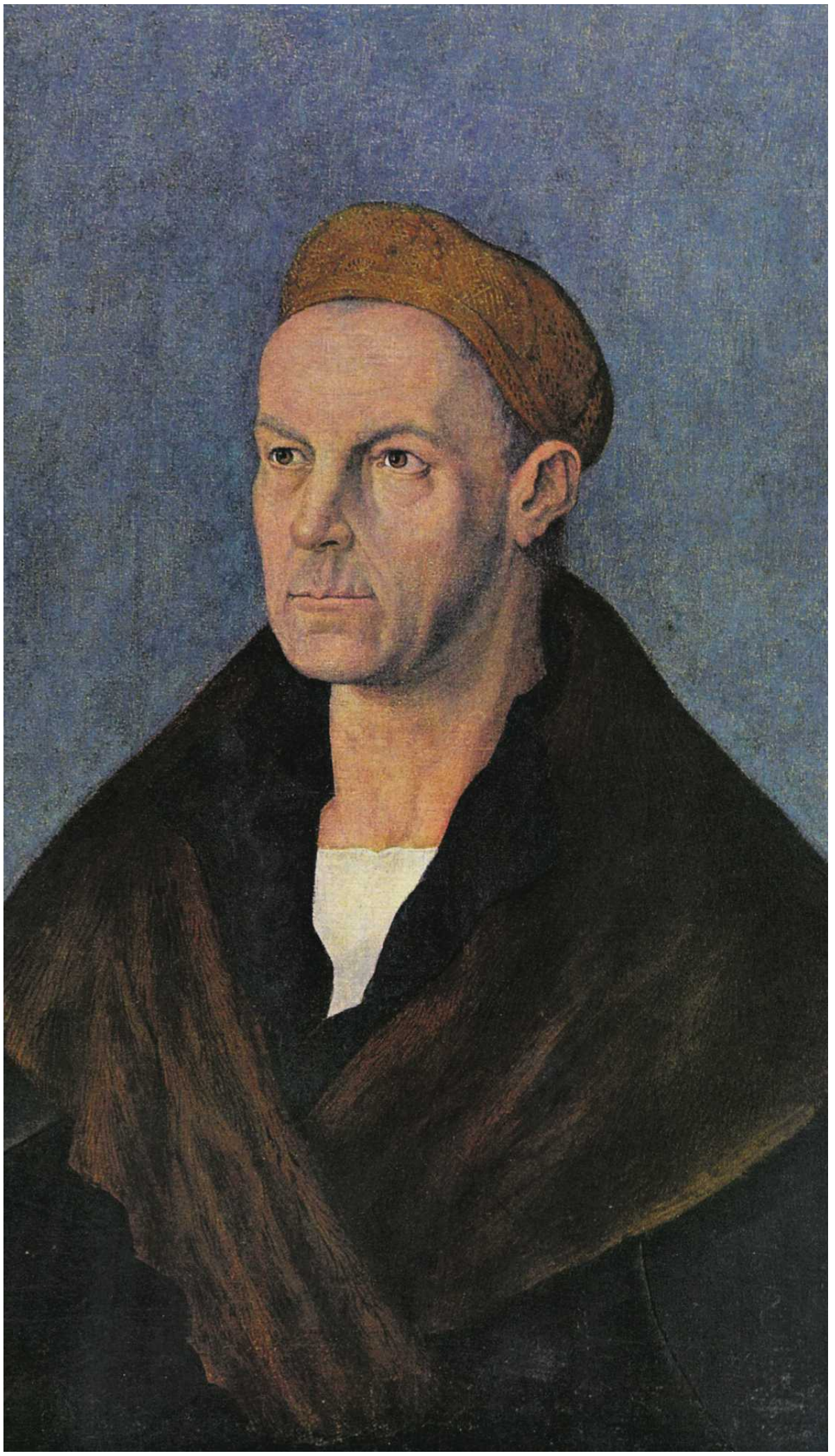

▶ **Jakub Fugger (1459-1525), finansista i przemysłowiec, sportretowany około 1520 roku przez Albrechta Dürera**
FOT. DOMENA PUBLICZNA

1 RP

eprasa.pl d1e4f06fae

2 **Po drugie, zadawaj szyku.** Górował wzrostem nad innymi, nosił płaszcze podbite kosztownymi futrami, a złote czepce stały się jego znakiem rozpoznawczym.

Ślub brał w styczniu, żeby móc podawać weselnikom homary i inne łatwo psujące się artykuły luksusowe. Z tego samego powodu zimą żenili się wszyscy ówcześni bogacze. Fugger przekroczył też limit zaproszonych gości ustanowiony przez radnych Augsburga. I zapłacił za to nawet karę, ale kto bogatemu zabroni?

Na portrecie ślubnym autorstwa Hansa Burgkmaira starszego z 1498 roku Jakub i Sybilla nawet się nie uśmiechają. Za to on ma na sobie płaszcz z wielkim kołnierzem z ocelota i czepiec ze złotogłowia, a ona na szyi złote łańcuchy, ciężkie jak kajdany.

Udanie sportretował Jakuba w 1520 roku Albrecht Dürer – Fugger jest na obrazie pełen godności, patrzy w dal, jakby planował kolejne przedsięwzięcie. Pewnie nie żałował, że malarz z Norymbergi na jego koszt kształcił się w Italii przez dwa lata.

Wizerunek Jakuba znalazł się także na skrzydle organów w kaplicy ufundowanej przez Fuggerów w kościele św. Anny w Augsburgu – bankier chyba jednak czegoś nie przypilnował, bo ma tam wielkie uszy i perkaty nos, a w dodatku czerwony na czubku.

W 1515 roku Fugger zakończył budowę swojej augsburskiej rezydencji, pierwszego w pełni renesansowego świeckiego budynku na ziemiach niemieckich. Czteropiętrowy dom ze wspaniałym dziedzińcem z fontanną oraz arkadami był jednocześnie mieszkaniem, siedzibą firmy i składem towarów. Miał bieżącą wodę, marmurowe podłogi, okna z kosztownego szkła, dach kryty miedzią i ogrzewanie niemal w każdym pomieszczeniu. Budził podziw i zazdrość.

Kiedy Jakub kupił żonie pierścień, był on tak wielki, że plotkowało o nim całe miasto. Nieprzypadkowo też kupcy z Bazylei właśnie augsburskiemu finansiście zaoferowali komplet biżuterii z łupu burgundzkiego. Gdy w 1476 roku książę Burgundii Karol Zuchwały przegrał bitwę pod Grandson, zostawił na placu boju zwycięskim Szwajcarom nie tylko broń i amunicję, ale też cenne precjoza, m.in. kapelusz ze złotogłowia wyszywany perłami, złoty fotel, a przede wszystkim biżuterię. W skład łupu wchodził także ogromny brylant otoczony rubinami, zwany Trzema Braćmi. Trafi później do królowej Anglii Elżbiety I, która ma go na sobie na słynnym portrecie Nicholasa Hilliarda z 1585 roku.

Za burgundzkie klejnoty Fugger zapłacił 47 tysięcy guldenów, ale potem sprzedał je z dużym zyskiem. Z handlu artykułami luksusowymi uczynił ważną gałąź działalności swojej firmy.

W 1507 roku stał się ziemianinem – za 50 tysięcy guldenów kupił hrabstwo Kirchberg oraz miasta Weißenhorn i Pfaffenhofen. Cztery lata później został hrabią, a w 1515 – radcą cesarskim. Tytułów tych jednak nie używał.

3 **Po trzecie, grunt to porządek w papierach.** Matka planowała dla Jakuba karierę kościelną, uczył się już nawet łaciny w niższym seminarium i nosił tonsurę. Ale po śmierci starszych braci został odwołany do rodzinnych interesów. Jako czternastolatek pojechał do Wenecji uczyć się kupieckiego fachu. Poznał tam zasady podwójnej księgowości – metody zapisu dochodów i wydatków firmy w jednym dokumencie. Odtąd przez całe życie dbał o perfekcyjne prowadzenie ksiąg rachunkowych w każdym oddziale firmy. Nawet najmniejsza operacja musiała być zapisana. Co tydzień kopie ksiąg ze wszystkich filii przesyłano do centrali, gdzie zyski były przeliczane na jedną walutę i konsolidowane.

Fugger dokładnie wiedział, jakie ma wydatki, jakie dochody, ile i jakich towarów w magazynach. Udoskonalił też system kontroli finansowej, wprowadzając do niej rewidentów. Zawsze było ich trzech, bo, jak sądził, aż trzech ludzi naraz nie będzie chciało zrobić czegoś nieuczciwego. Najlepszym rewidentem był jednak on sam – miał dar wynajdywania zawyżonych i nieuzasadnionych wydatków.

Bilans firmy sporządzony w 1527 roku wykazał wzrost jej wartości o 927 procent w ciągu 17 lat – z 200 tysięcy do 2 milionów guldenów.

4 **Po czwarte, dywersyfikuj interesy i wpływy.** Fuggerowie wciąż poszerzali działalność. W 1480 roku zainwestowali w kopalnie soli w Salzburgu, a kilka lat później także w Tyrolu. Ogromne pieniądze zarobili jednak na handlu srebrem.

W 1485 roku Jakub stał się sponsorem słynącego z hulaszczego trybu życia władcy Tyrolu, arcyksięcia Zygmunta Habsburga, który zaciągał pożyczki w zamian za prawo do wydobycia tego kruszcu w jego kopalniach w Schwazu. Fugger najpierw pożyczył mu 3 tysiące florenów, ale wkrótce Zygmunt pilnie potrzebował o wiele większej kwoty, bo aż 100 tysięcy florenów. Jakub zaoferował mu pomoc w zamian za prawo dzierżawy jego kopalni. Mocno ryzykował, bo gdyby arcyksiążę nie wywiązał się z umowy, kupiec zostałby zrujnowany. Zygmunt jednak dotrzymał słowa i rzeka srebra z najbogatszych złóż w Europie popłynęła do Fuggerów.

Wydobywali też rtęć i cynober, a dzięki swoim kopalniom na Węgrzech zostali monopolistami produkcji miedzi w Europie Środkowej i Północnej. Jakub niechętnie wchodził w spółki, ale w tym wypadku podjął współpracę z Janem Thurzą, obywatelem Krakowa. Ich wspólna firma Ungarischer Handel okaże się później największą na świecie spółką górniczo-metalurgiczną. Zyskami dzielili się po połowie, choć cały kapitał włożył Fugger, a Thurzo jedynie wiedzę merytoryczną. Ale bezcenną, bo był wybitnym metalurgiem i inżynierem górniczym, który wiedział, jak odwodnić zalaną kopalnię.

Pod miastem Arnoldstein powstał ogromny, ufortyfikowany jak twierdza kompleks przemysłowy Fuggerau, w którym działały huty, kuźnie, odlewnie mosiądzu i fabryki armat. Jakub wciąż zakładał kolejne faktorie i firmy, po Wenecji i Neapolu także w Innsbrucku, Amsterdamie czy Lizbonie. Handlował bawełną, przyprawami, drogimi materiałami i ozdobami, świadczył usługi pocztowe. Stworzył też własną agencję informacyjną: sprawna sieć kurierów i szpiegów przekazywała mu wieści z całej Europy. O wynikach bitew czy ustaleniach koronowanych głów wiedział jako pierwszy i wykorzystywał to w interesach.

Kiedy król Niemiec Maksymilian Habsburg poprosił go o pożyczkę, zapewniając, że spłaci ją, gdy tylko dotrze do niego 200 tysięcy guldenów obiecanych mu przez króla Anglii Henryka VII, Fugger odmówił. Dzięki swoim szpiegom wiedział bowiem, że żaden statek ze złotem nie wypłynął z Londynu, więc władca nie spłaci długu.

Później jednak Maksymilian – od 1508 roku cesarz rzymski – był stałym klientem Fuggera, który pożyczał mu ogromne sumy i wsparł go przy przejmowaniu Tyrolu od wspomnianego arcyksięcia Zygmunta.

Fuggerowie obsługiwali również finansowo członków wielu europejskich rodów królewskich oraz kurię rzymską. Pod koniec XV wieku otworzyli w Rzymie filię, która transferowała do papieskiej kasy pieniądze ze sprzedaży odpustów z całej Europy.

W 1503 roku Fugger skorumpował kardynałów, którzy za 4 tysiące dukatów wybrali na papieża Giuliana della Roverego, wskazanego przez niego nominata. Już jako głowa Kościoła Juliusz II odwdzięczył się bankierowi 15-letnim kontraktem na bicie papieskich monet. Obok herbu papieskiego miały na rewersie trójząb, znak firmowy Fuggerów. Augsburski bankier sfinansował też utworzenie papieskiego wojska znanego jako Gwardia Szwajcarska.

Gdy w 1510 roku Juliusz II ustanowił specjalny odpust, z którego dochody miały sfinansować budowę nowej bazyliki w Rzymie, Fugger oczywiście wszedł do interesu. W zamian za obsługę zbiórki miał dostawać aż połowę zgromadzonych środków. Jego przedstawiciele jeździli ze skrzyniami na gotówkę na spotkania kaznodziejów, którzy namawiali wiernych do szczodrości.

• **Portret ślubny Jakuba Fuggera i Sybilli Artzt z 1498 roku, autorstwa Hansa Burgkmaira**
FOT. DOMENA PUBLICZNA

• **Król Hiszpanii i cesarz rzymski Karol V (1500-1558) sportretowany przez Bernarda van Orleya oraz król Niemiec i cesarz rzymski Maksymilian I (1459-1519) na obrazie Albrechta Dürera**
FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl d1e4f06fae

Właśnie ta papieska akcja sprowokowała Marcina Lutra do ataku na handel odpustami.

5 Po piąte, korzystaj na ryzyku innych. Na początku XVI wieku niekwestionowanym monopolistą na rynku przypraw była Republika Wenecka. Jednak kupcy augsburscy i norymberscy postanowili osłabić jej pozycję i w 1505 roku popłynęli pod portugalską banderą do Indii. Fugger do tego przedsięwzięcia podszedł ostrożnie, zainwestował tylko 4 tysiące florenów, pięć razy mniej niż Welserowie, jego bezpośredni konkurenci z Augsburga.

Wyprawa zakończyła się sukcesem Portugalii i zyskami dla jej niemieckich inwestorów, choć perypetie, które przeżyli jej uczestnicy, mniej odpornych biznesmenów przyprawiłyby o zawał serca.

Fugger uznał, że nie ma sensu za bardzo ryzykować i inwestować w zamorskie wyprawy. Niech zajmują się tym Welserowie, co zresztą z powodzeniem robili. Natomiast on postanowił zarabiać na handlu przyprawami, które ktoś z drugiego końca świata dostarczy do Europy. Za rudę srebra i miedzi kupował pieprz w Portugalii, stając się jednym z największych na kontynencie hurtowników na rynku handlu korzeniami.

Za ten pragmatyzm spadła na niego krytyka, nazywano go Żydem, paskarzem i workiem pieprzu, jak pogardliwie określano wtedy nuworyszy, ponieważ wielu kupców dorobiło się właśnie na pieprzu.

Pamiętajmy, że był on wówczas przyprawą tak cenną, że jego ziarenka sprzedawano na sztuki. Do legendy przeszła czarna kura, danie podawane u Welserów, które nazwę zawdzięczało ziarenkom pieprzu rozrzutnie wbitym w skórę jedno obok drugiego.

6 Po szóste, walcz o swoje i nie odpuszczaj. Kilka razy Fugger musiał walczyć o przetrwanie.

Do ruiny mogła go doprowadzić sprawa spadku po zmarłym biskupie Bressanone (Brixen) Melchiorze von Meckau. Ten książę Kościoła pieniądze ze sprzedaży rudy srebra z miejscowej kopalni zamiast na koncie diecezji lokował na prywatnych rachunkach. W 1496 roku zainwestował u Fuggerów 180 tysięcy guldenów, a siedem lat później, dzięki zapłaconej przez nich papieżowi łapówce w wysokości 20 tysięcy guldenów, został kardynałem. Gdy w 1509 roku zmarł, jego podwładni znaleźli kwity dłużne i zażądali od Fuggerów natychmiastowej wypłaty 300 tysięcy guldenów. Chętny na spadek po biskupie był oczywiście także Juliusz II.

Jednorazowa wypłata tak ogromnej kwoty oznaczałaby plajtę firmy. Jakub zadziałał sprytnie: jego przedstawiciel w Rzymie zasugerował papieżowi, że o prawo do spadku będzie się ubiegał także cesarz Maksymilian. Juliusz II w obawie przed niekończącym się procesem przyjął więc od Fuggera skromne 37 tysięcy guldenów na prywatne konto i odstąpił od egzekucji całej kwoty.

W niebezpieczeństwie firma Fuggerów znalazła się także w 1513 roku. Kościół wznowił wtedy kampanię przeciwko lichwie, którą już w XII wieku uznał za grzech śmiertelny. Jej zakaz spowodował, że ludzie zaczęli się zadłużać u Żydów oferujących oprocentowane pożyczki.

Chrześcijańscy przedsiębiorcy szybko pojęli, jak zyskowny to biznes, więc wrócili do gry. Tyle że obłudnie określali odsetki jako kary albo opłaty manipulacyjne.

Kiedy na początku XVI wieku Kościół przypomniał, że ten, kto nalicza odsetki, będzie potępiony, Fugger obawiał się nie ekskomuniki, lecz tego, że klienci przestaną u niego inwestować. Oferował im bowiem 5 procent odsetek od wpłaconego kapitału, a sam starał się, żeby przyniósł on 20 procent zysku. Zarabiał więc rocznie 15 procent wartości ulokowanych u niego środków, oczywiście udzielając również pożyczek na procent.

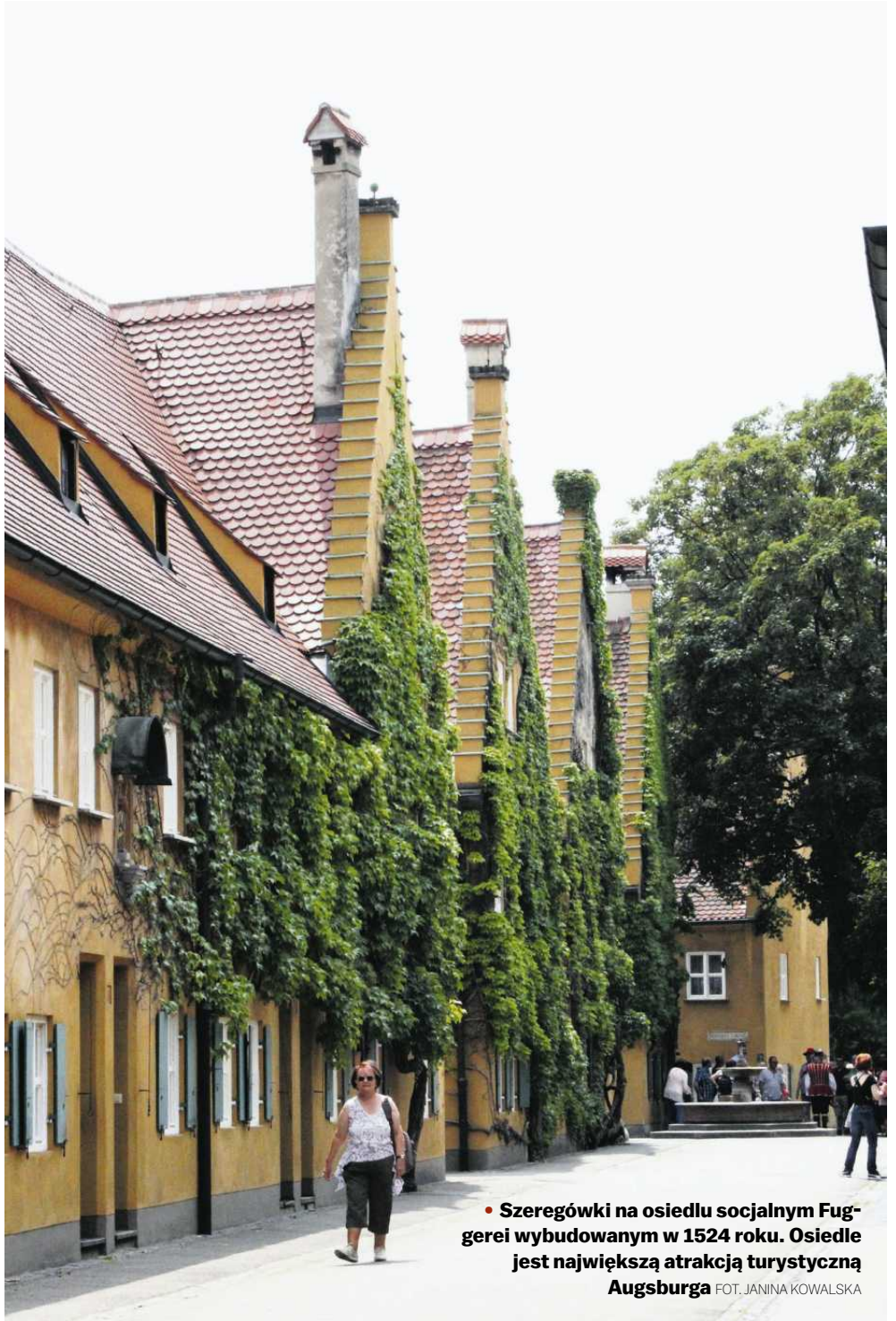

• **Szeregówki na osiedlu socjalnym Fuggerei wybudowanym w 1524 roku. Osiedle jest największą atrakcją turystyczną Augsburga** FOT. JANINA KOWALSKA

Przestrzeganie zakazu lichwy oznaczałoby dla niego brak dostępu do kapitału, a w konsekwencji bankructwo.

W 1515 roku zorganizował więc na uniwersytecie w Bolonii wielką debatę na temat prawa do udzielania oprocentowanych pożyczek. Sędziowie, wysłuchawszy argumentów zwolenników i przeciwników, orzekli jednak remis. Sytuację uspokoił dekret papieża Leona X, członka bankierskiego rodu Medyceuszy i dłużnika Fuggera, który zezwolił na pobieranie odsetek, jeśli pożyczka wiąże się z wykonywaniem pracy, ponoszeniem kosztów lub ryzyka. Czyli w praktyce zawsze.

7 Po siódme, orientuj się w geopolityce. W 1515 roku cesarz Maksymilian podczas zjazdu wiedeńskiego spotkał się z królem Polski Zygmuntem Starym oraz jego bratem Władysławem II Jagiellończykiem, władcą Czech i Węgier. Zgodnie z zawartą wówczas ugodą dwa śluby potwierdziły strategiczny sojusz Habsburgów i Jagiellonów.

Pieniądze na ceremonię wyłożył oczywiście Fugger, który pożyczył Maksymilianowi nawet biżuterię, żeby cesarz szykownie się prezentował. Były to owe klejnoty Karola Zuchwałego z łupu burgundzkiego.

11 lat po zjeździe wiedeńskim w bitwie z Turkami pod Mohaczem zginął bezpotomnie 20-letni syn Władysława Ludwik II Jagiellończyk. W efekcie tej śmierci Habsburgowie rozszerzyli swe panowanie również na Czechy i Węgry.

Fugger miał więc swój udział również w zmianie granic w Europie.

8 Po ósme, niech się za ciebie modlą. W 1516 roku Jakub zaczął w Augsburgu budowę osiedla socjalnego. Od władz miasta uzyskał zwolnienie podatkowe w zamian za utrzymanie niskiego czynszu, który miał wynosić jednego guldena rocznie, czyli równowartość tygodniówki rzemieślnika. Po pięciu latach osiedle Fuggerei było gotowe. Otaczał je mur, za który nie mieli wstępu żebracy ani prostytutki. Bramę zamykano wieczorem, a za jej otwarcie po zmroku obowiązywała opłata.

W szeregówkach na osiedlu mieszkali ubodzy, którzy mieli być ludźmi „godnymi", pracującymi i oczywiście katolikami. Musieli też obiecać, że codziennie zmówią trzy modlitwy w intencji Fuggera i jego matki.

Do dziś osiedle jest największą atrakcją turystyczną Augsburga, a jego mieszkańcy płacą jedynie 0,88 euro czynszu rocznie. Mają jednak nadal obowiązek modlić się za duszę Fuggera.

W miejscowym karmelickim kościele św. Anny bankier wybudował też rodzinną kaplicę grobową, którą najprawdopodobniej zaprojektował Albrecht Dürer. Kosztowała 23 tysiące guldenów, więcej niż osiedle Fuggerei.

9 Po dziewiąte, wybierz sobie cesarza. Zmarły w 1519 roku cesarz Maksymilian chciał, by tron po nim objął jego wnuk, król Hiszpanii Karol, ale mocnym kontrkandydatem był władca Francji Franciszek I. Fugger oczywiście wolał Habsburga, więc chciał mu pomóc w walce o cesarski tytuł. Karol nie był jednak do bankiera przekonany i nie bardzo chciał zadłużyć się u niego na łapówki dla elektorów.

Fugger zaczął więc ostrą grę: skoro Karol nie chce mojego wsparcia, sfinansuję wybór Franciszka. I król Francji rzeczywiście szybko złożył mu atrakcyjną propozycję, a bankier zadbał o to, by dowiedział się o niej Karol.

Cesarza wybierało siedmiu elektorów zamkniętych w kaplicy frankfurckiej katedry. Wszyscy przysięgli, że nie są skorumpowani, ale w rzeczywistości wynegocjowali już z Fuggerem wysokość łapówek. Jasne więc było, że wybiorą tego, którego on wskaże. Karol musiał zareagować – rzutem na taśmę pożyczył pieniądze od Fuggera, a elektorzy jednomyślnie zagłosowali za jego kandydaturą.

Bankier dał mu 544 tysiące florenów, i to wyłącznie na słowo. Cesarz wprawdzie był bogaty, ale nie gwarantowało to wcale spłaty długu. Tuż po wyborze Karol zwołał Kortezy i zażądał podwyżki podatków na ten cel. Wywołało to rebelię, którą zbrojnie stłumił, ale musiał wycofać się z podwyższenia danin. Fuggerom znów groziła plajta i dopiero w 1521 roku, podczas sejmu w Wormacji, udało im się podpisać z Habsburgami umowę spłaty większej części długu.

W 1522 roku Fugger musiał stoczyć kolejną walną bitwę, gdy na sejmie Rzeszy w Norymberdze zaczęła się dyskusja o ukróceniu potęgi firm handlowych oraz monopoli. Atmosferę nienawiści do bogaczy podgrzewał w swoich pismach Marcin Luter.

Bankier wysłał na sejm swego prawnika, a kiedy jego przemowa nie podziałała, Fugger zrobił to, co umiał doskonale: przekupił najbardziej wpływowych posłów, by przerwali prace nad ustawą antymonopolową. Kiedy mimo to cesarski prokurator zamierzał kontynuować krucjatę przeciw monopolistom, Fugger wysłał list do cesarza Karola, w którym bezceremonialnie przypomniał mu jego dług.

Karol pieniędzy nie oddał, ale zakazał prokuratorowi niepokoić bankierów.

Po dwóch latach cesarz znów został przyparty do muru. Musiał zdobyć pieniądze na utrzymanie załogi obleganego przez Francuzów Mediolanu. Dostał je oczywiście od Fuggera, który w zamian za 560 tysięcy florenów otrzymał w trzyletnią dzierżawę kopalnię rtęci w Almadén. W ten sposób odzyskał całą kwotę, jaką wyłożył na elekcję Karola, a na obronę Mediolanu wyłożył w gotówce połowę z owych 560 tysięcy.

Karol ostatecznie podpisał dekret dopuszczający monopole w branży metalurgicznej i zamknął postępowanie przeciw finansistom.

I na pewno mu się to wszystko opłacało, bo w lutym 1525 roku odniósł spektakularne zwycięstwo nad Francuzami w bitwie pod Pawią, gdzie wziął do niewoli króla Franciszka I.

10 Po dziesiąte, nie ufaj zdrajcom wiary. Ostatnią decyzję biznesową Fugger podjął na dwa dni przed śmiercią – odmówił pożyczki władcy Prus Książęcych Albrechtowi Hohenzollernowi. Gardził ludźmi, którzy zmienili wyznanie, nie chciał więc wspierać wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego, który został luteraninem.

W Boże Narodzenie 1525 roku w kościele św. Anny odprawione zostało pierwsze nabożeństwo z komunią udzielaną w dwóch postaciach. Mimo to Fugger spoczął w świątyni, która w ten sposób stała się protestancka. Święta Anna w Augsburgu jest dziś jedynym w Niemczech kościołem ewangelickim z katolicką kaplicą, zarządzaną zresztą przez fundację Fuggerów. ●

Korzystałam m.in. z książek: Greg Steinmetz, „Największy bogacz wszech czasów. Jakub Fugger i jego epoka", Martin Kluger, „The Fugger Dynasty in Augsburg" i „Die Fuggerei. Ein Führer durch die älteste Sozialsiedlung der Welt", oraz materiałów ze strony Fugger.de

1 RP

eprasa.pl d1e4f06fae

Felieton

Deportacja amerykańskiej demokracji

Pod pewnymi względami tegoroczna jesień w Stanach Zjednoczonych przypomina tę z 1938 roku w nazistowskich Niemczech.

Snyder

Trwające tam wówczas masowe deportacje osób nieposiadających odpowiednich dokumentów były jedną z najradykalniejszych represji Hitlera przed rozpoczęciem II wojny światowej. Również w Stanach związek między krajowymi represjami a zagraniczną agresją staje się coraz bardziej widoczny.

Jesienią 1938 roku niemiecka policja i SS zgarnęły 17 tys. Żydów z polskim obywatelstwem i przerzuciły ich przez granicę do Polski. Zapoczątkowało to łańcuch wydarzeń, który pozwala dostrzec miejsce, w którym znajdują się obecnie Stany Zjednoczone. Pewna rodzina została deportowana; zdesperowany uchodźca się zemścił; rząd zorganizował pogrom i zreorganizował policję; wybuchła wojna.

Tą rodziną byli Grynszpanowie. Ojciec i matka przeprowadzili się do Niemiec w 1911 roku z Imperium Rosyjskiego. Ich dzieci urodziły się już w Niemczech, mówiły po niemiecku i uważały się za Niemców. Ich syn Herschel wyjechał do krewnych w Paryżu, gdzie spotkało go wiele rozczarowań, w tym utrata niemieckiego obywatelstwa.

Latem 1938 roku Herschel, któremu odmówiono prawa stałego pobytu we Francji, ukrywał się na strychu, aby uniknąć deportacji, gdy nadeszła pocztówka od jego siostry: „Dla nas wszystko skończone”. Herschel 7 listopada 1938 roku wszedł do niemieckiej ambasady w Paryżu i zastrzelił dyplomatę Ernsta vom Ratha.

W Berlinie naziści w tym zabójstwie dostrzegli swoją szansę. Joseph Goebbels powołał się na spisek i za czyn jednej osoby odpowiedzialnością obarczył całą grupę. A Hitler pozwolił mu zorganizować dwa dni później ogólnokrajowy pogrom – noc kryształową. Bojówkarze z SA, SS i hitlerowska młodzież, do których dołączyło wielu innych Niemców, zniszczyły żydowskie firmy, spaliły żydowskie książki, zbezcześciły zwoje Tory i wtargnęły do żydowskich domów.

Około 91 Żydów zostało zabitych, a setki zginęły śmiercią samobójczą. Dziesiątki tysięcy żydowskich mężczyzn zostało wysłanych do obozów koncentracyjnych.

Dziewięć dekad później nikt nie mógł dokładnie przewidzieć, co się stanie, gdy administracja Donalda Trumpa deportację osób nieposiadających dokumentów uczyni swoją podstawową polityką. A Gwardia Narodowa zostanie rozmieszczona w Los Angeles i Waszyngtonie – miastach, które odtąd powinny być postrzegane jako „poligony dla naszego wojska” i „strefy działań wojennych”. Było do przewidzenia, że będą tego jakieś konsekwencje. Nadeszły w postaci niedawnego ostrzelania dwóch żołnierzy Gwardii Narodowej patrolujących Waszyngton. Jeden z nich zmarł w wyniku odniesionych ran.

Oskarżony jest uchodźcą z Afganistanu, który pomagał w amerykańskich działaniach wojennych w swojej ojczyźnie. Podobnie jak Grynszpan jest osobą, która doświadczyła traumy i odczłowieczenia. Walcząc i zabijając dla obcego rządu we własnym kraju, miał powody, by oczekiwać schronienia po tym, jak on i jego rodzina zostali ewakuowani z Afganistanu do USA. Wygląda na to, że spotkała go tylko seria rozczarowań.

Jego doświadczenie, jak donosi „New York Times”, było bardzo podobne do doświadczenia Grynszpana. Nie jest jasne, co dokładnie spowodowało atak Afgańczyka, ale wolontariusz, który pracował z jego rodziną, „wyczuł, że w jakimś stopniu mogła być to frustracja z powodu niepewności dotyczącej amerykańskiego procesu imigracyjnego” i obawa jego rodziny, że zostaną „deportowani do Afganistanu, gdy jego wniosek o specjalną wizę imigracyjną będzie się przeciągał”.

To nie usprawiedliwia tego strasznego czynu, ale jest niezbędne do zrozumienia istoty historycznego momentu.

Było do przewidzenia, że prezydent Trump będzie starał się wykorzystać przemoc. Ogłosił przecież, że zamierza uderzyć w „kraje Trzeciego Świata”, obwinił migrantów o wszystkie problemy Ameryki i nazwał Somalijczyków „śmieciami”. Wyraził chęć deportacji milionów ludzi i denaturalizacji – pozbawienia obywatelstwa – Amerykanów, których wartości lekceważy lub których uważa za niezgodnych z zachodnią cywilizacją. Życie osób niebędących obywatelami USA stanie się jeszcze trudniejsze.

Co będzie dalej? Dla nazistów masowe deportacje i pogromy jesienią 1938 roku były krokami w kierunku stworzenia w następnym roku scentralizowanej policji, Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. W Stanach podobnie dzieje się z Immigration and Customs Enforcement (Urząd Imigracyjno-Celny). Jego zadaniem było przeprowadzanie deportacji, ICE przyjęło role szpiegowskie, prowokowało obywateli i zostało wzmocnione przez żołnierzy Gwardii Narodowej. Staje się czymś w rodzaju narodowych sił policyjnych, z własną ideologiczną propagandą i powiązaniami z siłami zbrojnymi.

W pewnym sensie masowe deportacje i noc kryształowa przyspieszyły konsolidację nazistowskiego reżimu. Ale te działania nie były popularne w Niemczech, podobnie jak naloty ICE nie są popularne w amerykańskich miastach. Kolejne radykalne kroki były możliwe tylko pod osłoną wojny. Byłby to kolejny krok w kierunku reżimu, który Trump wydaje się zdeterminowany wprowadzić. Wojna to łatwy sposób na wyeliminowanie wrogów wewnętrznych przez utożsamienie ich z wrogiem zewnętrznym.

Dla Trumpa rozpoczęcie wojny z Wenezuelą (lub kimś innym) byłoby kolejnym logicznym krokiem w kierunku wprowadzenia reżimu w kraju. Nietrudno zauważyć, że prezydent to rozumie, biorąc pod uwagę trwającą od lata eskalację prowokacji, kiedy to Stany Zjednoczone zaczęły atakować domniemanych przemytników narkotyków na Morzu Karaibskim, w tym rozbitków zabitych z oczywistym naruszeniem prawa międzynarodowego.

Przeszłość nigdy się nie powtarza, ale poucza – i to poucza wszystkich. Ludzie, którzy chcą autorytaryzmu w Ameryce, wiedzą, że wykorzystywanie emocji związanych z przynależnością polityczną może prowadzić do chaosu i wprowadzenia reżimu. A ludzie, którzy chcą demokracji w Ameryce, mogą dostrzec ten wzorzec i, nazywając go, zrobić pierwszy krok w kierunku zatrzymania tego procesu. ●

Timothy Snyder

Copyright: Project Syndicate, 2025.
www.project-syndicate.org

Timothy Snyder

• historyk, niedawno objął nowo utworzoną katedrę współczesnej historii Europy w Munk School of Global Affairs and Public Policy na Uniwersytecie w Toronto, jest też stałym współpracownikiem Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu. Snyder, urodzony w Ohio w 1969 r., do tego roku wykładał na Uniwersytecie Yale, a jego książki (m.in. „Skrwawione ziemie”) są uważane za kluczowe opracowania dotyczące stalinizmu i Holokaustu. Broszura Snydera „O tyranii”, która została opublikowana w 2017 r., szybko stała się bestsellerem w USA: historyk ostrzegał w niej przed autorytarnym zwrotem władzy w USA, prawidłowo przewidział m.in., że Trump podejmie próbę zamachu stanu przed formalnym końcem swojej kadencji.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34400479

W SPRZEDAŻY

NIEZALEŻNOŚĆ FINANSOWA.
Jak dbać o swoje finanse? Jak wygląda finansowa rzeczywistość kobiet?
Czy dobre zarobki mogą zwalniać z domowych obowiązków?

KRYSTYNA JANDA: Nie zmieniłam się

ZDROWIE I URODA: Kosmetyki z estrogenem – nowy pomysł na podtrzymanie urody

wysokieobcasy extra

W sprzedaży z książką „Słynne pary” lub suplementem diety wspomagającym regenerację i nawilżenie skóry

1 RP

eprasa.pl d1e4f06fae

DEKABRYŚCI

BOHATEROWIE WYKLĘCI

• **Pułk konny gwardii podczas powstania dekabrystów na placu Senackim, obraz Wasilija Timma, druga połowa XIX wieku** FOT. DOMENA PUBLICZNA

26 grudnia 1825 roku wyszli na plac Senacki w Petersburgu, by zabić cara i zmienić Rosję. Dla pokoleń inteligencji rosyjskiej i bolszewików byli bohaterami. Dziś są osądzani w myśl praw czasów Putina.

Wacław Radziwinowicz

„Nieszczęsna Rosja. Nawet powiesić, jak należy, nie potrafią" – miał powiedzieć i chyba rzeczywiście powiedział Konrad Rylejew, który właśnie urwał się ze stryczka na byle jak skleconej szubienicy ustawionej na wewnętrznym wale Twierdzy Pietropawławskiej w stolicy Imperium Rosyjskiego.

Tam 13 lipca 1826 roku na rozkaz cara Mikołaja I i z wyroku jego sądów wieszano, czy raczej próbowano powiesić, pięciu najbardziej radykalnych organizatorów nieudanego przewrotu: Michaiła Bestużewa-Riumina, Piotra Kachowskiego, Siergieja Murawjowa-Apostoła, Pawła Pestela i Rylejewa. Pod ciężarem trzech z nich urwały się sznury, skazańcy pokaleczeni, ale żywi upadli na ziemię.

Monarcha zgodnie z niepisanym, ale ogólnie przyjętym obyczajem powinien był ułaskawić skazańców, widząc w ich cudownym ocaleniu znak boży. Ponoć nawet kazał przygotować stosowny akt. Ale urażony słowami Rylejewa zdecydował pokazać zuchwalcowi, że co jak co, ale wieszać to w Rosji potrafią.

Kaci kupili nowe sznury i uczynili swoją powinność. A potem śledztwo wykazało, że egzekucja była spartaczona kompletnie. Okazało się, że szubienica wcześniej zmontowana i wypróbowana – wieszano worki z piaskiem w więzieniu miejskim – na miejsce straceń dotarła niekompletna i trzeba było ją w pośpiechu naprawiać tym, co w twierdzy mieli pod ręką. Za kompromitację odpowiedział wojskowy inżynier Matuszkin, który nadzorował budowę szafotu. Został zdegradowany do stopnia szeregowego i wysłany na wojnę na Kaukazie.

Ten i straszny, i śmieszny epizod doskonale oddaje istotę tragedii, do której doszło w Rosji 200 lat temu.

LEPSZY ROMANOW

Rosjanin pytany przed wiekami czy dziś, a pewnie i w przyszłości, o to, za czym jest, niemal na pewno odpowiedziałby: „Za sprawiedliwością".

I tak było tym razem. Pułki elitarnej, złożonej z „dobrze urodzonych" gwardii carskiej w sile około czterech tysięcy ludzi wyszły na plac Senacki właśnie 26 grudnia, a według obowiązującego wtedy kalendarza – 14 grudnia. Tego dnia Senat, armia, urzędnicy państwowi mieli złożyć powtórną przysięgę nowemu carowi Mikołajowi dziedziczącemu tron po zmarłym niecały miesiąc wcześniej bracie Aleksandrze I.

Wielu z nich już tylko co przysięgało, ale Konstantemu, który jako najstarszy brat monarchy powinien był dziedziczyć tron. Tak byłoby „sprawiedliwie", ale ponoć Aleksander w swym utajonym za jego życia manifeście zdecydował inaczej, uznając, że bardziej na cara nadaje się młodszy Mikołaj.

Konstanty, carski namiestnik w Królestwie Polskim, rozwiedziony z Juliane Henriette Ulrike von Sachsen-Coburg-Saalfeld, którą wybrała mu jeszcze matka, caryca Katarzyna, połączony morganatycznym związkiem z Polką Joanną Grudzińską, sam zrezygnował z tronu i wolał pozostać w Warszawie.

Był jednak bardziej lubiany od Mikołaja, wstecznika, konserwatysty, tak skłonnego do okrucieństwa, że za nadużywania kar cielesnych wobec wojskowych zarobił z czasem na przydomek „pałkin", jak nieraz nazywany bywa i Putin, rzeczywiście w swym postępowaniu podobny do cara. Z Konstantym marzącym o zmianach i unowocześnieniu kraju młodzi oficerowie wiązali nadzieje na liberalizację. Nic dziwnego, że wojska na placu Senackim skandowały: „Niech żyje car Konstanty i jego żona Konstytucja".

Rozgrywki dynastyczne były jednak tylko pretekstem. Tło niezadowolenia przerodzonego w bunt młodych szlachciców z gwardii trzeba widzieć znacznie szerzej.

MARZENIA O NOWEJ ROSJI

Ludzie z tego pokolenia, jak pokazały potem też losy kolejnych generacji, ubzdurali sobie, że mogą być obywatelami, dumnymi z tego, co dokonali, więc należą im się prawa do stanowienia o sobie i swoim kraju.

To nieprawda, choć tak się powszechnie powtarza, że w szeregach zbuntowanych pułków byli przede wszystkim weterani spod Borodino, Lipska, ci, którzy zajmowali Berlin, okupowali Paryż, słowem: pogromcy Napoleona. W podczas marszów po Europie mieli się – jak się też dzisiaj mówi w Moskwie – „zarazić liberalizmem", zafascynować porządkami i dostatkiem Zachodu.

Armia Aleksandra I dotarła do Paryża 11 lat wcześniej, a średnia długość życia Rosjanina w latach dwudziestych wieku XIX nie przekraczała trzydziestki. Żołnierza tym bardziej.

Weterani nie stanowili więc większości, ale stali się zaczynem buntu, przekazywali legendę zwycięstwa młodszym. Dumni, pewni swej wartości zarażali marzeniami o „sprawiedliwości", zmianach, które pozwoliłyby urządzić Rosję na podobieństwo Europy.

Nadzieje podsycały decyzje Aleksandra I, który nadał szeroką autonomię z własnymi prawami Wielkiemu Księstwu Finlandii i konstytucję Królestwu Polskiego, a więc sam ograniczył swoje prawa samodzierżawcy.

Tymczasem Rosja miała hrabiego Aleksieja Arakczejewa, okrutnego ministra wojny, który

eprasa.pl d1e4f06fae

zagnał prostych żołnierzy do osad wojskowych, gdzie i ćwiczyli, i pracowali jak chłopi pańszczyźniani. A carski dygnitarz kazał ich ćwiczyć. „Pałka spacerowała po plecach starych i młodych, nie oszczędzając ani bezsilności dzieci, ani siwizny starców, ani godności kobiet” – pisał rosyjski generał Pawieł Grabbe.

Frustracja rosła, powodów do buntu przybywało.

Ale i przeciwnicy starego porządku, wykształceni, bystrzy młodzi ludzie najlepsi synowie „nieszczęsnej Rosji” zamordować cara i dokonać przewrotu też nie potrafili.

Spiskowali jeszcze długo przed śmiercią Aleksandra I. W roku 1816 powstał Związek Ocalenia (później Związek Dobra Publicznego) założony przez podpułkownika Sztabu Generalnego Aleksandra Murawjowa i dwóch młodych oficerów księcia Siergieja Trubeckiego oraz Nikitę Murawjowa.

Z czasem wyłoniły się dwie organizacje konspiracyjne: Związek Północny działający w Petersburgu oraz Związek Południowy założony dwa lata później w ukraińskim Tulczynie.

Były projekty zmian ustrojowych, ustaw, debaty i spory, jak urządzić Rosję. Choćby o to, co zrobić z carem. Zabić razem z całą rodziną monarszą, czy zostawić, ale konstytucją ograniczyć jego wszechwładzę. Stawała kwestia uwolnienia chłopów od pańszczyzny. Czy dać im wolność, przydzielając pańską ziemię, na której pracowali, czy zmienić w robotników najemnych. Dyskusji, artykułów, projektów dokumentów było wiele, konkretnych przygotowań mniej.

Niespodziewana śmierć imperatora, zamieszanie wokół sukcesji, spiskowcy, choć niegotowi, bo dzieleni sporami, słusznie uznali za sprzyjający moment na dokonanie przewrotu.

MASAKRA NA PLACU

26 grudnia Senat na rozkaz Mikołaja miał złożyć mu przysięgę. Żeby do tego nie dopuścić, zbuntowane pułki gwardii miały pomaszerować na plac przed jego siedzibą. Miał być ogłoszony manifest zapowiadający zniesienie poddaństwa chłopów, wprowadzenie swobód obywatelskich i reformy sądów. Na czele rebelii stanął książę Dmitrij Trubecki. Piotr Kachowski dostał zadanie zamordowania Mikołaja.

Jednak w decydującym momencie poinformował, że nie jest w stanie tego zrobić. Wykonania zadania poprowadzenia szturmu na Pałac Zimowy odmówił też słynący z odwagi kapitan Aleksander Jakubowicz. Zamiast tego oficer krążył między carem a gwardzistami, odgrywając rolę co najmniej dwuznaczną, co uratowało go przed szafotem, ale nie katorgą w Nerczyńsku.

Książę Trubecki w ogóle nie pojawił się na placu.

Mikołaj, zawczasu uprzedzony o tym, co się święci, działał szybciej i zdecydowanie. Posłał na plac generała Michaiła Miłoradowicza, bohatera wojennego, o którym Lew Tołstoj z wielkim szacunkiem pisał w „Wojnie i pokoju”. Ten próbował przemówić do buntowników, ale został zastrzelony przez porywczego Kachowskiego.

Kiedy polała się krew, buntowników na placu przybywało, a kawaleria nie chciała przypuścić szarży na kolegów, car oddał głos armatom. Pierwsza salwa poszła nad głowami buntowników, którzy jednak nawet w obliczu masakry odmówili poddania się. Dowodzący czterema działami generał Iwan Suchozawiet kazał bić kartaczami ogniem bezpośrednim. Padły, jak twierdzili świadkowie, setki ofiar. W komunikatach oficjalnych władze informowały jednak o 80 zabitych. Masakrą zakończyła się też akcja buntowników w Ukrainie. Oni dowodzeni przez Sergieja Murawjowa-Apostoła zostali rozbici pod Białą Cerkwią, gdzie zginęło 60 ludzi.

Śledztwo zarządzone przez cara objęło 2,5 tysiąca żołnierzy i 500 oficerów. Niektóre przesłuchania prowadził osobiście car. Pięciu spiskowców skazano na śmierć przez ćwiartowanie zamienione na powieszenie. 120 posłano na katorgę lub zsyłkę na Syberię. Żołnierzy odprawiono na wojnę na Kaukazie.

TYRANI NIE LUBIĄ ZWYCIĘZCÓW

Utopione we krwi powstanie w historii Rosji odezwało się jednak mimo swej klęski długim echem. I odzywa się nadal.

Mówi się, że dekabryści „obudzili Aleksandra Hercena” – tak twierdził Lenin. A Hercen, pisarz i myśliciel, swoim „Kołokołem” („Dzwon”, pismo wydawane w Londynie) „obudził”, czy wręcz stworzył, całą warstwę społeczną: inteligencję. A ta grupa niezwykle twórczych, aktywnych ludzi występowała zdecydowanie przeciw samodzierżawiu, caratowi.

Bolszewicy, jak się powszechnie uważa, wielbili dekabrystów, ich imionami nazywali ulice, szkoły, stawiali za wzór. Tak bez wątpienia podchodził do nich Lenin, który przecież potrafił zamordować cara i obalić imperium „jak należy”.

Ale z chytrym Stalinem było już inaczej. On rozumiał, jak niebezpieczne może być pokolenie zwycięzców dumnych ze swego sukcesu, pewnych swojej wartości, która każe im się upominać o swoje prawa.

Dość wspomnieć XVII Zjazd Wszechrosyjskiej Komunistycznej Partii (bolszewików) w 1934 roku, w którym uczestniczyło prawie dwa tysiące doświadczonych bolszewików, którzy obalili starą Rosję i budowali potęgę ZSRR. Nazwano go więc oficjalnie „Zjazdem Zwycięzców”. Ale do historii przeszedł jako „Zjazd Rozstrzelanych”, bo 93 z wybranych na nim 139 członków Komitetu Centralnego partii Stalin kazał rozstrzelać, pięciu zastrzeliło się samych, jeden (Siergiej Kirow) zginął w dziwnym zamachu.

Bolszewicy wielbili dekabrystów, ich imionami nazywali ulice, szkoły, stawiali za wzór. Tak podchodził do nich Lenin, który przecież potrafił zamordować cara i obalić imperium

Dyktator bardzo uważnie i z lękiem przyglądał się bohaterskim weteranom wojny z Hitlerem. Oni też, jak dekabryści byli w Europie, też mieli poczucie własnej wartości i uzurpowali sobie prawo do praw obywatelskich. Profesor Jurij Afanasjew opowiadał mi, jak jego ojciec po powrocie z frontu z orderami próbował się domagać sprawiedliwości dla jakiejś biednej pokrzywdzonej wdowy. „Mordą w stół i rozbity nos, żeby mu wybić ze łba zawrót głowy od sukcesów” – tak opisał finał rozmowy ojca z agentami NKWD w tej sprawie.

GDYBY NIE DEKABRYŚCI...

A dzisiejsza Rosja rozprawia się też z dekabrystami, którzy w wizji historii kraju, jaka się uroiła Putinowi, ulokowani są po stronie złych.

Gospodarz Kremla we wszystkich swych poprzednikach – książętach moskiewskich, carach, przywódcach komunistycznych, prezydentach – chce widzieć łańcuch Bożych pomazańców w mozole nieprzerwanie przez wieki budujących potęgę i chwałę, a wyjątkiem są Lenin i Michaił Gorbaczow.

Każdy, kto się buntował, podniósł rękę na władcę, jest więc strasznym grzesznikiem, zdrajcą, wysłannikiem wroga.

W Moskwie działa dziś zwane „specnazem antydekabrystowskim” specyficzne trio złożone z nadwornych historyków Putina: Natalii Narocznickiej, Nikołaja Starikowa i byłego ministra kultury Władimira Medinskiego, pomocnika Putina, odpowiadającego za kulturę.

Medinski, zawodowy historyk, trzyma się zasady, że prawdą o przeszłości jest tylko to, co sprzyja aktualnym interesom Rosji. Taśmowo produkuje więc telewizyjne agitki oczerniające tych, którzy 200 lat temu wyszli na plac Senacki.

Jego twórczość stała się nawet kanwą dla specjalnej poświęconej dekabrystom sesji na majowym Petersburskim Międzynarodowym Forum Prawniczym. Jego gwiazdą okazał się sam minister sprawiedliwości Konstantin Czujczenko, którego zdaniem „lepiej byłoby, gdyby dekabryści nie budzili Hercena”.

„Myślę, że gdyby powstania nie było, do reform, likwidacji pańszczyzny doszłoby wcześniej, niż to się rzeczywiście stało i Rosja rozwijałaby się siedmiomilowymi krokami” – wywodził Czujczenko. Dekabrystom przypisywał winę za wiele nieszczęść: „Nie byłoby wojny domowej [po przewrocie bolszewickim], Wielkiej Wojny Ojczyźnianej [zmagania Stalina z Hitlerem], a liczba mieszkańców Rosji w 1950 roku doszłaby do 300-350 milionów ludzi [dziś to 144 miliony]”.

Aktualny minister sprawiedliwości ze znawstwem zaliczył buntowników sprzed 200 lat do kategorii tych, którzy z własnej woli i z premedytacją ulegli obcym wpływom, co w świetle współcześnie obowiązujących w Rosji pociągnąć powinno za sobą poważne kary.

A te ludzie Putina egzekwować umieją, „jak należy”.

REKLAMA

Kraj/34413162

1 RP

eprasa.pl d1e4f06fae

weekendówka 185

KARTA – STÓŁ!

Nie pamiętam, co było pierwsze. Pewnie wojna, bo przecież nie ma prostszej gry. Potem na pewno nauczyłem się grać w pokera (na zapałki oczywiście!), ale rozgrywką karcianą, która zdominowała moje najmłodsze lata był pan, określany rzecz jasna tą mniej cenzuralną nazwą, maskowany groźnie brzmiącymi: Historyczny Upadek Japonii lub takiż sam Jugosławii.

Prosta rozgrywka, talią od „9” wzwyż, dziewiątka kier (w slangu oczywiście czerwień) zaczyna i rzucamy w górę. Wersje były różne: można było położyć cztery takie same karty, jeśli miało się je na ręku, ew. trzy, jeśli wśród nich był kier. Pardon, czerwień. Były też sztuczki mniej uczciwe, jak podrzucanie „9” czy „10”, których chcieliśmy się pozbyć, na główny stosik w ostatniej chwili, zanim inny gracz położy swoją kartę – tzw. „przybite”! Albo „podklejka” – tu „podkładało” się te nieszczęsne „9” i „10” pod inną kartę (niektórzy używali nawet śliny, stąd podklejka) z nadzieją, że nikt nie zauważy.

W czasów podstawówkowych grywaliśmy też namiętnie w kuku – polegające na skompletowaniu trzech karty w jednym kolorze bądź wartości. Nieszczęśnik, któremu się to nie udało, musiał zgadywać, co mają inni. Oczywiście funkcjonowała wersja „na bite” – nieodgadnięcie skutkowało uderzeniem talią kart po ręce (wersja hard: po wystawionych w górę trzech palcach).

Na koloniach i obozach królowało makao –uniwersalne, umożliwiające grę wielu osób – o to chodziło! Dyskusyjne były tylko funkcje poszczególnych kart, bo obowiązywała łacińska maksyma Quot homines, tot sententiae – ile osób, tyle zdań. My trzymaliśmy się zasady, że as zmienia kolor, waletem się żąda, trójka i dwójka – bierze 3 lub 2 karty, czwórka strata kolejki, król kier – 5 kart, król pik – 5 kart do tyłu czy sakramentalne „dama na wszystko, wszystko na damę”.

Szlachetny był tysiąc, którego mistrzem był mój szwagier – bo tam trzeba było się nakombinować w trakcie rozgrywki i przy szacowaniu, ile punktów się zgarnie, zabawny remik z układaniem sekwensów, kapitalne kierki, gdzie w poszczególnych rozdaniach trzeba było unikać brania panów, pań, króla kier czy 7 i ostatniej lewy. Rozdanie ostatnie, zwane „rozbójnikiem”, było hardkorem, bo liczyło się wszystko.

Na studiach liczył się już tylko brydż, którego mordercze maratony w kłębach dymu zabierały nam godziny i dni.

Karcianą tradycję podtrzymuję – z 7-letnią córką gramy już w wojnę, kuku i makao, a wszystkich karciarzy zapraszam do „Weekendówki” karcianej – wszak jutro, 28 grudnia świętujemy Dzień Gry w Karty.

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl

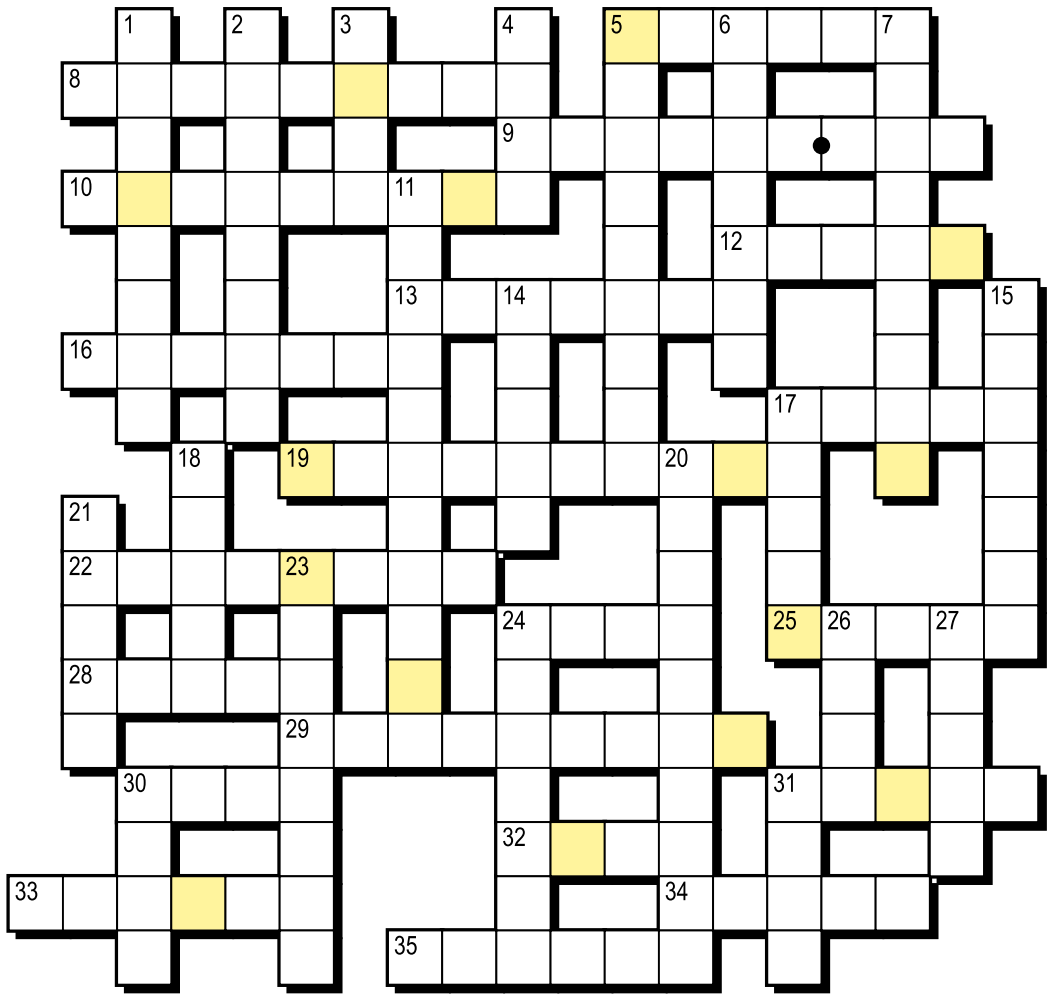

KRZYŻÓWKA KARCIANA
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
5) surowiec do produkcji kart
8) „zamieszki” z udziałem dam, waletów
9) film z Janem Nowickim w roli mistrza szulerki
10) zdarza mu się licytować szlemiki albo szlemy
12) w wincie, brydżu: fazy gry, po których podlicza się punkty
13) ich wizerunki przedstawiane są na waletach, a także na niektórych kartach tarota
16) dawna gra w karty (jak grupa demonstrantów)
17) karciana gra, w którą grał Krzysztof Jarzyna ze Szczecina, szef wszystkich szefów („Poranek kojota”)
19) dama – trójka, król – czwórka, as – ? (w grze w oczko)
22) kier
24) dzwonek
25) czas wyłożyć ... na stół, czyli szczerze wyjawić swoje plany, oczekiwania
28) może być atutowy
29) ich wizerunki przedstawiane są na dżokerach; błazny
30) pik albo bordo
31) jeden z układów kart w pokerze
32) gra dla trzech graczy, niegdyś popularna na Śląsku
33) gra, w której dobrze mieć meldunki
34) karciana arystokracja
35) to, o co toczy się gra; pula, bank

Pionowo:
1) wzięcie udziału np. w partii blackjacka, remika
2) obdzielenie kartami graczy
3) na kartach z literkami Q
4) zdobyta podczas partii; wziątka
5) dawna gra talią złożoną z 32 kart, popularna do początku XX w.
6) gra, której odmianą jest Texas Hold’em
7) spotkanie sportowe, np. podczas turnieju brydżowego
11) faza podczas gry w pokera
14) kraj, w którym karty były znane już przed X wiekiem
15) scrabble – blanki, remik – ?
17) zadziwi publiczność sztuczkami z kartami
18) żołądź
20) używa specjalnej talii kart do stawiania wróżb
21) gra kojarząca się z numerem tego określenia
23) przypisywane blotkom (zwykle mniejsze) i figurom (zwykle większe)
24) gra rozgrywana dwiema pełnymi taliami kart i czterema dżokerami
26) kolor bijący wszystkie pozostałe kolory
27) grecka muza, która mogłaby być patronką karciarstwa
30) pierwsze wyjście kartą przez gracza rozpoczynającego rozgrywkę
31) czas na szczerość: karty na ...

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki nr 184 z 20.12:

Poziomo:
4) szczyty 8) Zakopianka 12) Asnyk 14) watra 15) Polana 16) stawy 17) rozpakowanie 20) wyprawa 22) Kalatówki 23) raki 26) drożyzna 28) wiosna 29) zima 31) Kozie Czuby 32) Świnica 34) Poronin 36) Okno 37) Iglica 38) kozica 39) pozycja 40) kondycja 41) dziewięćsiły

Pionowo:
1) Kasprowy 2) Mała Kopa 3) las 5) zakos 6) Zawrat 7) Tatry 9) Orla Perć 10) karpatka 11) parzenica 13) nacieki 18) Małołączniak 19) góry 20) wąwóz 21) wspinaczka 23) Rysy 24) krajobrazy 25) kombinezon 27) zdobycie 30) piwnica 33) kwatery 34) Poprad 35) skoki 36) oczy

HASŁO: SPACER W DOLINIE

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34392298

Literówka · Quizy
Sudoku · Krzyżówki
Szukaj w APLIKACJI WYBORCZEJ

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację
POBIERZ Z Google Play
Pobierz w App Store
1 RP

eprasa.pl d1e4f06fae